TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Polaków portret własny: wersja AI

Filip Springer szuka ładnych bloków

Zwyczajni Niemcy czytają akta III Rzeszy

Autoerotyzm po katolicku

S.A. Cosby: najnowocześniejszy pisarz USA

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 2 – 8 września 2026 | nr 36 (4026)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SZKOŁA WYŁĄCZA TELEFON

CZY TO SIĘ MOŻE UDAĆ?
MAGDALENA BIGAJ
STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl eebb42529e

The Fryderyk Chopin Institute

W ramach obchodów **100-lecia Konkursu Chopinowskiego** Narodowy Instytut Fryderyka Chopina prezentuje limitowaną kolekcję płyt winylowych z najlepszymi wykonaniami w historii Konkursu.

Już dziś do kolekcji dołącza następne wydawnictwo:

Mitsuko Uchida

Laureatka II nagrody podczas 8. Konkursu Chopinowskiego w 1970 roku.





do kupienia na: sklep.nifc.pl

Lirycznie subtelna. Świadomie unikająca romantycznej wylewności. Powściągliwa na sposób klasyczny – wspominał Jan Popis.

REKLAMA

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina | 100-lecie Konkursu Chopinowskiego | DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | MECENAS: ORLEN | PARTNER STRATEGICZNY: PKO Bank Polski | PARTNERZY: LEXUS, Lotnisko Chopina Warszawa, PZU Fundacja, YAMAHA | OFICJALNY PRZEWOŹNIK NIFC: LOT

eprasa.pl eebb42529e

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

16 Czy nadeszła meta bezwzględności Mety?
SYLWIA CZUBKOWSKA

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Długa historia milczenia

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL / MATERIAŁY PRASOWE



KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA: *Porozmawiajmy o nas. Pokoleniach, które urodziły się w tylko pozornie bezpiecznej odległości od wojny*

20 Dziesięć autokarów śmierci
MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Problemu patokierowców nie tyka się w obawie o społeczny gniew zwolenników „szybkiej i bezpiecznej" jazdy*

22 Rampa z podgrzewaniem
FILIP SPRINGER: *Budownictwo społeczne wraca do Polski po latach niedofinansowania. TBS-y budują lepiej niż deweloperzy*

■ ■ OPINIE

28 Czy mogłabym tu gdzieś zatańczyć
WOJCIECH ŚMIEJA: *Gdzie szukać współczesnego portretu Polaków? Zajrzyjmy do miejsc, gdzie nasze zdjęcia poprawia AI*

■ ■ ŚWIAT

32 Może pan napisać, że zwątpiłam w system
SEBASTIAN JABŁOŃSKI: *Co trzeci Niemiec chce głosować na skrajnie prawicową AfD. Także w Berlinie*

36 Horyzont zimowy
FILIP RUDNIK: *Ukraińców czekają ciężkie miesiące*

38 Oczy szeroko przymknięte
ŁUKASZ KOTERBA: *Czy Holandia zbliża się już do latynoskiego modelu „państwa narcos"?*

■ ■ WIARA

44 Pierwsze drzwi
KATARZYNA WASIAK: *Moje ciało zna dotyk funkcjonalny. Dotyk intymny, związany z czułością, to zakazane doświadczenie*

ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10 Szkoła wyłącza telefon

MAGDALENA BIGAJ

Od 1 września dzieci chodzą do szkoły, w której obowiązuje zakaz telefonów. Czemu i komu ma to służyć? Jak to robią inni? I czy mleko już się nie rozlało?

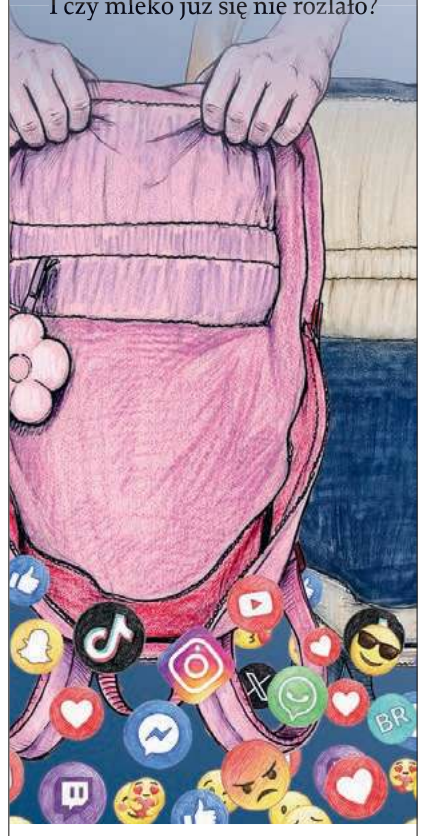

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o Zondacrypto*

27 OLGA DRENDA *na koniec lata*

43 WOJCIECH BONOWICZ *o solidarności*

76 PAWEŁ BRAVO *o przecierach*

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o psychoterapii*

GRAFIKA NA OKŁADCE:
ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
MONIKA OCHĘDOWSKA

46 Duchowość i masturbacja
PROF. MARIA BEISERT: *Katolickie normy moralne rozmijają się z wiedzą o człowieku*

50 Modlitwa znaków zapytania
KS. JACEK PRUSAK SJ: *O książce „Modlitwa zmęczonych Kościołem"*

51 Biskupia kanonada
O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM: *Instrukcja włoskiego biskupa, odmawiająca pogrzebów grzesznikom, jest metaforą choroby współczesnego katolicyzmu*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Dzieci mgły na tropie przodków
PAWEŁ ZARYCHTA: *Niemcy szukają informacji o bliskich, którzy żyli w czasach wojny*

■ ■ NAUKA

58 Cyfrowa kolonizacja
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Big Techy rozwiązują dla nas codzienne problemy, a jednocześnie tworzą głębsze, wpływając na funkcjonowanie całych państw*

■ ■ KULTURA

64 Szekspir z Wirginii

SOPHIE BASSOULS / SYGMA / GETTY IMAGES



MACIEJ JARKOWIEC: *Poznajcie najnowocześniejszego pisarza Ameryki*

68 Koniec nas zaskoczył
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK *żegna Ignacego Karpowicza*

70 Z geometrii
OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI *o nowych wydaniach książek Leopolda Buczkowskiego*

72 Nasze ciała to wesołe miasteczka
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Jak Anthony Bourdain nadał popkulturze nowy blask*

74 Kres niewinności
ANITA PIOTROWSKA *o nowych filmach retro-futuro*

75 Podróże wielorakie
LEKTOR *o „Nokturnie śródziemnomorskim" Marka Zagańczyka*

■ ■ ZMYSŁY

78 Oddychaj spokojnie
PATRYCJA BUKALSKA: *Lato powoli dobiega końca, ale w Szkocji trwa sezon na kąpiele*

eprasa.pl eebb42529e

KS. ADAM

Boniecki: *W zakamarkach podświadomości*

Przedziwny mechanizm, pamięć, wydobywa spod warstw wspomnień to jedno, niepokojące, zasypane, zdawałoby się, raz na zawsze innymi. Wspomnienie dawne, ale jak na złość całkiem wyraźne, właśnie to, a nie inne. Nie wiem, czy wszyscy tak mają. Ja tak mam. Teraz, gdy kres życia wyraźnie się zbliża, takie wspomnienia wychodzą spod ziemi i trapią. Nie wiadomo, co z nimi zrobić. Na pewno nie opisywać, choć pewnie i to może kusić. Przez długie lata życia wspomnień dobrych i niedobrych zebrało się sporo, ale one na ogół nie straszą. Są czasem nieco zatarte, czasem do bólu wyraziste bez względu na upływające lata, ale nie straszą, nie uwierają. Ale są też te inne, schowane głęboko, które teraz wyłażą na wierzch i dręczą.

Wśród osób najbliższych miałem dwie, które przeszły przez obozy koncentracyjne: siostry mojej matki trafiły tam po powstaniu warszawskim. Jedna była malarką, wspominałem już kilka razy, że po powrocie rysowała sceny z obozu. O świecie za drutami wiele nie mówiły – pamiętam tylko jedną opowieść: rozmawia kilka więźniarek, ciocia podchodzi do nich i słyszy, jak któraś z tajemniczą miną mówi, że podobno wśród nich jest hrabianka. Ponieważ chodziło właśnie o nią, obróciła wszystko w żart. Pamiętam, że miała do tego wydarzenia jasny stosunek: jakie znaczenie mają tytuły, kiedy dziś się żyje, a jutro można pójść z dymem.

Czy ciotki dręczyły jakieś wspomnienia? Czy tłumiły potrzebę mówienia? Wątpię. Chyba wiedziały,



GRAŻYNA MAKARA

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Czego chcesz od szkoły?*



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

Znam nauczycieli, którzy mówią bez ogródek: polski rodzic, a zwłaszcza pewien jego typ, to przekleństwo naszej edukacji. Nie MEN, nie kolejny reformatorski nalot dywanowy nadzorowany z Alei Szucha, nawet nie Przemysław Czarnek w straceńczym mikście z Barbarą Nowak, a właśnie pani Basia od Frania z 3C rozsadzi swoją niespożytą energią polski system oświaty.

Weźmy przedszkola. Pan A nie życzy sobie, by dzieci wychodziły na spacer, bo się poprzeziębiają. Pan B chce, by je hartować. Pani C zgłasza, że córeczka wróciła do domu z siniakiem, i żąda dochodzenia. Rodzic D prosi, by zwiększono wymagania, a najlepiej nauczono pisania. Pani E przeciwnie: przedszkole – powiada – jest od zabawy.

Być może ślad tych karykaturalnie nakreślonych pragnień niektórzy dostrzegą w ogłoszonym właśnie raporcie z badań Centrum Edukacji Obywatelskiej na temat oczekiwań Polaków w wieku 18-65 lat (a osobno rodziców szkolnych dzieci) od szkoły. Czy np. możliwe jest zbudowanie edukacji stawiającej na wspólnotowość (za znaczącą uważa ją

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 26

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl eebb42529e

że są sprawy, o których po prostu nie da się opowiedzieć. Oczywiście: książki pisane zaraz po wojnie, po powrocie z obozów, są bezcenne. Ludzie, którzy doświadczyli nieprawdopodobnych cierpień, mieli potrzebę dzielenia się tym doświadczeniem. Nie wszyscy jednak. Myślę, że zarówno opowieści, jak i milczenie należy szanować.

Mówię to też jako ksiądz. Ponad 60 lat kapłaństwa, a więc spotkań z ludźmi, często na płaszczyźnie największej dyskrecji, to ważna lekcja. Lekcja – nade wszystko – dyskrecji. Ileż rozmów – nie spowiedzi – z zastrzeżeniem zachowania tego, co usłyszę, w tajemnicy. Mam nadzieję, że tej tajemnicy nigdy nie naruszyłem. Wielu opowieści już dokładnie nie pamiętam, pewnie wiele zapomniałem. Mam jednak przekonanie, że nigdy nie miałem pokusy opowiadania czegoś, co poznałem dlatego, że jestem księdzem. To jest jakimś dziwnym odruchem schowane w sferze, z której nie czerpię i której nie otwieram nigdy przed nikim.

Tych kilka myśli przyszło mi do głowy po lekturze wywiadu **ANNY GOC** z **KATARZYNĄ SURMIAK-DOMAŃSKĄ**. Choć jest to rozmowa wielowątkowa, nade wszystko dotyka kwestii mówienia i milczenia. I jedno, i drugie może być wyzwoleniem, i jedno, i drugie może człowieka zniszczyć.

PS. W wieku 98 lat zmarł bliski mi człowiek, Andrzej Wielowieyski. Żegnam go na stronie internetowej „TP”, bo żyję dość długo, by wiedzieć, że ludzi takich jak on nie ma wielu i że bez nich świat byłby jak zupa bez soli. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

75 proc. Polaków i 81 proc. rodziców), a równocześnie skupionej na przygotowaniach do egzaminów (73 i 81 proc.)? Autorzy przekonują, że szkoła może łączyć, a jednym z argumentów na poparcie tej tezy jest inna statystyka: aż 65 proc. respondentów CEO nie mieści się w dychotomicznym podziale na „poszukujących innowacji” i „strażników tradycji” – wielu to „pragmatycy codzienności”, reprezentujący różne elektoraty, chcący szkoły kształtującej umiejętności i przygotowującej do życia.

Może wszystkie te grupy połączy tzw. zakaz używania „ekranów”, o którym pisze **MAGDALENA BIGAJ**? Nie, nie mam na uwadze jednomyślności w tej sprawie – nietrudno sobie wyobrazić pana F, który będzie bronił konstytucyjnego prawa dzieci do TikToka. Niewykluczone jednak, że wszyscy jesteśmy zwolennikami zakazu, nawet jeśli część z nas tego nie wie.

Chcesz w szkole wspólnoty i relacji? Tego nie da się zrobić z telefonami w trakcie przerw. Pragniesz poligonu szykującego do egzaminów? Ekrany dewastują koncentrację dziecka, więc zapewne obniżą też jego wynik na maturze. Szkoła ma dać rzetelną wiedzę o świecie? Ekran to nader często teoria spiskowa i *fake news*.

Chcesz czy nie, wyboru – tym razem trafnego – dokonano za nas na Alei Szucha. Na zdrowie. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

RYSZARD KOZIOŁEK
o tym, jak oglądać i czytać „Lalkę”. Czy jesteśmy suwerenni, czy raczej kierują nami siły, nad którymi nie mamy kontroli? Czy obraz siebie jako wolnej, myślącej i czującej istoty nie jest humanistyczną fikcją? Te pytania Prusa są wspólne i dla czasów rewolucji przemysłowej, i rewolucji AI.

SZYMON DĄBROWSKI
Do końca czerwca pacjent mógł sprawdzić w sieci, gdzie na wizytę u specjalisty poczeka najkrócej. Dlaczego w nowym systemie tej informacji nie ma?

RADOSŁAW SIKORSKI i O. WOJCIECH GIERTYCH
Jacek Stawiski wypytuje ministra spraw zagranicznych i watykańskiego teologa o polskość, wiarę, zwątpienia i relacje Kościół–państwo.

MARCIN MIŁKOWSKI
Archeologia emocjonalna Siri Hustvedt. Wdowa po Paulu Austerze, jak i on ceniona pisarka, zamienia żałobę w literaturę. Z jakim efektem?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl eebb42529e

OBRAZ TYGODNIA

24–30 SIERPNIA 2026

W NEPALU ZGINĘŁO PONAD 900 OSÓB, a ponad 4000 uznano za zaginione w wyniku błyskawicznych powodzi i błotnej lawiny, które nawiedziły pogranicze kraju z kontrolowanym przez Chiny Tybetem. ■■■ **KONCERN META,** właściciel Facebooka i Instagrama, zawarł ugodę z 47 stanami USA i wypłaci prawie 17 mld dolarów w związku z zarzutami o uzależnianie najmłodszych użytkowników. Ugodę musi zaakceptować sąd federalny. ■■■ **W MOSKWIE** przez kilka godzin przebywał szef CIA John Ratcliffe. Według amerykańskich mediów, zaproponował Rosji szczyt Trump-Putin-Zełenski i przestrzegł Kreml przed atakowaniem państw NATO. ■■■ **W KIJOWIE** władze twierdzą, że Putin wydał armii rosyjskiej rozkaz, by do końca roku zajęła całe terytoria obwodów donieckiego i ługańskiego. ■■■ **ESKALACJA** ze strony Rosji postępuje. Ukraina potrzebuje większego wsparcia w powietrzu – oświadczył Donald Tusk po rozmowie z sekretarzem generalnym NATO. ■■■ **PIĘĆ SAMOLOTÓW F-35** wylądowało w bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku. Do końca roku mamy mieć 14 takich maszyn. ■■■ **ZATRZYMANO CZTERY OSOBY** podejrzewane o udział w śmiertelnym pobiciu 36-letniego kibica Hutnika Kraków. Prezes Wisły, Jarosław Królewski, zapowiedział walkę z pseudokibicami. ■■■ **RADOSŁAW PIESIEWICZ** został aresztowany na trzy miesiące. Prokuratura postawiła mu zarzuty płatnej protekcji i zaspokojenia grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością. Prezes PKOl nie przyznaje się do winy. ■■■ **SEJM SPRÓBUJE** na najbliższym posiedzeniu odrzucić prezydenckie weto do ustawy o rynku kryptoaktywów, a także do ustawy o statusie osoby najbliższej. ■■■ **SIEDMIORO NOWYCH SĘDZIÓW** Trybunału Konstytucyjnego apeluje do władz o podjęcie działań, które umożliwią orzekanie czwórce z nich (niedopuszczanej przez prezesa Bogdana Święczkowskiego). Prawnicy przypominają, że na ich działalność orzeczniczą nie wpływa to, czyimi głosami zostali wybrani. ■■■ **ZMARLI:** Andrzej Wielowieyski (98 lat), żołnierz AK, wieloletni działacz KIK, w III RP m.in. wicemarszałek Senatu RP; Dolly Parton (80 lat), amerykańska piosenkarka i filantropka; Ratko Mladić (84 lata), skazany w Hadze za ludobójstwo serbski generał z czasów wojny w Bośni. ■■■ **ISLANDCZYCY PRZECIW INTEGRACJI** z UE. 52,8 proc. głosujących w referendum opowiedziało się przeciwko rokowaniom z Brukselą. ■■■ **PREMIER KANADY** Mike Carney oświadczył, że nazwa jeziora Ontario jest starsza niż Stany Zjednoczone (wcześniej Donald Trump podpisał dekret o zmianie na jezioro Ameryka). ■■■ **DONALD TRUMP** ogłosił zawarcie porozumienia z Wenezuelą, na mocy którego USA przejmą kontrolę nad znaczną częścią wenezuelskich rezerw ropy naftowej. ■■■ **BENJAMIN NETANJAHU** potępił przemoc, jakiej grupa osadników żydowskich dopuściła się wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu Jordanu. ■■■ **FALA UPAŁÓW** wraca do południowej Europy. W niektórych krajach temperatura przekroczy 40 stopni Celsjusza. ©℗



GODOFREDO A. VÁSQUEZ / AFP / EAST NEWS

CZY NADESZŁA META BEZWZGLĘDNOŚCI METY?

Amerykańska ugoda i polska ofensywa wobec korporacji Zuckerberga skłoniły niektórych do odtrąbienia sukcesu w starciu z Big Techem. Przyjrzyjmy się jednak szczegółom.

SYLWIA CZUBKOWSKA

POWYŻEJ: Od prawej Lori Schott, Erin Popolo i Julianna Arnold, których dzieci popełniły samobójstwo, przed gmachem sądu w Oakland, 18 sierpnia 2026 r. Tego dnia rozpoczął się tam proces Mety, dotyczący zarzutów o uzależnianie dzieci od Facebooka i Instagrama.

Bardzo bym chciała mieć więcej wiary, że w Polsce szarża Rafała Brzoski, a w USA front stanowych prokuratorów rzuci na kolana firmę Zuckerberga. Że Meta przestanie zarabiać na scamach, uzależnianiu dzieci

eprasa.pl eebb42529e



Polski scam, Brzoska kontra Meta

META ZAPOWIADA, że „rozszerzony zostanie proces identyfikacji reklamodawców usług finansowych kierujących reklamy do Polski", czyli że będzie bardziej dbała, by wyłapywać więcej scamów. Obiecuje też, że „do końca 2026 r. 90 proc. przychodów reklamowych Mety na świecie pochodziło od zweryfikowanych reklamodawców. Wobec 70 proc. w 2025 r. Będziemy nadal inwestować w procesy weryfikacji, aby wyprzedzać działania oszustów" (cytaty z Jakuba Turowskiego, szefującego Mecie w Polsce).

WSZYSTKO TO oczywiście zrobi sama: zaproponuje standardy i poprawi skuteczność swoich algorytmów. W co Rafał Brzoska ewidentnie nie wierzy: odpala system Scam Watch, który ma wyłapywać scamerskie reklamy i dawać ludziom szansę, by je zgłaszać. Ale co dalej z tymi reklamami? Milioner proponuje, by poszkodowani szli do sądów, ale znów: dla Mety będzie to jak ukąszenie komara. O systemowych regulacjach cicho. Podobnie jak o tym, że jednak warto by było, by prezydent Nawrocki nie wetował ustawy wdrażającej DSA, która dałaby ścieżkę do urzędowych nacisków na Big Techy także w sprawie scamów. ©

i ogólnie nie będzie czyniła zła. Tyle że ani w jednej, ani w drugiej sprawie do winy się nie przyznaje i jest to wymowny sygnał co do ewentualnej woli poprawy.

UGODA W USA Po trzech latach przygotowań do sądowej batalii, niespodziewanie, dosłownie w momencie, gdy sprawa miała trafić przed wymiar sprawiedliwości, Meta zawarła ugodę z 47 amerykańskimi stanami. Korporacja zgodziła się zapłacić odszkodowanie, by zakończyć roszczenia dotyczące tego, że Facebook i Instagram wyrządziły krzywdę młodym ludziom poprzez uzależniające projekty produktów i naruszenia prywatności. Co więcej: zobowiązała się wdrożyć spore ograniczenia w dostępie do swoich usług dla nieletnich.

Najwięcej zainteresowania wzbudza kwota, jaką Meta ma zapłacić, czyli 17,1 mld dolarów. Tyle że z tego gwarantowaną sumą jest niecałe 13 mld, i to płatne w ratach przez 10 lat. Dodatkowe 5 mld jest uzależnione od tego, czy podobne ugody zostaną zawarte z TikTokiem, YouTube'em i Snapem.

Oczywiście wciąż to sporo, szczególnie w skali dotychczasowych kar nakładanych na Big Techy. Tyle że dla Mety, której przychody wynoszą ponad 200 mld dolarów rocznie, a zyski sięgają dziesiątek miliardów, to ledwie wahnięcie w budżecie.

Więcej konkretów może dać reszta ugody, czyli zobowiązania do wprowadzenia sporych ograniczeń w dostępie dla nieletnich, w tym limity czasu (domyślnie 2 godziny dziennie), blokady nocne (od północy do szóstej rano), ograniczenia powiadomień w godzinach szkolnych, ukrywanie liczby lajków, ograniczenia filtrów upiększających i lepsza weryfikacja wieku. Zmiany mają być monitorowane przez niezależnego audytora.

AKCJE ROSNĄ Wielu zwolenników zaostrzenia zasad, na jakich dzieci korzystają z platform cyfrowych, jest zadowolonych. I może to faktycznie wyglądać jak odcięcie najbardziej szkodliwych mechanizmów wpływających na dzieci. Tyle że... po ogłoszeniu tej ugody akcje Mety podskoczyły. Czyli rynek szybko ocenił, że może i zmiany są realne, ale nie rozwalą całej struktury skoncentrowanej na zarabianiu na targetowaniu behawioralnym. Kluczowe elementy modelu biznesowego firmy, takie jak spersonalizowane, algorytmiczne feedy, zbieranie danych celem sprzedaży reklam, uzależnienie od korzystania bez przerwy, pozostają nietknięte.

Szczególnie że nawet punktowo nie dotyczą dorosłych, którzy przecież też są poddawani negatywnym efektom celowo niekończącego się scrollowania, pętli dopaminowej czy reklam scamów.

Co więcej: część zapowiadanych zmian Meta już wcześniej testowała, a jako że limity i funkcje bezpieczeństwa będzie można obejść za zgodą rodziców, to na pewno korporacja szczegółowo obliczyła, ile i jak na tym straci, a ile jednak może zyskać.

SPOSÓB NA KONKURENCJĘ Jakby tego było mało, Meta wykorzystuje ugodę do wywierania presji na TikToka, YouTube'a i Snapa. Jako że koncern od lat ma problemy z ucieczką młodych użytkowników do konkurencji, to może się okazać, że oto znalazł sposób na to, by jednak choć trochę utrudnić – szczególnie TikTokowi – wygodne prowadzenie biznesu.

Na deser ugoda pozwoliła Mecie uniknąć procesu, który mógł ujawnić więcej dokumentów, wewnętrznych danych i dowodów, a więc groził o wiele wyższymi karami. A przede wszystkim pozwolila uniknąć precedensu i ograniczyć możliwości lobbowania przeciwko ostrzejszym regulacjom na poziomie państwowym.

Nie zrozumcie mnie źle: większa ochrona dzieci na Instagramie, TikToku i całej reszcie na pewno nie zaszkodzi. Wręcz przeciwnie. Tyle że w tle toczy się walka o to, by platformy antyspołecznościowe zmusić do fundamentalnych zmian w modelu biznesowym. A więc Meta może i przegrała bitwę, ale jednak całą kampanię rozgrywa kilka ruchów do przodu.

Podobnie jest w Polsce, gdzie szarża Rafała Brzoski przeciwko reklamom scamów zaowocowała wyrokami sądowymi, popsuciem wizerunku Mety i jej menedżerów, a nawet politycznym zrywem, by korporację za łamanie unijnego DSA ukarać miliardem złotych. I znów: świetnie, że patologiczne działania korporacji są nagłaśniane, a politycy czują się wywołani do tablicy w kwestii wyciągania konsekwencji wobec Big Techów. Tyle że nie tylko o Metę chodzi. Niemniej patologicznie pod kątem reklam scamów jest i na YouTubie, TikToku, X czy w Google News. A przede wszystkim: firma Zuckerberga, choć pod pręgierzem, znów rozgrywa kryzys na swoją korzyść [patrz ramka obok – red.]. Owszem: płaci, ogranicza, deklaruje. Ale jej model biznesowy i swoboda działania zostają nienaruszone. ©

eprasa.pl eebb42529e



Giertych topi aferę

MAREK KĘSKRAWIEC

Tląca się od miesięcy afera Zondacrypto wybuchła z całą mocą wraz z aresztowaniem Radosława Piesiewicza, a stało się to akurat wtedy, gdy obóz rządzący zmagał się z serią kryzysów wizerunkowych. Afera w Szpitalu Południowym; rekomendowanie członka rządu Macieja Berka do TK; defraudacja pieniędzy dla powodzian przez działaczy KO; wreszcie skandal wokół raportu Barbary Mróz-Gorgoń – wszystko to tworzyło obraz zmęczonej, pozbawionej planu działania władzy, która kroczy ku wyborczej klęsce.

Zondacrypto mogła być punktem zwrotnym. Trudno usprawiedliwić potajemne spotkanie posła PiS Michała Moskala z Przemysławem Kralem na Ibizie, po którym Moskal składa 13 poprawek do ustawy o kryptowalutach. Trudno zrozumieć Tomasza Sakiewicza, którego TV Republika przytuliła 37 mln zł za reklamy od oszustów, a on sam w pewnym momencie planował nawet sprzedaż Zondzie 20 proc. akcji i odwiedzał Krala w Monako. Do tej listy można dołożyć Karola Nawrockiego, który trzykrotnie zawetował ustawę regulującą rynek kryptowalut, a także Zbigniewa Ziobrę, przyjmującego od Zondy 450 tys. zł na swą fundację.

Kompromitację środowiska podsumował Krzysztof Bosak na portalu X: „Tragikomiczne są tłumaczenia polityków, którzy uwierzyli, że wszystko jest OK z prawnikiem, który zastąpił na funkcji swojego szefa, który zaginął, a prawdopodobnie został zamordowany". Sławomir Cenckiewicz, do niedawna szef BBN, uznał wręcz, że afera powinna być początkiem budowania nowej prawicy. Uderza ona zwłaszcza w PiS, którego politycy zapomnieli o haśle Polski Solidarnej i utrzymywali kontakty z firmą mającą kryminalne powiązania oraz tysiące ofiar na sumieniu – straty klientów to 2,4 mld zł.

Aż trudno uwierzyć, że to polityczne złoto marnuje dziś Donald Tusk, pozwalając, by twarzą działań państwa nie był prowadzący śledztwo prokurator Marek Wełna, ale negocjujący zakres zeznań Krala poseł KO Roman Giertych (jako adwokat broniący aferzystę *pro bono*), postać skompromitowana endecką przeszłością, ale ciesząca się zaskakującą sympatią szefa rządu, mimo że nie ufa mu ponad połowa Polaków.

Dla opinii publicznej, ale też dla części KO (np. Sławomira Nitrasa) to znak, że nie tyle liczą się dziś ofiary Krala, co polityczny wątek afery. Efekt może być taki, że cokolwiek Kral powie, duża część społeczeństwa będzie się zastanawiać, ile w tym prawdy, a ile kłamstw w ramach próby zadowolenia potrzeb obozu władzy i walki o niski wyrok. Fakt: decydujący głos ma tu niezależny sąd, ale politycy zrobili chyba wszystko, by odebrać wiarygodność naszej trzeciej władzy. ©℗



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Roman Giertych w Sejmie, 29 lipca 2026 r.



Coś drgnęło

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Było i jest tak źle, że tytułowa fraza, a nawet konstatacja, iż „zatrzymaliśmy negatywny trend" w kwestii dzietności, wystarczyły w ubiegłym tygodniu za prawdziwą sensację kończących się wakacji. Zanim jednak przyjrzymy się tym „drgnięciom" i „zatrzymaniom", zobaczmy, jak nisko osunęliśmy się w tej konkurencji – nawet w porównaniu z krajami, które od dawna uchodziły za słabeuszy, i nawet na tle samych siebie sprzed dekady czy dwóch.

Liczba urodzonych w Polsce dzieci wyniosła w 2025 r. 238 tysięcy, czyli 14 tysięcy mniej niż rok wcześniej, ponad 130 tysięcy mniej niż dekadę wcześniej i prawie pół miliona mniej niż w stanowiącym rekordowy, jeśli idzie o ostatnie półwiecze, roku 1983. Współczynnik dzietności, czyli liczba pokazująca, ile przeciętna Polka w wieku rozrodczym ma potomstwa, to u nas 1,07, czyli samo dno klasyfikacji krajów unijnych – z grubsza dwa razy więcej potrzeba do tzw. zastępowalności pokoleń, a trzykrotnie więcej mieliśmy w rekordowych latach 50. XX wieku. W końcu trzeci, najrzadziej pokazywany, a równie ważny w tej historii wskaźnik: żyje w tej chwili w Polsce ok. 8,5 mln kobiet w wieku rozrodczym, podczas gdy ta sama liczba w niektórych okresach PRL-u przekraczała 10 mln.

A co oznaczają wspomniane „drgnięcia"? Na razie tylko i aż tyle, że po latach regularnych spadków ustabilizowała się nam roczna liczba urodzeń – szacowana na bieżąco nie tylko w ramach kalendarzowych lat (od stycznia do grudnia), ale też tzw. sumy kroczącej (ostatnie dwanaście miesięcy od dowolnego punktu). Dzieje się tak pomimo że z każdym rokiem kurczy się – nawet o 2 procent! – baza potencjalnych matek, czyli wspomnianych ok. 8,5 mln kobiet do 49. roku życia. Jak to możliwe? Wygląda na to, że po prostu każda z nich nieco chętniej niż w poprzednich latach decyduje się na potomstwo i że wkrótce to drgnięcie zauważymy w naszym współczynniku dzietności. O przyczynie można tylko spekulować, ale prawdopodobna jest hipoteza związana z trawiącymi nas w ostatnich latach kryzysami: może po pandemii i pierwszym szoku wojny na wschodzie młodzi Polacy chcący mieć dzieci przestali odkładać decyzję o ich posiadaniu. Nadal się starzejemy, nadal się wyludniamy, ale pojawia się cień nadziei na zmianę.

To raczej niewiele jak na kraj szorujący po demograficznym dnie. Ale całkiem sporo jak na państwo z deficytem jakichkolwiek dobrych w tej sprawie wieści. ©℗

eprasa.pl eebb42529e

Himalaje: upały i katastrofy



DANIEL CENG / ANADOLU / GETTY IMAGES

Nepalczycy chroniący się na wyżej położonych terenach przed gwałtowną powodzią na rzece Trishuli. Bidir, Nuwakot, 30 sierpnia 2026 r.

KLIMAT ■ Wyobraźmy sobie bryłę lodu wielkości warszawskiego Stadionu Narodowego, która odrywa się od krawędzi lodowca na wysokości ok. 5200 m n.p.m. i spada 1200 metrów w głąb górskiej doliny. Obryw zabiera ze sobą także miliony ton skał i ok. 57 mln metrów sześciennych wody uwolnionej z lodowca – czyli mniej więcej zawartość szerokiego na ponad cztery kilometry zbiornika w Dziećkowicach, który zaopatruje w wodę pitną znaczną część Górnego Śląska.

Wedle wstępnych szacunków właśnie taka sekwencja zdarzeń zapoczątkowała powódź błyskawiczną, która 26 sierpnia spustoszyła dolinę Bhote-Kosi na pograniczu Tybetu i Nepalu.

Liczba ofiar sięgnęła już 900 zabitych oraz ponad 4 tys. zaginionych i wciąż rośnie. Kluczowe w tym regionie przejście graniczne Rasuwagadhi nie istnieje. Powódź całkowicie zniszczyła także chiński Gyirong Port, w którym poza ważnym dla lokalnej gospodarki rzecznym portem przeładunkowym znajdowało się kolejne ważne przejście graniczne. Fala na rzece Trishuli wywołana obrywem spowodowała liczne podtopienia nawet kilkadziesiąt kilometrów poniżej miejsca obrywu.

Co doprowadziło do katastrofy? Pierwszym podejrzanym było trzęsienie ziemi. Sejsmografy istotnie zanotowały w okolicy wstrząs o magnitudzie 5,2. Po dalszej analizie sejsmolodzy z United States Geological Survey doszli jednak do wniosku, że aparatura wychwyciła sygnał sejsmiczny, który został wywołany przez sam obryw. Obecnie głównym podejrzanym jest ocieplenie klimatu. Jedna z hipotez zakłada, że woda wytapiająca się z lodowca na wysokości 5200 m n.p.m., gdzie do tej pory temperatury poniżej zera utrzymywały się przez cały rok, zdestabilizowała grunt pod czołem lodowca spływającego z masywu siedmiotysięcznego Langtang Lirung.

Zmiany klimatyczne w górach wysokich stanowią coraz poważniejsze wyzwanie dla mieszkańców. Górskie miejscowości wyrosły w miejscach, które przez setki lat uważano za bezpieczne od lawin, powodzi czy obrywów skalnych. Ocieplenie klimatu, które sięga dziś ponad dotychczasową granicę wiecznego śniegu (4000 m n.p.m.), zmienia tymczasem geografię takich zagrożeń. W maju 2025 r. potężny obryw skalny w szwajcarskiej dolinie Lötschental, wywołany topnieniem wiecznej zmarzliny w masywie Klaines Nesthorn (3341 m n.p.m.), dosłownie starł z powierzchni ziemi wieś Blatten, zamieszkiwaną nieprzerwanie od ponad 600 lat.

Alpy, a w jeszcze większym stopniu Himalaje to tereny gospodarczo zależne od turystyki. Zmiany klimatyczne sprawiają tymczasem, że wiele górskich atrakcji turystycznych staje się tymczasowo lub stale niedostępnych. Temperatury powyżej zera utrzymujące się całą dobę nawet powyżej granicy 4000 m n.p.m. doprowadziły w te wakacje do zamknięcia niektórych szlaków turystycznych i dróg wspinaczkowych w Alpach. ©℗ MAREK RABIJ

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl eebb42529e

TEMAT TYGODNIKA

SZKOŁA BEZ TELEFONU

Od 1 września dzieci chodzą do szkoły, w której obowiązuje zakaz telefonów. Czemu i komu ma to służyć? Jak to robią inni? I czy mleko już się nie rozlało?

MAGDALENA BIGAJ



eprasa.pl eebb42529e

Pytanie nie jest zaczepne. W polskiej debacie publicznej postulat wprowadzenia takiego przepisu pojawiał się przed pandemią, a w kolejnych latach – wraz z niepokojącymi doniesieniami o negatywnym wpływie produktów cyfrowych na dzieci i młodzież – jeszcze nabierał mocy. W ubiegłorocznym badaniu CBOS za zakazem opowiedziało się już 73 proc. respondentów. Od blisko roku toczy się też debata o innym zakazie – tym dotyczącym mediów społecznościowych, który wprowadziła Australia (pisałam o nim w „TP" nr 26/2026).

Co zakaz telefonów oznacza w praktyce i jaki jest jego cel?

Czy potrzebowaliśmy zakazu

Dla wielu może być zaskoczeniem, że dyrektorzy od lat mogli wprowadzać zasady używania (i nieużywania!) prywatnych urządzeń na terenie szkoły. Gwarantowała to ustawa o systemie oświaty z 7 września 1991 r., która wprowadzała decentralizację edukacji i przyznawała władzom placówki autonomię w zakresie kadrowym, finansowym, a także w zakresie dydaktyki, nadzoru i administracji. Ustawa Prawo oświatowe, która weszła w życie 7 września 2017 r., tylko tę autonomię umocniła.

Teoretycznie nic nie stało więc na przeszkodzie, by dyrektorzy wprowadzali na terenie szkoły rozmaite rozporządzenia, w tym „zakaz telefonów". W praktyce decydowało się na to niewielu. I choć deklaratywnie nawet ponad połowa szkół w Polsce potwierdzała posiadanie zakazu telefonów w statucie, w rzeczywistości w wielu placówkach zapis był martwy, co było przeciwskuteczne, bo pokazywało uczniom, że prawo można lekceważyć, a dorośli są w jego egzekwowaniu nieudolni i hipokrytyczni.

„Pan od WF-u rzuca nam piłkę i gra w gry na telefonie", „Pani od matmy robi zakupy w czasie lekcji" – mówili uczniowie edukatorkom Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, w której pracuję. „Nie chcemy być cerberami telefonów" – skarżyli się z kolei nauczyciele na kolejny obowiązek. Ktoś przecież musiał nowe zasady egzekwować.

Bez wytycznych, jak skutecznie uwolnić szkołę od smartfonów, często dobry cel realizowano niewłaściwymi środkami, takimi jak konfiskata albo przetrzymywanie telefonu w ramach kary. Tymczasem, czy to się komuś podoba, czy nie, prywatny telefon, smartwatch czy tablet są własnością ucznia lub rodzica. Niektórzy rodzice i uczniowie pisali skargi do kuratorium. Telefony stały się kolejnym tematem polaryzującym społeczność szkolną.

Jak narastał problem

W minionym roku szkolnym zespół edukatorek Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa odwiedził 264 szkoły i przedszkola. Niezależnie od wielkości miejscowości i typu placówki nie było miejsca, w którym prywatne urządzenia dzieci i młodzieży nie stanowiłyby problemu. Jednak w porównaniu do lat wcześniejszych tym razem odnotowałyśmy coś jeszcze: pojawienie się grup rodziców, którzy zrzeszali się w celu wprowadzenia zakazu, wspierając dyrekcję, a czasem robiąc to nawet wbrew niej. Zwykle stanowili mniejszość w społeczności rodziców, ale ich determinacja dawała przewagę nad tymi, którzy konieczność regulacji uważali za zbędną lub pozostawali bierni.

Na poziomie społecznym rósł więc wrzód, pulsujący frustracją nauczycieli, którym trudno było prowadzić lekcje, poczuciem uprzedmiotowienia wśród dzieci i młodzieży, którym grożono nieokreślonym zakazem, oraz niepokojami wśród rodziców, którzy spierali się, czy szkoła może ingerować w kwestię tego, co dziecko ma w plecaku. Sytuacji nie sprzyjał brak konsensusu w środowisku naukowym co do pozytywnych efektów zakazu (na marginesie: rzetelna nauka potrzebuje czasu, a na wiele pytań nigdy nie znajdzie jednoznacznych odpowiedzi; tak jest m.in. z kwestią wpływu nowych technologii na człowieka, o czym przypomina jedna z czołowych badaczek tematu, brytyjska psycholożka Amy Orben).

Przedłużający się pat był korzystny wyłącznie dla producentów gier, komunikatorów i platform algorytmicznych, jak TikTok czy YouTube, które dzieci i młodzież skrolowały w godzinach szkolnych. Wrzód pulsował i trzeba go było oczyścić, nawet jeśli nie leciał z nami doktor.

Po co to wszystko

Kiedy minister edukacji Barbara Nowacka zapowiedziała jesienią 2025 r. wprowadzenie zakazu, zwróciła uwagę, że dzieci i młodzież najwięcej czasu przed ekranem spędzają poza szkołą. Słowa te – przez wielu komentatorów odebrane jako unikanie odpowiedzialności – zgadzają się ze stanem faktycznym.

Według danych z raportu „Internet dzieci 2026", tylko 13 proc. czasu ekranowego dzieci i młodzieży ze szkół podstawowych przypada na godziny spędzane w szkole. Myśląc o pozostałych 87 proc., można zrozumieć, że zakaz nie rozwiąże takich problemów jak kontakt z treściami krzywdzącymi w internecie czy korzystanie z niego w sposób problemowy, np. kosztem czasu na inne ważne czynności. Szkoła i dom to system naczyń połączonych, ale w kwestii higieny cyfrowej, czyli używania nowych technologii w sposób bezpieczny, wywiązywać się muszą oba środowiska. Tymczasem w wynikach Ogólnopolskiego badania higieny cyfrowej młodzieży widzimy, że choć szkoła dostarcza uczniom wiedzy w tym zakresie, młodym brakuje praktykowania dobrych nawyków, a to już rola rodziców i opiekunów.

Czy to argument przeciwko zakazowi? Ani tak, ani nie, bo celem zakazu nie jest wyręczanie rodziców z pełnienia kontroli rodzicielskiej nad dziećmi w sieci, lecz umożliwienie szkole realizowania jej podstawowych celów: nauczania, wspierania w budowaniu relacji społecznych i zapewniania uczniom bezpieczeństwa w trakcie pobytu w placówce. Na wszystkich tych polach ekrany stanowią poważne utrudnienie.

Przede wszystkim: telefon noszony w plecakach i kieszeniach pobudzał uczniów do korzystania z niego podczas lekcji. Badania potwierdzają, że wystarczało, by jeden z uczniów wyciągał swoje urządzenie, i cała klasa się rozpraszała. Tymczasem, aby praca nauczyciela przyniosła efekt, uczeń musi być skupiony. Koncentracja zaś jest stanem wymagającym, w który nie wchodzimy w ciągu kilku sekund.

Jak być bezpiecznym

W kwestii relacji rówieśniczych, ale także tych nauczyciel–uczeń, używanie w szkole telefonów też nie poprawiało sytuacji. Choć badania prowadzone m.in. przez prof. Jacka Pyżalskiego pokazują, że upowszechnienie smartfonów nie spowodowało automatycznie wzrostu liczby uczniów dopuszczających się przemocy, to jednak nowe narzędzie stało się ↦

ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

eprasa.pl eebb42529e

↦ sterydem dla starej przemocy. Teraz można było nagrać ukradkiem nauczyciela i opublikować w sieci jego zmodyfikowane zdjęcie lub uwiecznić dokuczanie koledze.

Możliwość utrwalenia aktu przemocy powoduje wtórną wiktymizację osoby jej doświadczającej, a uzyskanie w ten sposób uwagi otoczenia może stanowić zachętę dla sprawców. Obrazuje to historia, którą opowiedziała mi jedna z lokalnych interwentek kryzysowych. Grupa uczniów z V klasy poczekała na moment, gdy kolega z niepełnosprawnością ruchową będzie miał rzut choroby, by rozebrać go w toalecie i nagrywać, jak czołga się po ubrania. Czy gdyby te dzieci nie miały możliwości nagrania wideo i opublikowania go w sieci na wzór patostreamerów, to takie zachowanie przyszłoby im do głowy?

Także z perspektywy promocji zdrowia telefony na terenie szkoły to problem. Biorąc pod uwagę wydatek energetyczny, który mózg chętnie optymalizuje, nie ma nic dziwnego w tym, że podczas przerw między lekcjami uczniowie sięgają po najłatwiej dostępną formę obniżenia napięcia. Jednak nawet gdyby przeglądali Wikipedię czy wywiad z Davidem Attenborough, skrolowanie wiąże się ze stagnacją. Siedzimy lub stoimy, nasza głowa jest pochylona, widzenie wąskokątne śledzi szybko zmieniające się obrazy. Przerwa między lekcjami powinna zaś służyć czemuś innemu: rozprostowaniu kości po 45 minutach na twardym krześle, dotlenieniu mózgu, chwilowemu odpoczynkowi od przyswajania informacji.

Uwolnienie szkoły od ekranów nie jest jednak proste, bo faszerowana nimi była co najmniej przez dekadę. Co więcej: na szkoleniach dla nauczycieli do dziś zachęca się do korzystania na lekcjach z mobilnych aplikacji czy quizów. Ministerstwo nie zawracało sobie głowy zapewnieniem szkolnych urządzeń do wykonywania takich zadań: było oczywiste, że uczniowie przyniosą własne.

Jak to robią inni

Z tym samym kłopotem mierzy się większość państw świata. W tegorocznym Raporcie UNESCO z Globalnego Monitoringu Edukacji czytamy, że zakaz telefonów w szkołach wprowadziło już 58 proc. państw (nie uwzględniono tych, które zrobiły to po marcu, np. Polski). Zakaz telefonów nie wszędzie jednak oznacza to samo.

Przyglądając się rozwiązaniom ze świata, wyróżnić możemy cztery modele. Pierwszy to pełny zakaz używania prywatnych urządzeń, które muszą być obowiązkowo zdeponowane, a często też wyłączone (takie przepisy obowiązują m.in. w Nowej Zelandii i Irlandii). Znacznie popularniejsze jest łączenie zakazu ustawowego z wyjątkami, takimi jak konieczność posiadania telefonu przy sobie, dyktowaną potrzebami zdrowotnymi czy względami bezpieczeństwa. Hybrydowy model funkcjonuje np. w Brazylii, Chile czy Francji. Ta ostatnia jest zresztą na etapie kolejnych modyfikacji: w 2024 r., po sześciu latach obowiązywania zakazu używania telefonów podczas lekcji, przerw i zajęć pozalekcyjnych, widząc, że uczniom zdarza się wciąż używać telefonów w toaletach oraz nie wyciszać ich, postanowiono rozpocząć eksperyment „Portable en pause": w szkołach objętych pilotażem uczniowie oddają urządzenia do depozytu lub chowają do specjalnych etui, a MEN prowadzi pomiar skuteczności tego rozwiązania (słowa „pilotaż" oraz „pomiar" są tu kluczowe i jeszcze do nich wrócimy).

Modelem mniej restrykcyjnym jest zakaz używania prywatnych urządzeń tylko podczas lekcji, który spotkamy w Finlandii i wielu stanach USA. Czwarty, rozproszony model, to indywidualne regulacje leżące w gestii szkoły. Podobne zasady obowiązywały w Wielkiej Brytanii, jednak także tam latem zaostrzono przepisy. Nie zdecydowano się na twardy zakaz, lecz wydano wytyczne zobowiązujące szkoły do wprowadzenia rozwiązań, które ograniczą korzystanie z prywatnych urządzeń i uczynią je „wolnymi od telefonów".

Komu zakaz, komu wybór

Na poziomie zapisów w ustawie, Polska znajduje się blisko modelu francuskiego, który łączy różne rodzaje ograniczeń z wyjątkami. Twórcy nowych przepisów uwzględnili trzy etapy edukacji i dla każdego wprowadzają własny rodzaj zasad, dotyczących zarówno telefonów, jak i innych urządzeń z dostępem do internetu.

W przedszkolach i oddziałach przedszkolnych wprowadzono zakaz wnoszenia i korzystania z telefonów i innych urządzeń ekranowych. Chociaż u wielu taki zapis może budzić zdziwienie,

REKLAMA



eprasa.pl eebb42529e

w grupie tej na pewno nie są nauczycielki edukacji przedszkolnej: problem dzieci przyprowadzanych do przedszkola z telefonem w ręku ma miejsce w wielu placówkach, a nakarmione ekranami przedszkolaki potrafią zdezorganizować pracę całej grupy. W tym przypadku odbiorcą zakazu są wyłącznie rodzice, ale normotwórcza moc prawa daje szansę na wzbudzenie refleksji przynajmniej u części z nich.

W szkołach podstawowych publicznych i niepublicznych, a także szkołach artystycznych realizujących podstawę programową podstawówki nie będzie zakazu wnoszenia telefonów i prywatnych urządzeń, lecz zakaz ich używania podczas lekcji i przerw, z wyjątkami, które brzmią podobnie jak w rozwiązaniu francuskim. W szkołach ponadpodstawowych ustawa niewiele zmienia. Każda szkoła ma prawo wprowadzić własne rozwiązanie, które musi znaleźć odzwierciedlenie w statucie.

Pozostawienie swobody na etapie, w którym część uczniów to już młodzi dorośli, jest zrozumiałe. Istnieje też szansa, że z czasem, gdy do szkół ponadpodstawowych przechodzić będą absolwenci podstawówek objętych zakazem, nieużywanie telefonu w szkole będzie stanowiło naturalny element kultury. Ale istnieje też ryzyko, że nie zmieni się nic. Tam, gdzie dotąd nie było woli zmiany, nowe prawo też nic nie zmieni.

Tym, co wspólne dla wszystkich etapów nauczania, jest akcent na edukację w zakresie higieny cyfrowej. Artykuł 26 ustawy wprowadza obowiązek corocznej diagnozy potrzeb uczniów związanych z używaniem technologii cyfrowych. Zmianie ulega także artykuł 68, który nakłada na dyrektora obowiązek promowania zachowań prozdrowotnych, w tym higieny cyfrowej i profilaktyki uzależnień.

Pozostaje jednak pytanie: kto to wszystko zrobi?

Ustawa, i co dalej

Tym, co stanowi słabą stronę nowej ustawy, jest kwestia egzekucji nowego prawa i wsparcia szkół w jego wdrażaniu. W Polsce nie ma kultury pilotażu, który pomógłby znaleźć najlepsze praktyki dla różnych placówek. Ustawa wchodzi w życie niespełna dwa miesiące od uchwalenia, szkoły mają obowiązek dostosować się do niej od 1 września, a zmiany w statutach wprowadzić do 31 grudnia 2026 r.



ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

Na przygotowanie szkół do zmiany potrzeba więcej niż kilka dni, a dyrektorzy i nauczyciele dostali wytyczne dopiero 27 sierpnia.

Kiedy zmienia się podstawa programowa jakiegoś przedmiotu, np. języka polskiego, można się spierać o jej zakres, ale nauczyciele są przygotowani do jego realizacji, gdyż nadal dotyczy to ich przedmiotu. Tymczasem ustawa dotycząca ograniczenia korzystania z prywatnych urządzeń wymaga od grona pedagogicznego interdyscyplinarnej wiedzy i umiejętności kreatywnych.

W dokumencie przygotowanym przez MEN dla szkół podstawowych pt. „Szkoła podstawowa bez smartfonów. Praktyczny przewodnik dla dyrektorów i nauczycieli", który ministerstwo wysłało do szkół dopiero 27 sierpnia, czytam o szeregu kroków, które powinien podjąć dyrektor. Np. o kreatywnych przerwach, konsultacjach z całą społecznością szkolną, ewaluacji podjętych działań, corocznych analizach. To wszystko jest potrzebne, ale wymaga znacznie więcej czasu niż ostatnie kilka dni wakacji. Komu przypadnie to zadanie, skoro w wielu szkołach brakuje nauczycieli podstawowych przedmiotów, nie mówiąc o edukacji zdrowotnej? Jak przyjęty zostanie ten obowiązek w roku, w którym wchodzi kontrowersyjna reforma edukacji „Kompas jutra", stanowiąca – jak to reforma – olbrzymie wyzwanie dla szkół?

Choć eksperci z organizacji zajmujących się edukacją cyfrową na początku roku przygotowali na prośbę MEN szczegółowe wytyczne do ewentualnego zakazu, we wspomnianym dokumencie rzecz sprowadzono do ogólnych haseł: połącz zakaz z edukacją, rozważ najlepsze rozwiązanie, porozmawiaj z rodzicami.

Czy przewidziano szkolenia dla nauczycieli, dotyczące egzekwowania zakazu? Czy i kiedy zostanie przeprowadzona ewaluacja kosztów wdrożenia? I najważniejsze pytanie: kto te koszty poniesie? Ustawa obejmie 20,6 tys. szkół, ponad 5 mln uczniów i ok. 554 tys. nauczycieli, a rząd planuje przeznaczyć na jej wdrożenie... zero złotych. Dla porównania: na wyposażenie szkół w „pracownie AI" przeznaczono 1,8 mld zł, dostarczając im sprzęt, o który nie prosiły, i obarczając dodatkową odpowiedzialnością za jego zabezpieczenie i włączenie w dydaktykę.

Nie wszystkie kraje na wdrożenie zakazu przeznaczają oddzielny budżet (choć Irlandia wyasygnowała 9 mln euro). Opcją minimum powinien być jednak pakiet wdrożeniowy, jak ten, który przygotowała Wielka Brytania. Są w nim szczegółowe wytyczne dla szkół, w tym gotowe materiały dla rodziców, dane i argumenty do komunikacji z nimi, przykłady dobrych praktyk już stosowanych przez szkoły, a także wskazówki dotyczące sankcji, przeszukiwania uczniów i wyjątków od reguł.

Gdzie schować smartfona

Skąd nauczyciel czy dyrektor ma to wiedzieć, skoro nie uczy się o tym na studiach? Owszem, tę wiedzę oferują organizacje państwowe i pozarządowe, powinna jednak zostać skonsolidowana ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ w ramach Zintegrowanej Platformy Edukacyjnej. W liczącym 11 stron przewodniku MEN dla szkół podstawowych o tych tematach głucho.

Gdyby ustawę o zakazie telefonów wprowadzano zgodnie z najlepszymi standardami i na podstawie doświadczeń innych krajów, systemowe wsparcie dla wszystkich szkół i przedszkoli powinno wystartować natychmiast po jej uchwaleniu. Mamy w Polsce Ośrodek Rozwoju Edukacji czy Instytut Badań Edukacyjnych – Państwowy Ośrodek Badawczy, które mają wszelkie zasoby, by zrealizować takie zadanie. Wymaga to jednak strategicznego myślenia. Tymczasem w resorcie edukacji, niezależnie od tego, kto nim kieruje, pokutuje rozdawanie miliardów na rozproszone programy realizowane przez setki organizacji o różnym poziomie merytorycznym. To nie gwarantuje równego dostępu do wiedzy i narzędzi.

Z praktyki szkoleniowej naszego Instytutu wiemy, że zakaz telefonów rozbija się najczęściej o prozaiczną rzecz: co z nimi począć, gdy uczeń przyniesie je do szkoły? Ustawa nie daje odpowiedzi. Dopuszcza zorganizowanie depozytu, klasowych kieszonek lub specjalnych etui dla każdego ucznia, pozwalających zatrzymać telefon przy sobie, ale uniemożliwiających korzystanie z niego. Zarówno ustawa, jak przewodnik dla dyrektorów podstawówek są jednak niespójne.

Jeśli ustawa wprowadza centralny zakaz używania urządzeń, to nie da się go zrealizować „klasowymi kieszonkami" czy innymi pojemnikami, z których uczeń co przerwę musi telefon wyjąć i przenieść do kolejnej sali. Co ma z nim zrobić na przerwie? To rozwiązanie mniej skuteczne niż noszenie w plecaku, bo kontaktuje ucznia co 45 minut z pokusą klikania.

Inną sugestią, która znajduje się w przewodniku, jest zostawianie telefonów w sekretariacie szkoły. Wystarczy wyobrazić sobie sytuację w przeciętnej „tysiąclatce", do której uczęszcza kilkuset uczniów, by zrozumieć kuriozalność tego pomysłu.

Jeśli jakaś placówka zdecyduje się na depozyt, ma obowiązek chronić prywatność uczniów i uniemożliwić dostęp do ich telefonów osobom niepowołanym. Ta pozorna swoboda wyboru jest w istocie zepchnięciem problemu na szkoły i samorządy. Kieszonki mogą zrobić sami uczniowie, ale kto pokryje koszty monitoringu, szafek lub specjalnych etui? Budżet państwa stać było na zakup kosztownego sprzętu komputerowego, ale na skrzynki mniejsze niż te na listy już nie. Czekamy na powstanie lobbingowego Związku Cyfrowa Skrzynka czy Rafała Brzoskę wjeżdżającego na żółtym koniu?

Dzieci w sieci: kodeks dobrych praktyk

OCHRONA DZIECI przed szkodliwymi skutkami nadmiernego korzystania z technologii nie może zależeć od zasobów finansowych rodziny ani typu szkoły.

PAŃSTWO POWINNO wprowadzić minimalny wiek dostępu do serwisów społecznościowych. Odpowiedzialność za egzekwowanie ograniczeń wiekowych winna spoczywać na dostawcach usług.

ROZWÓJ NARZĘDZI opartych na AI wymaga uwzględnienia szczególnej ochrony dzieci i młodzieży jako grupy podatnej na manipulację, dezinformację, nadużycia emocjonalne i kontakt z nieodpowiednimi treściami generowanymi automatycznie.

USŁUGI CYFROWE dostępne dla dzieci i młodzieży powinny być projektowane z uwzględnieniem zasady bezpieczeństwa i dobrostanu użytkownika.

DZIECI I MŁODZIEŻ powinny podlegać szczególnej ochronie przed mechanizmami opartymi na profilowaniu i reklamie behawioralnej. Ochrona ta powinna obejmować również zakaz wykorzystywania danych i wizerunku dzieci w działaniach komercyjnych oraz kierowania do nich przekazów reklamowych.

NIEZBĘDNE JEST dalsze wdrażanie europejskich regulacji dotyczących przeciwdziałania przemocy seksualnej wobec dzieci w środowisku cyfrowym.

Na podstawie: „Internet dzieci 2026 – Raport z monitoringu obecności dzieci i młodzieży w internecie" autorstwa Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa, GEMIUS, Polskich Badań Internetu i Państwowej Komisji ds. wyjaśniania przypadków czynności skierowanych przeciwko wolności seksualnej i obyczajności wobec małoletniego poniżej lat 15.

Po czym poznamy, że się udało

O skuteczności ustawy powiedzą wyniki ewaluacji. W dokumencie Ocena skutków regulacji, opublikowanym 24 marca wraz z projektem ustawy, czytamy, że MEN zamierza porównywać wyniki kolejnych edycji międzynarodowych badań edukacyjnych PISA, porównując się z innymi krajami i biorąc pod uwagę, czy obowiązuje tam zakaz telefonów. W jaki sposób jednak wyniki np. uczniów z Finlandii, o najbardziej liberalnej formie zakazu, ale diametralnie innym systemie edukacji, mogłyby być porównywane z polskimi?

MEN zapowiada analizowanie liczby skarg wpływających do organów nadzoru pedagogicznego i wyników kontroli prowadzonych w ramach takiego nadzoru, co ma służyć zidentyfikowaniu ewentualnych problemów. Wielu z nich można jednak zapobiec ucząc się od Francji, która w ramach wspomnianego eksperymentu zidentyfikowała takie uniwersalne dylematy jak to, kto odpowiada za telefon przechowywany przez szkołę i pilnuje oddawania urządzeń? Kto finansuje infrastrukturę? Jak rozwiązać problem odpowiedzialności za kradzież lub uszkodzenie mienia?

W dokumencie czytamy, że „pomocne będą wyniki publikowanych w następstwie wprowadzenia zakazu badań naukowych, które będą wykazywać wymiar jego skuteczności w zakresie relacji społecznych i zdrowia psychicznego uczniów". Ale jeśli takie badania miałyby być rzeczywiście miarodajne, powinny być przeprowadzone przed wdrażaniem ustawy, aby mieć punkt wyjścia do porównań.

Co więcej: dane związane ze zdrowiem psychicznym czy ewentualnym uzależnieniem behawioralnym nie powinny być traktowane jako bezpośredni wskaźnik skuteczności wprowadzenia zakazu telefonu w szkole. Wyobraźmy sobie dziecko doświadczające w domu

eprasa.pl eebb42529e

przemocy albo cierpiące na tak wieloczynnikową chorobę jak depresja. W jakim stopniu szkolny zakaz telefonu mógłby zostać uznany za dominujący czynnik wpływający na stan ich zdrowia psychicznego?

Czy zasady są lepsze od zakazów

Nikt nie lubi słowa „zakaz". Jest w nim szorstkość, groźba i arbitralność. Zakaz dzieli ludzi na tych, którzy zakazują, i tych, którym się zakazuje. Język zaś tworzy rzeczywistość.

Znacznie lepszym słowem są zasady. To słowo z porządku demokratycznego, zawierające w sobie wspólnotę, elastyczność i wzajemną odpowiedzialność. Pisałam o tym w książkach i poradniku „Higiena cyfrowa w szkole i przedszkolu", który wspólnie z ekspertami wydaliśmy w Instytucie Cyfrowego Obywatelstwa. Opisywaliśmy tam, jak wprowadzić zakaz krok po kroku, dostarczyliśmy narzędzia w postaci scenariuszy rozmów z uczniami i rodzicami, wzory statutów i porozumień, a także opisywaliśmy placówki takie jak podstawówki w Kluczach i w Cerekwicy, które z sukcesem wprowadziły zasadę nieużywania telefonów do kultury szkoły.

„Dyrektor jest architektem szkoły" – powiedział mi Marcin Szala, który w zarządzanym przez siebie liceum wprowadził zakaz telefonów. „Pani dyrektor była zdeterminowana" – powtarzała nauczycielka z Kluczy, gdy zadzwoniłam po dwóch latach zapytać, jak oceniają zasady u siebie w szkole. „Modyfikowałem zasady latami, aż znalazłem to, co działa u nas" – powiedział Jarosław Pytlak, dyrektor z ponad 30-letnim stażem.



ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

Nikt nie lubi słowa „zakaz". Kluczem do sukcesu są raczej jasne i klarowne zasady.

Co ciekawe: tam, gdzie możliwy jest wybór szkoły, coraz więcej rodziców już dziś szuka dla swoich dzieci placówek w duchu waldorfskim, stawiających na kreatywność i rozwój umiejętności, które mogą chronić przed nadmiernym skrolowaniem w przyszłości. W obliczu kryzysu demograficznego, który wiele szkół publicznych stawia przed koniecznością starania się o uczniów, wprowadzenie żywych zasad zamiast martwego zakazu może być jedną z kluczowych przewag konkurencyjnych.

Gdzie szukać klucza

W czasach, gdy wiele firm technologicznych traktuje ludzi jak biomasę i „farmę danych", potrzebujemy nowych norm społecznych: dzieciństwa bezpiecznego cyfrowo i szkół wolnych od wpływu gospodarki cyfrowej. Normy zaś tworzą się wtedy, gdy są dla społeczeństwa zrozumiałe, obserwowane w najbliższym otoczeniu i odbierane jako możliwe do zastosowania. W tym sensie dostarczenie szkołom konkretnych wytycznych i jednolitych narzędzi stanowi klucz do sukcesu.

Ale nawet gdy uda się uczniom odebrać na czas pobytu w szkole to, z czego w sposób nieskrępowany korzystali przez ostatnie lata, i tak na jedno pytanie nie znajdziemy odpowiedzi: co damy im w zamian? Można by zapytać o to samych zainteresowanych, ale kto by na to tracił czas, gdy za rok wybory.

© MAGDALENA BIGAJ

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl eebb42529e

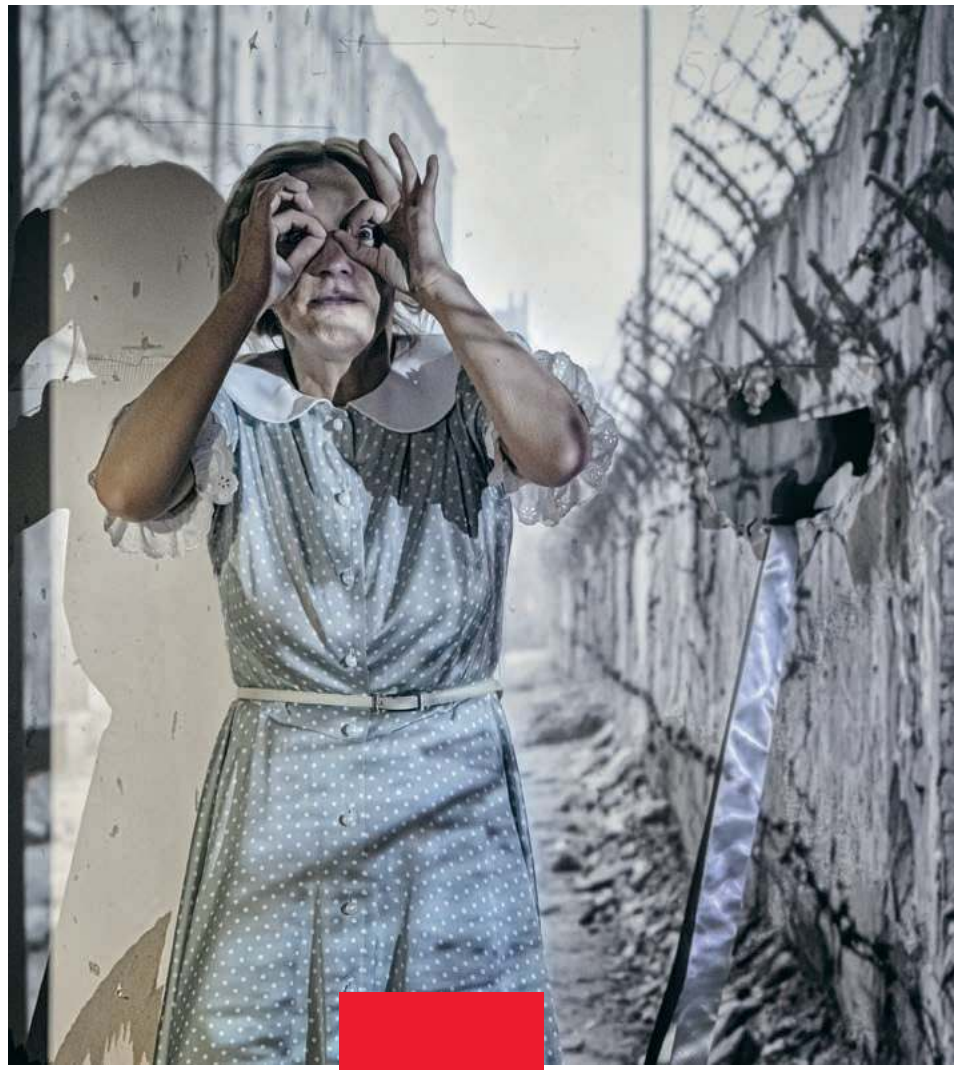

KRAJ

DŁUGA HISTORIA MILCZENIA

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA, REPORTERKA:

Porozmawiajmy o nas.
Pokoleniach, które urodziły się
w pozornie bezpiecznej odległości od wojny.

ANNA GOC: Kim jest „Bronuś”?

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA: Dziesięcioletnim chłopcem, którego „bandziorki” nauczyły grać w tysiacza, czyli w tysiąca. Gdy przychodzili do jego domu w Dębiance pod Lwowem, siadał na zapiecku i stamtąd ich obserwował. Zwłaszcza ich broń, która robiła na nim duże wrażenie.

W 1943 roku, podczas czystki etnicznej wymierzonej w polskich mieszkańców Wschodniej Galicji, partyzanci Ukraińskiej Powstańczej Armii, których mój tata do końca życia nazywał „bandziorkami”, urządzili w domu mojej babci Franciszki swoją bazę.

Dlaczego właśnie Bronusiowi – tamtemu chłopcu, a nie swojemu dorosłemu ojcu, zadedykowałaś książkę „Świat przed nami nie istniał”, która jest reporterską opowieścią o traumie wojennej i o tym, jak ona wpływa na kolejne pokolenia?

Ktoś kiedyś powiedział, że jeżeli chcesz polubić kogoś, kogo nie jest łatwo polubić, wyobraź go sobie jako dziecko. Mój ojciec był człowiekiem srogim, surowym, miał problem z okazywaniem uczuć. Dawniej nie rozumiałam, dlaczego taki był.

Odkrywając historię mojej babci, mogłam też lepiej zrozumieć ojca. Zobaczyłam go jako dziesięciolatka, który znalazł się w centrum kataklizmu. Wyobraziłam sobie, jak bardzo musiał być przerażony i samotny. I jak bardzo czuł się odpowiedzialny za swoją mamę, która wpadła w obłęd i według jego słów „przestała być sobą”, oraz za młodsze rodzeństwo. Kiedy myślę o moim ojcu jako Bronusiu, znajduję w sobie dla niego więcej wyrozumiałości i czułości.

Gdy zaczynałaś rekonstruować historię babci, nie miałaś jednak pewności, dokąd zaprowadzi Cię kwerenda.

Niepewność, czego doświadczyła Franciszka podczas czystki, co wywołało jej obłęd, jest pytaniem, które wisi nade mną do dziś.

Gdy przyszła rzeź, babcia mieszkała sama w wiosce Dębianka pod Lwowem z trojgiem dzieci. Jej mąż był na robotach przymusowych w Niemczech, a potem w niejasnych okolicznościach znalazł

eprasa.pl eebb42529e



MAGDA HUECKEL / DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

Monodram Agnieszki Przepiórskiej „Ocalone", w reż. Mai Kleczewskiej, opowiada o Irenie K., ofierze Zieleniaka, która po 80 latach odzyskuje głos.

się w Paryżu, gdzie mieszkała też siostra babci.

Nasz dom w Dębiance był w pewnym momencie ostatnim polskim domem we wsi. Pozostałe spalili partyzanci UPA, zamordowali też wielu mieszkańców. Dom Frani ocalał jako jedyny murowany w okolicy: ciepły i suchy. Formalnie wprowadził się do niego niejaki Pyłyp, nasz sąsiad, który także wstąpił do UPA. Ale przez wiele miesięcy niemal co noc gościli u niego jego kompani. W dawnej sypialni Frani mieli swoje narady, a potem pili wódkę, śpiewali antypolskie piosenki, przechwalali się dokonywanymi mordami. Czy moja babcia, której pozostawili do dyspozycji jeden pokój, mogła być bezpieczna? Podobno Pyłyp był przed wojną dobrym człowiekiem. Być może fakt, że to on był gospodarzem, dawało rodzinie przez jakiś czas ochronę?

Kiedy ostatecznie spłonął w końcu także dom Franciszki, Pyłyp zadbał o bezpieczeństwo siostry mojego ojca, cioci Jadzi. Uratował nawet część domowych sprzętów. To dzięki niemu mam z tamtego domu kilka pamiątek.

Jak rozumiałaś wcześniej „obłęd" babci?

Frania zmarła, zanim się urodziłam. Z rodzinnych opowieści wynikało, że była osobą oderwaną od rzeczywistości, żyła w swoim świecie. Potrafiła na przykład wstać od stołu i iść przed siebie. Zatrzymana, nie pamiętała, co się działo, była jak wybudzona ze snu. W rodzinie mówiło się, że jej obłęd wiązał się z tym, że partyzanci UPA zastrzelili jej siostrę. Nikt nie łączył go z tym, co potem działo się w jej domu.

Brakowało mi babci. Ale dopiero jakieś osiem lat temu przyszło mi do głowy dowiedzieć się o Frani czegoś więcej. Poszukiwania doprowadziły mnie do tematów przemilczanych w mojej rodzinie. Do emocji, które mimo upływu wielu lat wciąż pracowały. Zorientowałam się, że wdepnęłam w coś bardzo bolesnego.

Nie pomagało też to, że – jak opisujesz w książce – miałaś wrażenie, jakby to były dwie wojny: ta, o której opowiadał w domu tata, i ta, o której uczyliście się w szkole.

W pierwszej klasie podstawówki wychowawczyni zaprowadziła nas do szkolnej izby pamięci. Usłyszeliśmy, że mydło, które jest w gablocie, zostało zrobione z człowieka. Miałam sześć lat i nie potrafiłam tej informacji z niczym powiązać.

Na początku lekcji stawaliśmy na baczność i śpiewaliśmy: „Ramię prężą, słabość krusz, / Ducha tęż, Ojczyźnie miłej służ! / Na jej zew w bój czy trud / Pójdzie rad harcerzy polskich ród". To również była dla mnie czarna magia. Co to jest ojczyzna? Wystraszyłam się, że będę musiała iść w jakiś bój. W moim domu takich słów się nie używało. Tata wypierał wszystko, co było związane z koszmarem wojny. Wspominając wydarzenia z Kresów, trywializował ich grozę. Opowiadał je jak bajkę. Były „bandziorki", była „kropelka krwi" na koszuli cioci, ale to był zaledwie przelotny cień na dominującym w jego narracji sielskim obrazie białego domku otoczonego wspaniałym ogrodem i sadem.

Zdążyłaś porozmawiać o tym z ojcem?

Tata zmarł trzy lata temu. Wiele razy próbowałam pytać go, co działo się w jego domu podczas czystki. Zwykle odpowiadał tymi samymi zdaniami, te same anegdoty.

Nie ośmieliłabym się jednak użyć przy nim słowa „trauma". Tego typu słowa to był w jego oczach szczyt pretensjonalności, na którą miał uczulenie. Powiedziałby, że w jego czasach nie było traum i żadni psychoterapeuci nie byli nikomu potrzebni.

Kiedyś myślałam, że jedyną osobą dotkniętą przez prawdziwą wojenną traumę była moja babcia. Zastanawiałam się, jak to jest możliwe, że ja jeszcze odczuwam jej skutki. Sporo czasu zajęło mi zdanie sobie sprawy, że łącznikiem był mój tata. Wydawał mi się zawsze tak traumoodporny. Niesamowite, jak łatwo przychodzi nam połączenie kropek w historiach, które ktoś nam opowiada, a z jakim trudem analizujemy czasem własne.

Co piąty Polak ma lub miał objawy zaburzeń po stresie traumatycznym (PTSD) – wynika z opracowania Laboratorium Badań nad Traumą na Wydziale Psychologii UW. W swojej nowej książce zwracasz uwagę na to, jak bardzo nie rozumiemy źródła naszych lęków.

Po publikacji „Czystki" odezwali się do mnie czytelnicy, którzy chcieli mi powiedzieć, że w ich rodzinach było podobnie. Opowiadali o milczeniu rodziców czy dziadków. Albo o niekończącym się potoku makabrycznych wspomnień, których nie dało się słuchać. O tajemnicach, o nieumiejętności rozmawiania o emocjach, o wypieraniu.

Tak powstał pomysł na nową książkę, na portret pokolenia – nas, którzy urodziliśmy się w pozornie bezpiecznej odległości od wojny. Moi bohaterowie wspominali, że odczuwali irracjonalny lęk. Nie rozumieli go, nie potrafili wyjaśnić jego źródeł. Wskazywali na objawy somatyczne, a także na odruchy i nawyki, które nie miały uzasadnienia.

O syndromie drugiego pokolenia wojny *(second generation of war*

↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ *syndrom)* **opowiada w Twojej książce m.in. Lucille Uffner, była więźniarka obozu pracy przymusowej dla Żydów w Częstochowie, która oszczędzała córce wspomnień, bo chciała, podobnie jak jej znajomi, wychować pokolenie „bez skazy" wojennej.**

Mój ojciec także uważał, że o przeszłości należy zapomnieć. Myślę, że przez większość życia to mu się udawało. Przekonałam się podczas kwerendy do książki, że to była dość powszechna praktyka stosowana przez przedstawicieli Cichego Pokolenia. Zatrważające są wspomnienia ich dzieci o tym, że dotychczas radosny, pełen wigoru tata lub energiczna, pozytywnie patrząca na życie mama – nagle u progu starości doznają gwałtownego załamania. Zaczynają krzyczeć, wyć w nocy przez sen, a następnie osuwają się w stan podobny do depresji. To, że próbujemy zapomnieć o traumie, nie oznacza, że ona zapomina o nas. Wymazywana przeszłość nie znika. Zdarza się, że przyczaja się i daje o sobie znać, gdy jesteśmy starsi i słabsi.

Z badań wynika również, że na konsekwencje traum wojennych bardziej narażeni są ci, w domach których o wydarzeniach wojennych się milczało.

Tak, to bardzo ciekawa obserwacja. Okazuje się, że dużo łatwiej nam zaakceptować nawet trudną przeszłość, o ile jest wokół nas przestrzeń do mówienia o niej, analizowania i rozumienia. Najgorsze są sekrety, puste miejsca w biografiach bliskich. Z drugiej strony wiadomo, że mówienie z dziećmi o własnych drastycznych przeżyciach to bardzo często wyzwanie ponad siły.

Kiedyś myślałam, że nasi rodzice i dziadkowie nie opowiadali o wojnie, bo chcieli chronić nas. Dziś wiem, że ci ludzie często chcieli chronić samych siebie. Mama powstańca warszawskiego Stanisława Likiernika, która w czasie wojny straciła rodziców i wszystkie swoje siostry, wyznała kiedyś wnuczce, że nie może jej opowiadać o pradziadkach, bo wtedy zacznie płakać. A jeśli zacznie płakać, to już nie przestanie.

Wojna zostawiła nas z różnymi epidemiami, z biedą. Nasi dziadkowie po zakończeniu wojny musieli zadbać o sprawy fundamentalne – odbudowę zniszczeń, urządzenie się po nowemu.



ARCHIWUM AKT NOWYCH

Rysunek przysłany na konkurs dla dzieci, który w 1946 r. ogłosiło Ministerstwo Oświaty

Większość moich bohaterów przyznaje, że poznawanie przeszłości swoich rodziców i dziadków, nawet jeśli było trudne, ostatecznie dawało im ulgę. **Pomagało się do nich zbliżyć.**

Nie mieli czasu ani możliwości, żeby zajmować się czymś takim jak psychika. Trudno było też rozpamiętywać własne cierpienia, gdy obok ludzie mieli często na koncie cierpienia jeszcze straszniejsze.

Wojenną pamięć blokowała też polityka. Niektóre traumy wpadły do kategorii „wspomnienia zakazane".

Przykładem jest konkurs rysunkowy dla dzieci, który w 1946 roku ogłosiło Ministerstwo Oświaty. Zadania konkursowe brzmiały: „Moje osobiste wspomnienia z czasów wojny i okupacji" oraz „Co zdarzyło się w mojej rodzinie i u naszych krewnych podczas wojny i okupacji". Co z nich wynika?

Wystarczy przejrzeć prace tych dzieci, żeby przekonać się, jak konkurs był zmanipulowany. To nauczyciele zwykle dyktowali tematy. Rysunki przysyłane bezpośrednio z domów przechodziły przez cenzurę kuratorium. Sprawcami krzywd byli na nich wyłącznie Niemcy, nigdy Rosjanie. Społeczeństwo dostało wyraźny komunikat, z czego będzie się składać oficjalna pamięć zbiorowa. Ta prywatna mogła sobie funkcjonować po domach, ale tam była zwykle przemilczana. Wyjście z nią na zewnątrz mogło skończyć się więzieniem.

Trzy lata po wojnie Stefan Baley, nazywany pierwszym polskim psychologiem społecznym, zapytał o „dusze mieszkańców, którzy zdołali przeżyć okropności wojny". Jego podejście, jak pokazujesz w książce, było jednak odosobnione.

Niezupełnie. W latach 40. XX w. działała grupka znakomitych naukowców: psychologów i pedagogów, których intrygowała kwestia psychicznych konsekwencji wojny. Zostawili po sobie co najmniej kilkanaście przeciekawych prac opartych na wywiadach, sondażach. Tylko że szybko podcięto im skrzydła. W czasach stalinizmu psychologia stała się nauką wywrotową, a psychoanaliza dostała łatkę narzędzia imperialistów.

Do tematu psychologicznych skutków wojny powrócono dopiero po odwilży. W 1959 roku w klinice psychiatrii Akademii Medycznej w Krakowie psychologowie Antoni Kępiński i Maria Orwid zapoczątkowali badania byłych więźniów nazistowskich obozów koncentracyj-

eprasa.pl eebb42529e

nych. Wypracowano pojęcie syndrom KZ (od *konzentrationslager*). PTSD jako jednostka diagnostyczna została wprowadzona dopiero w 1980 r. przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne.

Piszesz, że wojenna trauma rodziców czy dziadków „to pokusa, żeby się usprawiedliwić". Jak to rozumiesz?

O tym też wspominają moi bohaterowie. Skoro wiemy już, jakimi drogami wędrują traumy, wiemy, że można je dziedziczyć. A jeśli przeżycia naszych rodziców i dziadków mogą rzutować na nasze zachowania, to dlaczego nie zwalić na nich całej winy za nasze własne błędy i winy?

Podejrzewam, że członkowie UPA, którzy zawłaszczyli dom Franciszki, odpowiadają za wiele zła, z którym musiała mierzyć się ona, mój tata, a w konsekwencji moja mama i ja. Wygodnie by było zerkać w ich stronę za każdym razem, gdy coś w moim życiu pójdzie nie tak. Gdy poniosę porażkę albo zrobię coś, czego potem żałuję, czego się wstydzę. Szukać usprawiedliwienia w wydarzeniach sprzed ośmiu dekad. Owszem, czasem zdarza mi się widzieć w myślach tamtych mężczyzn. Mrugają do mnie porozumiewawczo: co, może to również przez nas?

To jest wielki test: umieć oddzielić analizowanie przeszłości od odpowiedzialności za własne życie.

Jedna z bohaterek, której babcia jako dziecko przeszła przez piekło Zieleniaka, opowiedziała mi o swoich problemach z ciałem. W 1944 r. w czasie powstania warszawskiego Rosjanie z kolaborującej z Niemcami RON-y masowo gwałcili na targowisku Zieleniak kobiety, także dziewczynki. Żeby się uchronić, kobiety próbowały się oszpecać, zasłaniać swoją kobiecość, urodę. Moja dwudziestoparoletnia rozmówczyni opowiada, że ma opór przed noszeniem ubrań podkreślających kobiecość. Ale zarazem doskonale zdaje sobie sprawę, że wiązanie tego wyłącznie z historią babci to kolejna pułapka, łatwe uproszczenie.

Twoja książka nie jest jednak katalogiem traum wojennych, raczej – katalogiem strategii, jak kolejne pokolenia mogą sobie z nimi radzić.

Większość moich bohaterów przyznaje, że poznawanie przeszłości swoich rodziców i dziadków, nawet jeśli było bardzo trudne, ostatecznie dawało



MATEUSZ SKWARCZEK / AW / MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA – reporterka od lat związana z „Gazetą Wyborczą". Autorka książek „Mokradełko", „Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość", „Kieślowski. Zbliżenie", „Czystka" oraz mającej premierę we wrześniu „Świat przed nami nie istniał. Jak wojna została w naszych domach".

im ulgę. Pomagało się do nich zbliżyć. Np. Patrycja, która zaangażowała się w odtworzenie historii swoich niemieckich pradziadków zamordowanych przez szabrowników, ostatecznie nawiązała z nimi bliską duchową więź. Stali się jej duchowymi opiekunami.

W niektórych przypadkach potomkowie nadali ich trudnym historiom drugie życie. Tak jak reżyser Marcin Krzyształowicz zrobił film „Obława", który jest mocno fabularyzowaną opowieścią o jego ojcu, Adamie Krzyształowiczu, akowcu o pseudonimie „Wydra".

Joanna Tokarska-Bakir opisuje „kulturę posttraumatyczną", która jest reakcją na powojenną „kulturę milczenia". Dyskusja wokół Wołynia jest jednym z jej przykładów.

Trauma staje się czasem towarem. Wykorzystujemy ją, żeby coś osiągnąć. Głównie w celach politycznych. Z niepokojem obserwuję, jak na tragedii czystki wołyńsko-galicyjskiej można budować pozycje influencerskie. I jako krewna ofiar patrzę z zawstydzeniem na akcje takie jak „Wołyń pamiętamy". Tym bardziej że naklejki z takimi napisami noszą zwykle osoby, które ani na Wołyniu, ani w Galicji Wschodniej nie mieli nikogo bliskiego.

Piszę w książce o Memoriale Ofiar Ludobójstwa w Domostawie. Pomnik ten wzbudził we mnie dużo złości. Oprócz niemowlęcia nadzianego na tryzub, oprócz dziecięcych główek zatkniętych na sztachety, jest tam między innymi wyobrażona kobieta z trojgiem dzieci, która wychodzi z płomieni, a drogę toruje im ksiądz z podniesionym krzyżem. Poczułam, jakby ktoś cynicznie wykorzystywał wizerunek takich prostych kobiet, cywilnych ofiar nacjonalistycznych konfliktów, jak moja babcia, do eskalowania antyukraińskiej nagonki. Ten pomnik jątrzy, zamiast być przestrogą przed tym, do czego może doprowadzić nienawiść, podsycanie napięć.

W książce przywołujesz rozmowy podczas odsłonięcia pomnika w 2024 r. I to, że właściwie nie spotkałaś tam innych potomków ofiar.

Na miejscu byli głównie politycy i mężczyźni na motocyklach liczący na potyczkę z „ukrami", którzy rzekomo szykowali się do zakłócenia mszy. Do niczego takiego nie doszło. Politycy z Konfederacji z kolei oczekiwali ode mnie jako potomkini pomordowanych, że poprę ich w antyukraińskiej propagandzie. Powiedziałam, że pomnik mi się nie podoba. Że nie jestem też zainteresowana ekshumacjami, choć w ukraińskiej ziemi jest sporo mojego DNA. Nie czuję potrzeby, tym bardziej dzisiaj, gdy trwa wojna i ciągle trzeba rozgrzebywać ziemię, by chować zabitych. Także dzieci. Całym sercem wspieram dziś Ukraińców.

Zobaczyłam ogromne rozczarowanie i chęć pozbycia się mnie stamtąd. Nie pasowałam do tej uroczystości.

W „Czystce" pisałaś, że „zemsta" jest tym słowem, przed którym przestrzegał Twój tata.

I jestem mu za ten przekaz wdzięczna. W mojej nowej książce interesują mnie nie rozliczenia historyczne, ale mechanizmy psychologiczne, którym wszyscy podlegamy, niezależnie od narodowości. Wpływają na nie sytuacja polityczna i ekonomiczna, ale przede wszystkim przechowywane w pamięci osobiste relacje z konkretnymi ludźmi.

I choć dawniej wydawało mi się, że nazywanie zbrodniarzy z UPA „bandziorkami" jest dziwaczne, dzisiaj coraz bardziej lubię to słowo. Bandyci są przecież w każdym społeczeństwie. Historia rzezi wołyńsko-galicyjskiej nie jest dla mnie opowieścią o ukraińskości, ale o mrokach człowieczeństwa.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

eprasa.pl eebb42529e



JAKUB PORZYCKI / FORUM

Malowanie pasów podczas demonstracji „Godzina ciszy na Solnej" w miejscu wypadku. Kraków, 25 sierpnia 2026 r.

Dziesięć autokarów śmierci

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

BEZPIECZEŃSTWO | Problemu patokierowców nie tyka się w obawie o społeczny gniew zwolenników „szybkiej i bezpiecznej" jazdy. Dopiero gdy dojdzie do nagłośnionego medialnie nieszczęścia, państwo ogłasza akcję „zero tolerancji". I szybko o niej zapomina.

Solna biegnie przy Wiśle, łączy krakowskie Podgórze i Zabłocie, pełno tu spacerowiczów i rowerzystów. Na odcinku prawie 300 metrów nie ma ani jednego przejścia dla pieszych, ale jest ograniczenie do 30 km/h. Ulica wiedzie pod mostem do kwartału, gdzie rozkwitła imprezownia premium – takie *Krakow Shore*. Mieszkańcy mówią, że patokierowcy robią sobie tędy rundki, strzelając wydechem, zanim pojadą się lansować w knajpach.

W sobotę 22 sierpnia spacerowali tędy 32-letni Klaudia i Mateusz z ośmiomiesięcznym synkiem w wózku. Uderzył w nich 26-letni Hubert B., wpadając na chodnik Volkswagenem Golfem 8.5 R o fabrycznej mocy 333 koni. Media relacjonowały, że znacznie przekroczył ograniczenie i stracił panowanie nad pojazdem. On sam twierdzi, że jechał przepisowo, i obwinia dziurawą drogę. Został tymczasowo aresztowany.

Małżeństwo zmarło w wyniku obrażeń, osierocone dziecko w stanie ciężkim trafiło do szpitala.

W niedzielę 23 sierpnia wieloletni mieszkaniec dzielnicy Konrad Kordas napisał na Facebooku: „Wszystko to wydarzyło się w miejscu, w którym od lat walczymy z głupotą, szpanerstwem i poczuciem bezkarności patokierowców. Mimo poświęcenia setek godzin na walkę z wiatrakami, czuję, że zrobiłem za mało. Zgłaszałem wariatów (...) Większość spraw została umorzona, mimo dokładnych nagrań i zeznań. Policja miała wizerunki kierowców, numery rejestracyjne. Wszystko. Zaledwie kilka spraw skończyło się mandatem".

MIESZKAŃCY OD LAT zgłaszali rajdy, hałas i łamanie przepisów. Po ostatniej tragedii zaczęli publikować w sieci skany urzędowej korespondencji, a właściwie dokumentację bezradności. Policja przyznaje w niej, że znała problem, i zapewnia, że kierowała tam dodatkowe patrole – większych efektów to nie przyniosło. W maju 2024 r. Rada Dzielnicy XIII zażądała zmiany organizacji ruchu w tamtym rejonie, m.in. montażu tzw. szykan spowalniających auta.

W sierpniu 2024 r. radny Rafał Zawiślak złożył w tej sprawie interpelację. Odpowiedź stała się dziś ponurym memem. Głosi ona, że według wizji lokalnej i pomiarów „większość pojazdów nie przekraczała dozwolonej prędkości i nie ma przesłanek dla wprowadzania natychmiastowych zmian w aktualnej organizacji ruchu". Podpisał się pod tym ówczesny wiceprezydent miasta, dziś p.o. prezydenta, skądinąd ceniony samorządowiec Stanisław Kracik. Po sobotniej tragedii powtórzył, że przez ostatnie pięć lat nic się tam nie wydarzyło, winny jest sprawca, ale że „zamontowanie progu czy szykan nie jest żadnym problemem".

Próg, rondo czy wysepki na Solnej dołączą tym samym do rozwiązań w ruchu drogowym okupionych krwią. Takich jak przyznanie w 2021 r. pierwszeństwa pieszym wchodzącym na przejście, nowy taryfikator mandatów z 2022 r. oraz przebudowa ul. Sokratesa w Warszawie, po tym jak w 2019 r. 31-letni Krystian O., jadąc 126 km/h pomarańczowym BMW, śmiertelnie potrącił na pasach 33-letniego Adama, przechodzącego z żoną i trzyletnim synkiem.

Może być jednak tak, że zmiany na Solnej pozostaną na papierze, jak fotoradary, od których miało się zaroić w Krakowie po tym, gdy w 2023 r. 24-letni Patryk P., mając 2,3 promila we krwi, doprowadził do śmierci swojej i trzech pasażerów w szaleńczym rajdzie Alejami Trzech Wieszczów. Miasto cały czas pracuje nad systemem kamer...

Najwyraźniej żeby zwrócić uwagę polityków, włodarzy miast, mediów i społeczeństwa, potrzeba dopiero ofiary z matki, ojca czy – jak w styczniu 2026 r. na Grochowskiej w Warszawie – dziecka. Bo „informacje o kolejnych wypadkach nie robią już na nas wrażenia, tak jak i przydrożne krzyże. Stały się częścią krajobrazu" – pisze w książce „Wszyscy tak jeżdżą" Bartosz Józefiak.

Tymczasem wskutek niedostosowania prędkości do warunków ruchu zginęło

eprasa.pl eebb42529e

w ubiegłym roku 536 osób. To dziesięć autokarów ludzi.

ŚMIERĆ PIESZYCH to codzienność – dosłownie. W 2025 r. zginęło ich w Polsce 354, to w zasadzie jeden pieszy dziennie. Niechronieni uczestnicy ruchu stanowili 45 proc. ofiar wypadków i 21,3 proc. zabitych.

Niedostosowanie prędkości do warunków ruchu to druga z najczęstszych przyczyn wypadków (4278 wypadków w 2025 r.) – po nieustąpieniu pierwszeństwa przejazdu (5091) i przed nieustąpieniem pierwszeństwa pieszemu na przejściu (2096).

Wbrew temu, co lubią powtarzać miłośnicy „szybkiej i bezpiecznej" jazdy, to nie łażący jak święte krowy piesi są głównymi winowajcami wypadków. Do 91,7 proc. z nich doszło w ubiegłym roku z winy kierujących, a z winy pieszych do 3,8 proc. Z winy kierujących zginęło 1430 osób, z winy pieszych o rząd wielkości mniej: 164 osoby.

Owszem, z roku na rok jest mniej źle: Komisja Europejska pochwaliła ostatnio Polskę za największy spadek liczby ofiar śmiertelnych w Unii w ostatnim pięcioleciu (o 35 proc. w porównaniu z 2019 r.). Ale w europejskim rankingu osób zabitych na sto wypadków drogowych (dane z 2024 r.) Polska jest na pierwszym miejscu – z wynikiem 8,8. Druga jest Bułgaria – 6,7. Najmniej zabitych jest w Niemczech (1 na 100) i Austrii (0,9). Noszące łatkę kraju drogowej anarchii Włochy mogą się pochwalić wskaźnikiem 1,7.

KRWIĄ PISANĄ regulacją będzie też rozprawa z pseudorowerami i hulajnogami elektrycznymi. W zeszłym roku na tych ostatnich zginęło 11 osób, od początku tego roku już 9. W lipcu w Biskupicach pod Wieliczką dwóch 15-latków na elektrycznej hulajnodze uległo wypadkowi, a jeden z nich, który jechał bez kasku, doznał ciężkiego urazu głowy.

Następnego dnia na Bulwarach Wiślanych w Krakowie, osławionych rajdem 15-latka na elektrycznym pseudorowerze z prędkością 80 km/h, minister infrastruktury Dariusz Klimczak ogłosił, że rząd rusza do walki z ekscesami na elektrycznych pojazdach i chce uniemożliwić import do Polski wehikułów niespełniających norm. Równocześnie nawet w social mediach widać, że do akcji przeciw osiągającym zawrotne prędkości elektrykom ruszyła też policja.

Jak w soczewce pokazuje to mechanizm decyzyjny: problemu się nie tyka w obawie przed społecznym gniewem – czy to rodziców kupujących elektryki na komunię, kierowców jeżdżących „szybko, ale bezpiecznie", czy też zatroskanych o przepustowość przeciwników zwężania arterii miejskich i instalowania szykan – dopóki nie dojdzie do wyrazistego, medialnego nieszczęścia. Wtedy społeczny gniew się przebiegunowuje i można zwołać konferencję, stanąć na czele akcji, ogłosić „zero tolerancji".

Tymczasem ten sam minister Klimczak na początku roku poinformował o resortowych rozmowach na temat podniesienia limitów na autostradach do 150 km/h, bo te „wydają się bezpieczne". Portale to podchwyciły i ile by się minister nie zastrzegał, że najważniejsze jest bezpieczeństwo na drodze, to do ludzi poszedł sygnał, że nawet władza nie poważa ograniczeń prędkości. Jak ma ich nie mieć w głębokim poważaniu właściciel auta, którego mocy szkoda na wleczenie się 140 km/h?

Może gdyby te dziesięć autokarów ludzi zginęło na raz, w jednym wypadku, decydenci ruszyliby do walki z łamaniem ograniczeń. Śmierci rozłożone na 365 dni są, widać, zbyt mało wyraziste.

ŻADNA AKCJA „zero tolerancji" nie cofnie demoralizacji wywołanej wieloletnią, demonstracyjną wręcz niemocą państwa. Państwa, przez którego granice import chińskich pseudorowerów przechodził jak nóż przez masło. Państwa, które latami zbierało się do walki z nielegalnymi wyścigami. Państwa, gdzie zakup paru mobilnych hamowni do badania rzeczywistych mocy pojazdów elektrycznych urasta do rangi przedsięwzięcia na miarę budowy stadionów na Euro 2012. Państwa, w którym pomarańczowe BMW Krystiana O. jeździło po drogach, choć w ocenie biegłych nie powinno być dopuszczone do ruchu. Państwa, w którym przez lata można jeździć mimo odebrania uprawnień. Państwa, które uznało, że wie lepiej niż mieszkańcy, czy na ulicy Solnej trzeba przyczepić parę kawałków gumy z odblaskami.

Wreszcie – państwa, które dekadę temu amputowało sobie fotoradary. W całej Polsce mamy ich zaledwie 520 plus 111 urządzeń do pomiarów odcinkowych (których zaczyna powoli przybywać). Wspomniane Włochy mają ich 10 tysięcy, czyli ponad 33 na 1000 km kw. kraju. U nas to 2,4 na 1000 km kw. Tymczasem właśnie fotoradary pozwalają nie akcyjnie, lecz systematycznie egzekwować przepisy. W dodatku działają prewencyjnie.

Wieloletni oficer drogówki, a dziś biegły podkreśla, że jedyną szansą poprawy są zmiany systemowe: w edukacji młodych kierowców, ale też w systematycznym egzekwowaniu kar. Mówi o patologicznym kulcie statystyk w policji – to problem dyskutowany od dawna. Funkcjonariusze ustawiają się tam, gdzie mogą wyrobić zadaną normę, a to niekoniecznie to samo miejsce, w którym są najbardziej potrzebni.

– Trwa wyścig na to, kto ile nałoży mandatów i w jakich kategoriach. Raz ważna jest prędkość, innym razem trzeźwość – opowiada mój rozmówca, krytykując akcyjność, książkowy przykład niesystemowego działania. Bo wypadki zdarzają się codziennie, a nie tylko w dniu akcji „Znicz".

W takim państwie wiadomo, że ryzyko kary jest niewielkie. Mieszkanka ul. Piwnej na krakowskim Podgórzu opowiada mi, że raz odważyła się podejść do właściciela złotego kabrioleta. – Powiedziałam mu, że zakłócają spokój i są niebezpieczni. Roześmiał mi się w twarz. Wiedział, że jest bezkarny.

DEMONSTRACJA na Solnej była we wtorek. Przyszli sąsiedzi, aktywiści, Krakowianie. Krótko, łamiącym się głosem, przemówił Konrad Kordas. Niedawno wyprowadził się z Piwnej. „Złość, smutek, brak snu. Strach o to, że ktoś może zginąć. Stopniowo traciłem zdrowie" – napisał na Facebooku. Społeczność mieszkańców też potrzebuje dziś wsparcia. Ich trauma to najpierw lata niemocy w walce o własny spokój i bezpieczeństwo, a teraz śmierć w sąsiedztwie.

Na zamkniętym podczas demonstracji odcinku Solnej dzieci narysowały kredą przejście dla pieszych. Gdy tłum się rozchodzi, na Solną wraca ruch.

Samochody przed kolorowymi, trochę krzywymi pasami, intuicyjnie zwalniają. ©℗

eprasa.pl eebb42529e

Rampa z podgrzewaniem

FILIP SPRINGER

ARCHITEKTURA | Budownictwo społeczne znów zaczyna wyznaczać standardy architektury mieszkaniowej w Polsce. Wystarczyło wznowić jego finansowanie.

Peanom nie było końca. W 2025 r. rybnicki Ajnfart zgarnął najważniejsze nagrody architektoniczne w kraju – Nagrodę Roku SARP, Nagrodę Architektoniczną „Polityki" oraz Nagrodę Architektura Roku Województwa Śląskiego, otrzymał też nominację do nagrody architektonicznej UE im. Miesa van der Rohe. Budynek autorstwa pracowni SLAS Architekci doceniono za wpisanie się w lokalny kontekst, nawiązania do śląskiej tradycji budowlanej i staranne wypełnienie nowego, miejskiego kwartału.

„Miałem wrażenie, że ten obiekt stał tam od zawsze" – napisał krytyk Artur Celiński. Ale zwracano uwagę na coś jeszcze. „To nie tylko świetna, dostosowana do kontekstu i funkcji architektura, ale i dowód na to, że w centrum miasta jest miejsce na dostępny (a więc w miarę tani) budynek mieszkalny dla »zwykłych« ludzi, nie tylko dla lokatorów luksusowych apartamentowców" – zauważało Culture.pl.

Jaskółka zmiany

Od pozaarchitektonicznego kontekstu nie sposób abstrahować: choć budynek wygląda jak deweloperska inwestycja z segmentu premium, to inwestorem stojącym za jego realizacją jest rybnickie Towarzystwo Budownictwa Społecznego. 80 mieszkań w Ajnfarcie nie zostało sprzedanych z zyskiem: ich powstanie było efektem polityki mieszkaniowej miasta, które zresztą zapowiedziało niemal od razu budowę 150 kolejnych.

„Przez wiele lat wydawało się, że popularne TBS-y, uważane za ubogich krewnych mieszkaniowej deweloperki i tzw. apartamentowców, nie mają żadnych szans na uznanie krytyków architektury – pisał Piotr Sarzyński w „Polityce", uzasadniając przyznanie nagrody pisma Ajnfartowi. – „Bo nie o wybitne estetyczne projekty tam chodziło, ale o budowanie tanie, w miarę funkcjonalne, ekonomiczne, omijające droższe materiały wykończeniowe, realizowane często na przedmieściach miast, gdzie grunty są tańsze. Nikt nie oczekiwał, że będzie pięknie, wszyscy – że będzie tanio".

Trudno o bardziej mijającą się z rzeczywistością ocenę, bo TBS-y już w późnych latach 90. zaczęły wyznaczać pewne standardy w budownictwie mieszkaniowym. Jedynym ich (i naszym problemem) było to, że przez permanentne niedofinansowanie budowały mało i łatwo było ich nie zauważać. Lecz to na szczęście właśnie się zmienia.

Nie trzeba odjeżdżać daleko od Rybnika, by się o tym przekonać.

Kosmiczna Kosmiczna

Weźmy Katowice. Niewielkie osiedle przy ul. Kosmicznej na skraju słynnego Giszowca. Katowicki TBS zrealizował tu zespół siedmiu niewielkich bloków. Jeszcze przez otwarciem i oddaniem do użytku inwestycja dostała nagrodę specjalną PLGBC Green Building Awards. Uzyskała też precertyfikat „Zielony Dom" za ekologiczne rozwiązania – to pierwsze tak duże osiedle w Polsce ogrzewane pompami ciepła.

Ten sam inwestor zrealizował oklaskiwaną przez krytyków rewitalizację trzech kamienic przy ul. Mariackiej – w ścisłym centrum. Uliczka w ostatniej dekadzie przeszła zaskakującą przemianę: z ponurego i zapuszczonego kąta miasta w tłumnie odwiedzany deptak. Aby przeciwdziałać całkowitej gentryfikacji, zdecydowano się tu na budowę mieszkań dla seniorów i młodych rodzin. Cała inwestycja została zaopatrzona w świetlicę i klub seniora, a także spektakularny, zielony dziedziniec. Za projektem stoi inna uznana pracownia – OVO Grąbczewscy Architekci.



Także w Katowicach, choć już na obrzeżach, powstało osiedle społecznych mieszkań przy ul. Korczaka. Kilkanaście schludnych bloków ustawiono w taki sposób, by tworzyły wewnętrzne dziedzińce wypełnione zielenią, placami zabaw i infrastrukturą do rekreacji i wypoczynku. Sercem osiedla jest plac, przy którym działają sklepy i restauracja. Tu za projektem stała jedna z najbardziej uznanych pracowni w kraju, Kuryłowicz + Architekci, słynąca raczej z zajmowania się luksusowymi enklawami, a nie dostępnymi mieszkaniami.

To zresztą ogólny trend. W wynikach konkursów na realizację inwestycji mieszkaniowych ogłaszanych przez TBS-y od kilkunastu miesięcy pojawiają się nazwy najbardziej renomowanych pracowni.

Za biedni, by oszczędzać

Listopad 2025. W Poznaniu trwa trzecia edycja konferencji „Dom, dzielnica, miasto" pod hasłem „Wartość: przestrzeni, architektury, inwestycji". Na scenie Karol Nieradka, prezes szczecińskiego oddziału SARP i założyciel pracowni Maxberg, słynący w środowisku z niewyparzonego języka. Na sali pełnej przedstawicieli deweloperów, dla których sam często pracuje,

eprasa.pl eebb42529e

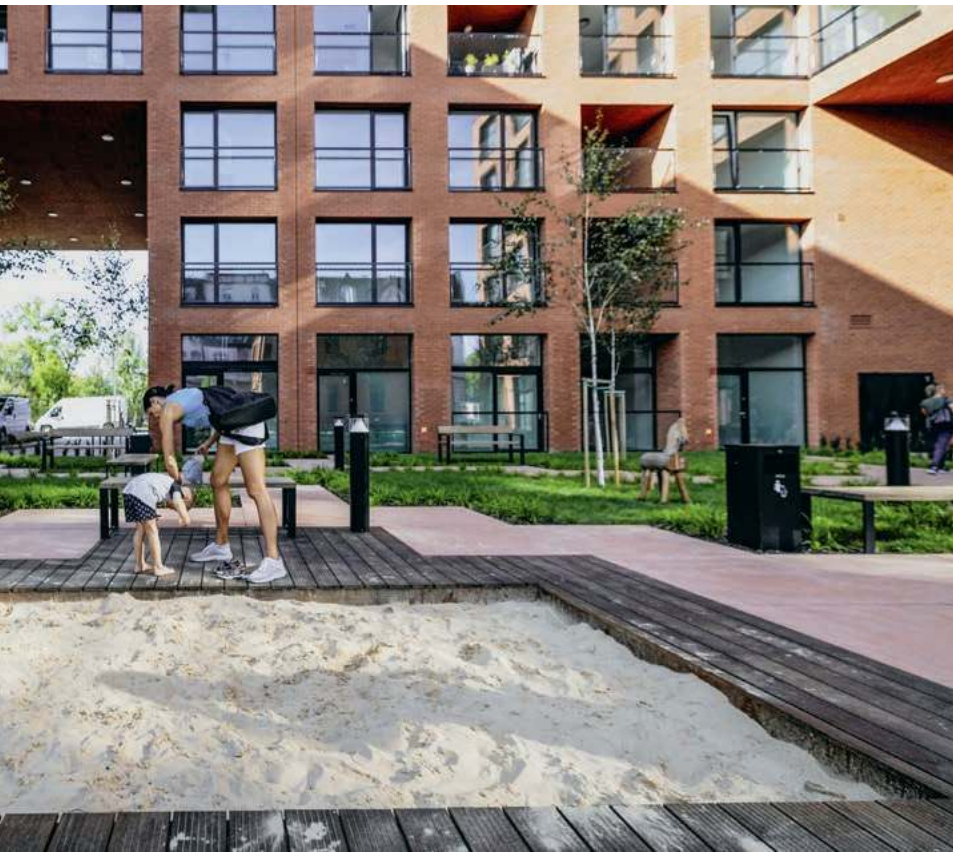

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

TBS Ajnfart w Rybniku, sierpień 2024 r.

mówi: – Prawda jest taka, że najlepsze budynki mieszkalne i układy mieszkań, jakie kiedykolwiek zaprojektowałem, były zamówione przez TBS.

Po sali przechodzi szmer, choć to przecież prawda. Standard, w jakim budują TBS-y (nie wszystkie, nie zawsze, ale często), w tabelkach deweloperów występuje tylko w wyższych segmentach wycen.

– Mam takie powiedzenie, że TBS-y są za biedne, żeby budować tanio – mówi Grażyna Szotkowska, która przez 30 lat szefowała szczecińskiemu TBS-owi, a dziś jest pełnomocniczką prezydenta miasta ds. budownictwa społecznego. Miejscowy TBS jest największy w Polsce – ma w swoim zasobie dziewięć tysięcy wybudowanych mieszkań, zarządza także sporą częścią mieszkań komunalnych i prowadzi rewitalizację zdegradowanych kamienic.

Od samego początku działalności zarządzana przez Szotkowską spółka ogłaszała konkursy architektoniczne na projekt – rzecz, która w prywatnym sektorze właściwie się nie pojawia. Pracownie na podstawie ogłoszonych publicznie wytycznych realizują koncepcje konkursowe na osiedle czy budynek. Najlepsze trafiają do realizacji. Kłopot w tym, że organizacja konkursu kosztuje, czasami nawet kilkaset tysięcy złotych. – Gdy dostałam pierwszą wycenę takiego konkursu, byłam sceptyczna – przyznaje moja rozmówczyni. – Ale gdy przyszły prace, zrozumiałam, że każda złotówka się zwróci w jakości projektu, który trafi do realizacji.

– Mam wrażenie, że w Polsce trwa obecnie nieformalna rywalizacja między pracowniami o to, kto zaprojektuje najlepszy TBS – mówi Kinga Bączyk z katowickiej pracowni k3xmore, która stoi za projektem osiedla przy Kosmicznej. – Co chwila pojawiają się nowe ogłoszenia, aż trudno być na bieżąco. To sytuacja całkiem nowa.

Oczy szerokie jak spodki

Drugim czynnikiem decydującym o jakości budowanych przez TBS-y osiedli jest fakt, że to one później nimi zarządzają. – Koszt budowy metra kwadratowego mieszkania jest u nas zwykle wyższy, czasem nawet o ok. 20 proc., od kosztu, który ponosi deweloper – wylicza Szotkowska. – Oszczędności przychodzą z czasem. Utrzymanie takiego budynku jest często 30 proc. tańsze niż w przypadku inwestycji deweloperskich. I my to liczymy w perspektywie dziesięcioleci.

Architektki z k3xmore przeszły szybki kurs takiego podejścia. – Patrzę w specyfikację techniczną budynku, a tam podgrzewane rampy zjazdowe do garażu podziemnego – opowiada Magdalena Orzeł-Rurańska. – Na początku pomyślałam, że to błąd, bo takie rzeczy robi się raczej w inwestycjach premium. Przepisy mówią przecież, że rampę wystarczy zadaszyć i w ten sposób ochronić przed śniegiem. Nie zawsze to działa idealnie, ale odbiór się dostanie.

Magdalena Orzeł-Rurańska zadzwoniła do inwestora dopytać. Gdy słuchała odpowiedzi, jej oczy robiły się szerokie jak spodki. TBS miał policzone, że woli wydać trochę więcej podczas budowy i nie mieć później problemu z ciągłym naprawianiem bramy do garażu, w którą waliłyby samochody zsuwające się z zalodzonego wyjazdu.

– Powiedzieli, że mają to przećwiczone na innych inwestycjach i mamy projektować z podgrzewaniem – wspomina moja rozmówczyni. – I teraz już nie dopytujemy, czy pochwyty na klatkach schodowych mają być z litego, a więc dużo droższego drewna. Wiemy, że są trwalsze, a inwestorowi na trwałości zależy.

Deweloper często nie zwraca uwagi na takie szczegóły. Wraz z wyprzedaniem wszystkich mieszkań, upłynięciem gwarancji i rękojmi może o budynku zapomnieć. A kosztami jego utrzymania niech się martwi wspólnota mieszkańców.

Zysk, ale społeczny

– Nie chciałabym, żebyśmy mówili tylko o pieniądzach – upomina Grażyna Szotkowska. – Widzi pan, my w zasadzie działamy jak deweloperzy, tylko że zysków nie liczymy w gotówce.

Szczeciński TBS buduje mieszkania dla seniorów, osób z niepełnosprawnościami i z pieczy zastępczej, studentów oraz absolwentów uczelni, na których zatrzymaniu w mieście zależy władzom. W mieszkaniach spółki żyją obok siebie ludzie, którzy zapłacili partycypację i płacą normalny czynsz, oraz lokatorzy komunalni, socjalni albo tacy, którzy korzystają z różnych programów wsparcia.

– Na początku myślałam, że to będzie generowało problemy – wspomina Szotkowska. – Ale nic takiego się nie stało. Ten model się sprawdza. Po cichu liczę, że zobaczą to ludzie w całej Polsce. ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ Towarzystwa Budownictwa Społecznego są pomysłem Ireny Herbst i Andrzeja Bratkowskiego, którzy w początkach lat 90. opublikowali dwa ważne, choć nieco zapomniane dokumenty: Memoriał Mieszkaniowy i Nowy Ład Mieszkaniowy. Z obu wynikała docelowa struktura mieszkaniowa kraju, który stawiał pierwsze kroki w brutalnym świecie kapitalizmu.

Podstawą tej struktury, wspierającej powstawanie silnej i niezależnej klasy średniej, miały być właśnie towarzystwa budownictwa społecznego – rozwiązanie wzorowane na podobnych podmiotach we Francji i Holandii. Idea była prosta – członkowie TBS-ów wpłacają opłatę partycypacyjną na rzecz budowy ich mieszkania, stanowiącą konkretny procent jego wartości (ustawa ustaliła ten odsetek na 30 proc.), a potem płacą tylko comiesięczny czynsz. Kiedy zdecydują się wyprowadzić i wystąpić z TBS, opłata partycypacyjna jest waloryzowana i zwracana. Towarzystwa zaś, jako że nie są podmiotami nastawionymi na zysk, mają dostęp do niskooprocentowanych kredytów, pożyczek oraz innych instrumentów wsparcia finansowego, a także, co niezwykle ważne, ziemi, którą mogą wnosić aportem do ich majątku gminy. Bo w pierwotnym założeniu TBS-y miały być i w większości są spółkami zakładanymi przez samorządy.

W Polsce nigdy jeszcze nie było tylu pieniędzy na budownictwo społeczne.

To stąd wysyp konkursów i coraz bardziej udanych realizacji pod szyldem TBS-ów.

– Towarzystwa miały być, przez wiele lat były i nadal mogą być narzędziami realizowania polityki mieszkaniowej miast – mówi Szotkowska. – Inną kwestią jest oczywiście to, czy miasta taką politykę mają i czy ją realizują. Ale w Szczecinie się udaje.

Trudna historia

Ustawę „o niektórych formach popierania budownictwa mieszkaniowego" uchwalono w 1995 r. Od tego momentu zarówno nakłady, jak i liczba oddawanych przez TBS-y mieszkań w Polsce rosła aż do 2004 r., kiedy to towarzystwom udało się oddać do użytku ponad 7 tys. mieszkań. Wraz z nowym milenium zaczęły się jednak pojawiać coraz bardziej dostępne kredyty hipoteczne, a wraz z nimi zachęty, by mieszkania kupować, a nie wynajmować. W 2002 r. rozwiązano Urząd Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, a 7 lat później Krajowy Fundusz Mieszkalnictwa, który był dysponentem środków dla TBS-ów.

U progu drugiej dekady XXI w. towarzystwa oddawały już poniżej 2 tys. mieszkań rocznie, co przy rozpędzającej się machinie deweloperskiej stanowiło pomijalny udział w rynku. W tamtym czasie polityka mieszkaniowa państwa przesunęła się wyraźnie na wspieranie kredytów hipotecznych, czego przykładem były programy Mieszkanie dla Młodych i Rodzina na Swoim.

Ład mieszkaniowy napisany przez Irenę Herbst i Andrzeja Bratkowskiego został przekreślony. W latach 2009-2015 budownictwa społecznego właściwie nie wspierano systemowo. Rządzący uznali, że Polacy poradzą sobie sami, czego zwieńczeniem było słynne „zmień pracę, weź kredyt", które pogrzebało ostatecznie prezydenturę Bronisława Komorowskiego.

Odbicie przyszło z pierwszymi rządami PiS. Ogłoszony przez Beatę Szydło program Mieszkanie Plus przywracał nieśmiało finansowanie dla budownictwa społecznego, ale jednocześnie próbowano eksperymentować z innymi modelami budowy dostępnych mieszkań. Prawdziwy przełom przyszedł dopiero w ubiegłym roku, kiedy rząd Donalda Tuska zwiększył fundusz dopłat na inwestycje prowadzone przez TBS-y z 1 mld do 5 mld rocznie. Z każdym kolejnym rokiem ta kwota ma rosnąć.

W Polsce nigdy jeszcze nie było tylu pieniędzy na budownictwo społeczne. To właśnie stąd wysyp konkursów i coraz bardziej udanych realizacji pod szyldem TBS-ów.

Tego się nie kupi

Stopniowo zmienia się też podejście do tej formy mieszkania, choć kwestia własności pozostaje dla wielu problematyczna. Członkowie TBS-ów, zwłaszcza ci z pierwszego etapu ich działalności, czują się oszukani, bo nie mogą wykupić swoich mieszkań na takich zasadach, na jakich wykup prowadziły samorządy i spółdzielnie. Tam można było zostać właścicielem za ułamek ceny rynkowej. W TBS-ach to niemożliwe.

Nagłówki artykułów poświęconych tej sprawie brzmią zwykle podobnie. „»TBS miał być dla nas szansą na stabilne życie

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

prof. dr hab. n. med. Annę Jung

wieloletnią redaktor naczelną „Pediatrii i Medycyny Rodzinnej"

Żegnamy Osobę niezwykłą – autorytet, nauczyciela i mentora,
a dla wielu z nas także życzliwego i inspirującego współpracownika.
Pozostanie w naszej pamięci jako osoba oddana medycynie,
nauce i ludziom, z którymi pracowała.

Pani Profesor, dziękujemy.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Zespół redakcyjny „Pediatrii i Medycyny Rodzinnej"

eprasa.pl eebb42529e



ANNA LEWAŃSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Otwarcie nowego ekologicznego osiedla TBS przy ul. Kosmicznej, Giszowiec (Katowice), czerwiec 2026 r.



FILIP SPRINGER

Osiedle społecznych mieszkań przy ul. Korczaka w Katowicach, czerwiec 2026 r.

i bezpieczny dach nad głową« – wyznaje w rozmowie z »Gazetą Wyborczą« Joanna. Dziś czuje się rozczarowana".

Kłopot w tym, że w umowach z TBS-ami nigdy nie było zapisów o możliwości wykupu i dojścia do własności. Nie po to samorządy rękami Towarzystw budują mieszkania, by później je wyprzedawać. I dlatego opłata partycypacyjna podlega waloryzacji i zwrotowi w sytuacji, gdy ktoś, kto ją wcześniej uiścił, zdecyduje się na wyprowadzkę z mieszkania, które dzięki tej opłacie wzniesiono.

Drugim zapalnym punktem jest wysokość czynszów, jakie płacą najemcy w TBS-ach. Zdaniem niektórych nie jest jasne, za co dokładnie płacą i czy czasem nie za to, by ich TBS budował kolejne osiedla.

– Mam wrażenie, że czynsz jest w tych sporach traktowany jak rachunek opłat odprowadzanych na rzecz wspólnoty mieszkaniowej w mieszkaniu własnościowym – uważa Grażyna Szotkowska. – A tak nie jest: mieszkanie w TBS-ie nie jest własnością zamieszkującego, a wysokość czynszów jest wyznaczana zgodnie z potrzebami spółki. To wszystko szczegółowo opisano w umowach. Zamieszkując w TBS-ie, bierzemy udział w pewnym projekcie społecznym.

Szotkowska przyznaje jednak, że wina za te konflikty leży po części po stronie Towarzystw, które niewystarczająco informują, na jakich zasadach działają: – Tutaj wskazana jest wręcz nadgorliwość po naszej stronie, żeby ludzie wiedzieli dokładnie, na co się decydują, rozumieli umowę i znali ustawę.

Warto dodać, że czynsze w TBS-ach są dużo niższe od rynkowych – średnio o połowę, a bywa (np. w Szczecinie), że o dwie trzecie.

Po co mi kredyt

– Mieszkam w kawalerce, niewielkiej, ale bardzo sprytnie urządzonej. Duże okna z widokiem na zieleń, czwarte piętro. Płacę 700 zł czynszu. Za podobne mieszkanie na rynku musiałabym zapłacić nawet dwa razy tyle i nie miałabym takiego poczucia stabilności, jakie mam teraz. Bo z wynajętego można mnie w każdej chwili wyrzucić – mówi Magda Podziewska, która mieszka w lokalu urządzonym przez bytomski TBS w jednym z pustostanów po dawnym hotelu robotniczym.

W Bytomiu, by móc starać się o takie mieszkanie, trzeba wykazać odpowiedni dochód – nie za niski i nie za wysoki, tymczasem Magda, mówiąc oględnie, nie zarabia kokosów. – Na wynajem na rynku nie byłoby mnie stać – przyznaje. I od razu dodaje, że mieszkanie w TBS-ie ma też wiele pozafinansowych zalet. – Patrząc na sąsiadów, mam wrażenie, iż wszyscy cenimy sobie to, że tu mieszkamy. Staramy się sobie pomagać: to nie problem, żeby podrzucić kogoś do lekarza. Sąsiad potrafi zapukać do sąsiada, co chyba nie jest już częste.

Nie bez znaczenia dla upowszechnienia się idei mieszkań społecznych jest też zmiana podejścia młodych dorosłych do kwestii własności. Nowe generacje już nie kupują narracji, w której kredyt hipoteczny jest ostatecznym dowodem dorosłości. Mieszkanie coraz rzadziej traktuje się jako ostateczny cel, a coraz częściej jako narzędzie dopasowane do aktualnego etapu życia. Kluczową wartością staje się elastyczność i mobilność.

To wnioski z opublikowanego przez serwis Otodom raportu o podejściu młodych dorosłych do kwestii mieszkania. Aż jedna trzecia badanych nie wyklucza wynajmowania mieszkania do końca życia. Trzy piąte deklaruje, że rozważyłoby wzięcie kredytu wyłącznie pod warunkiem, że rata nie obniży ich codziennego standardu życia. A to dziś właściwie niemożliwe.

Przy rosnących cenach mieszkań, wsparciem rodziców na start wkraczającego w dorosłość dziecka już wkrótce może stać się opłata partycypacyjna w TBS-ie, zamiast wkładu własnego do kredytu. Bo tego dorosłe dziecko za żadne skarby nie chce już zaciągać.

© FILIP SPRINGER

eprasa.pl eebb42529e

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl eebb42529e

OLGA

Drenda:
Gdy mija lato



O przydrożnych drzewach owocowych pisał kiedyś pięknie Henryk Waniek, że to przyjaciółki wędrowców. A wędrówka ta nie musi być daleka, wystarczy po najbliższym osiedlu, wszak i te są ciekawe, czasami i najciekawsze. Jeśli osiedle jest starsze, można się podczas spaceru poczęstować.

Zebrałam w okolicy na takim spacerze, jak dawny wędrowiec do swego mieszka, trochę mirabelek. Ledwie się spostrzegłam, a to już końcówka. Skoszona trawa w kontenerach nabierała powoli zapachu wybiegu dla dużych ssaków w zoo (wcale nie jest nieprzyjemny, ot taka nuta wakacji w mieście), mirabelki zjadło ptactwo, a resztę sprzątnął ogrodnik miejski. Przed chwilą, trwającą może dwa tygodnie, ale to przecież nic – były jeszcze zbyt niedojrzałe, choć wszędzie już pachniało kwaśno i miodowo. Zastanawiałam się, jak często ludzie zrywają mirabelki z ogólnodostępnych drzew. Jeśli tego nie robią, to może obawiają się, że to nielegalne? (Legalne, jeśli drzewa nie rosną na prywatnej działce, to tak dla rozwiania wątpliwości.) Mamy w końcu w ostatnich latach osobliwie przestrzegające przepisów społeczeństwo, jakby pielęgnowany przez nas samych mit o rzekomo wrodzonej polskiej niesubordynacji i gwizdaniu na zasady niepostrzeżenie odszedł w niepamięć. Teraz lubimy mieć porządek. A może potężną siłę rażenia miał ów poseł, który przed laty biednym mirabelkom zrobił taką antyreklamę, że ludziom wtem przestały smakować?

Dziękuję, przyjaciółki wędrowców



OLGA DRENDA

To przyjemność, którą odkryłam już w dorosłym wieku, bez żadnej nuty nostalgii, którą znają dzieci osiedlowe. Jako dziecko mirabelek nie chrupałam ani nie toczyłam przy ich pomocy bitew, gdyż w małym gospodarstwie, gdzie spędzałam większość najmłodszych dni, rosły śliwki duże i fioletowe, a przyjaciółmi z podwórka był mi głównie drób. Ale może melancholia późnego sierpnia jest uniwersalną dolą Polaka? Gdy nieodwracalnie mija już lato, liczni znajomi, trochę nieswoi i smutni, nucą pod nosem „Ostatni dzień sierpnia" Pablopavo i Ludzików, piosenkę od miejskiej melancholii aż mokrą. Płowieją dożynkowe Minionki z balotów słomy. Trzeba coraz częściej pamiętać o kurtce. Już czas.

O tym, żeby muzyka brzmiała jak światło sierpniowego słońca, opowiadała w czytanym dawno temu wywiadzie grupa Maanam. Taka jest właśnie moja pocztówka z Polski: kolory późnego lata podczas przechadzki jakimś uboczem, gdzie wśród rosnącej sobie swobodnie roślinności można znaleźć jakieś resztki murków, zapomniane kawałki betonu, drzewa pozostałe po niegdysiejszym sadzie. To tzw. trzeci krajobraz, czyli taki, który tworzy się sam. Kawałek świata pozostawiony w spokoju, i taki, po którym można poruszać się po swojemu, nie trzeba od niego nic wymagać i z niczego go rozliczać. Wyjść sobie na spacer i zerwać parę mirabelek. Jaka to wolność!

Trwają żarty z pokracznej (który to już raz) próby stworzenia eksportowego wizerunku Polski. A wizerunek Polski przecież buduje się sam – w piosenkach i teledyskach, literaturze, fotografii (myślę, że zdjęcia betonowej zjeżdżalni z Tychów albo piosenki zespołu Coals zrobiły w ostatnim czasie więcej dla spopularyzowania świadomości o naszym kraju w świecie niż różne drogie, lecz chybione przedsięwzięcia). Buduje się sam, bo składają się na niego elementy właściwe temu, a nie innemu miejscu. Niestety, chyba najbardziej charakterystyczne, własne, swoiste są te rzeczy, które się u nas mało szanuje. Niespodziewane eksplozje zieleni, ciche zakątki, których nie trzeba strzyc i golić tylko dlatego, że znalazły się jakieś pieniądze do pospiesznego wydania, placyki i ryneczki, które starzeją się ładnie i godnie z mądrością miejsc spokojnych. One teraz uchodzą za niemodne i mało dochodowe.

Nawet arcypolskie, szczęśliwe wierzby i jaskółki niektórzy mają teraz za uciążliwe dziadostwo. Może zamiast takich nieszczęsnych przypadków jak niesławne ostatnie raporty i reklamy, warto byłoby zrobić katalog elementów polskiego krajobrazu, które sprawiają, że jest właśnie nasz? Coś takiego, jak szkicowniki Barbary Jones, ilustratorki, która dokumentowała w rysunkach zwykły, banalny krajobraz angielski na wypadek, gdyby trzeba było odtwarzać go po zniszczeniach wojennych. A nasz krajobraz trzeba chronić, już dziś, przed chciwym pośpiechem, który zmiata wszystko. Również mirabelki. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl eebb42529e

OPINIE

CZY MOGŁABYM TU GDZIEŚ ZATAŃCZYĆ

Gdzie szukać współczesnego portretu Polaków? Czegoś na kształt „Zapisu socjologicznego” Zofii Rydet? Zajrzyjmy do miejsc, gdzie nasze zdjęcia poprawia AI.

WOJCIECH ŚMIEJA

W ostatnich dniach wakacji cała Polska żyła treścią, a właściwie brakiem treści raportu „badań dla marki Polska”, którego buńczuczny tytuł brzmiał „Polaków portret własny”. Raport, wyceniony na niemal 200 tys. zł z budżetu Ministerstwa Sportu i Turystyki, liczy nieco ponad 20 stron, na które składa się bełkot generowany przez wczesne modele AI. Ośmieszył on premiera Donalda Tuska i kosztował utratę stanowiska jego protegowaną, Barbarę Mróz-Gorgoń, główną autorkę tegoż dokumentu.

Historia tej kompromitacji jest, naturalnie, smutna, ale mi nie daje spokoju tytuł raportu, nawiązujący do słynnej wystawy z 1979 r. w krakowskim Muzeum Narodowym. Mam przed sobą na biurku dwa pięknie wydane tomy z reprodukcjami wystawianych wówczas dzieł i komentarzami historyków sztuki.

Wystawa, ciesząca się ogromną popularnością i szeroko komentowana, wpisała się na stałe w klimat tamtych lat – przebudzenia narodowego, solidarnościowego buntu i próby redefinicji ram wspólnoty. Przeglądany dziś album rodzi słuszne pytania o to, na ile ów portret był adekwatny, albo inaczej: na ilu płciowych, klasowych czy etnicznych wykluczeniach był fundowany.

Mając w pamięci słynną wystawę, zastanawiam się, gdzie moglibyśmy szukać portretu własnego Polaków w połowie trzeciej dekady XXI w.? Chciałbym zobaczyć taki portret *sauté*, bez filtra artystycznego czy literackiego; chciałbym, żeby było to coś jak fotografie ze słynnego cyklu „Zapis socjologiczny” Zofii Rydet, czy bardziej współczesne zapisy fotograficzne polskiej przestrzeni, w wykonaniu Andrzeja Tobisa czy Marcina Urbanowicza.



eprasa.pl eebb42529e



KRYSTYNA BLATKIEWICZ / REPORTER

Najlepiej, aby takiego zapisu socjologicznego dokonywali – to zapomniane słowo – naturszczycy, a więc sami Polacy. Jednak interesuje mnie też psychologia, także ta społeczna, a więc nie tylko nagi wizerunek, ale również to, czego portretowani i portretujący pragną, czego się boją, co ich raduje, jak budują swoją przestrzeń emocjonalną, do jakiej estetyki aspirują, gdzie czują się dobrze, a gdzie nienajlepiej. Jednym słowem – interesuje mnie zarówno materialność naszego portretu zbiorowego, jak i wpisana w nią życzeniowość.

Taką rzeczywistość złożoną z różnych emocji, zgryzot i nadziei epok dawniejszych da się odczytywać z różnych wpisów do ksiąg wotywnych (świetną analizę socjologiczną tego rodzaju dokumentów przeprowadził prof. Rafał Cekiera na przykładzie kaplicy św. Wendelina w miejscowości Rudzica). Przypadek i trochę urlopowej nudy sprawiły, że udało mi się taką przestrzeń, gdzie ludzie pokazują siebie i swoich bliskich bez żadnych filtrów, a także dają wyraz swoim pragnieniom i wyobrażeniom, znaleźć. A właściwie przepaść w niej z kretesem.

Przepadłem, zanim raport o portrecie własnym Polaków stał się przedmiotem powszechnej drwiny. I nie myślałem, żeby tej mojej fascynacji nadawać jakikolwiek kształt, niemniej, ośmielony głośnym dokumentem pomyślałem, że może zechcą Państwo zapoznać się z autorską wersją „portretu własnego Polaków" przygotowaną przez moją naturalną, białkową inteligencję?

Przerób mnie, Panie

Oto bowiem tego lata zanurzyłem się w świat fejsbukowych grup w rodzaju „Ożywione wspomnienia – AI i renowacja zdjęć" albo „Przerabianie zdjęć, ożywianie z AI", „Przerabianie, obróbka zdjęć i retusz AI – Przerób Mnie Panie". Tego rodzaju grup jest całkiem sporo, największe liczą po kilkadziesiąt tysięcy członków. Zasada ich działania jest prosta – ludzie zamieszczają tam stare bądź niedoskonałe zdjęcia i proszą o ich możliwy retusz, poprawki, niejednokrotnie wskazując to, na czym im zależy. Inni uczestnicy grupy dokonują cyfrowych przeróbek, niekiedy zgodnie z oczekiwaniami, czasami żartobliwie, nierzadko też złośliwie.

Posty uczestników grup stanowią moją próbę badawczą, a że nie ma poważnych badań bez hipotezy, więc pozwólcie, że ją postawię. Tego rodzaju społeczności pozwalają uchwycić wyobrażenia i pragnienia polskiej populacji 40 plus, wskazują, jacy jesteśmy, w co wierzymy, co nas boli i jacy chcielibyśmy być. Ale też: jakie powinno być nasze idealne jednostkowe i społeczne „ja".

Z „Zapisem socjologicznym" Zofii Rydet łączy wpisy użytkowników surowość materii (zdjęcia rodzinne, autoportrety etc.), a z wpisami w księgi wotywne sanktuariów wiara w „cudowność" technologii – wiele osób swoje prośby opatruje frazą „robicie cuda", adresowaną w ramach suplik i próśb do anonimowych osób retuszujących fotografie z użyciem narzędzi AI.

Swoje badania prowadziłem między 12 a 21 sierpnia i nie były one finansowane ze środków publicznych. ↦

Witryna zakładu fotograficznego na ulicy Targowej, Warszawa 2014 r.

eprasa.pl eebb42529e

↦ Materiału do badań przybywa w lawinowym tempie, ale, na potrzeby naszego „Portretu" wystarczy, że skupimy się na tym, co wrzucano przez ostatnie dni. Kilka tysięcy przejrzanych przeze mnie postów pozwala zaproponować ich pogrupowanie według tematyki. Kilka obszernych bloków, np. ściśle techniczne prośby o retusz starych zdjęć, albo też dotyczące porad remontowo-budowlanych („zaproponujcie kominek w tym wnętrzu") pominę, skupię się na tych, które rzeczywiście i bezpośrednio mówią o ludziach – jest ich zresztą najwięcej.

Czy można foki

Zaczniemy od osób wysyłających fotografie z prośbą o dodanie kogoś, kogo nie ma (kategoria „Ludzie i relacje"). Może to być osoba dowolna, jak w przypadku pana Pawła, który prosi o dodanie na zdjęciu towarzysza spaceru, albo osoba płci przeciwnej, jak u pani Justyny („Hej, doda ktoś przystojniaka obok?"), ale mogą to być także osoby konkretne, np. rodzice, jak u pani Heleny, która przysłała dwa różne zdjęcia matki i ojca, prosząc o wspólną fotografię i zmianę nastroju („Da radę zrobić wspólne zdjęcie rodziców razem i uśmiechniętych?").

Pani Jadwiga w trosce o pozostawionego w domu męża pisze: „Poproszę ślicznie o wklejenie męża zamiast pilota wycieczki i koleżanki, którą musiałam wziąć zamiast męża. On po wypadku, operacji i skasowaniu auta. Smutno mu było zostać samemu, pomoże ktoś?"). Rozczuliła mnie też skromnie siedząca na murku przy plaży pani Lidia, która pyta: „Można foki koło mnie?".

Subkategorią w tym polu są zdjęcia ze zmarłymi. Co charakterystyczne, osoby proszące o takie modyfikacje bardzo często zaznaczają, że zmarły ma przybrać na nich postać anioła. Oto pani Anna (na zdjęciu z niemowlakiem) pyta, „czy mogłabym poprosić o przerobienie mojego zmarłego brata jako anioła przytulającego mnie?". Pani Dorota: „Witam Państwa, czy dałoby radę zrobić anioła z mojej córki, zmarła mi rok temu". Pani Bożena: „Czy mogę prosić o filmik, aby moja zmarła mama przytulała moją siostrę? Czy można zmienić mamę na anioła?".

Dołączanie żyjących i nieżyjących członków rodziny oraz współpracowników to domena pań, mają one zdecydowanie większą potrzebę tworzenia takich obrazów.

Usuńcie kobitkę

Przeciwieństwem powyższej kategorii jest subkategoria, w której kogoś ze zdjęcia wycinamy (jak Nikołaja Jeżowa ze słynnej fotografii ze Stalinem) – tu jest zachowany mniej więcej parytet płci.

Oto pan Łukasz przesłał swoje ślubne zdjęcie z żoną i trzymanym na ręku niemowlakiem, prosząc: „Dziś nasza 10. rocznica ślubu. Proszę o jakieś przeróbki, może być nawet bez córeczki". Pani Oli chyba naraziła się któraś z cioć, bo prosi: „Czy można przerobić zdjęcie, żeby babcia i dziadek zachowali wygląd, jak na tym zdjęciu, i byli bez cioci?". W związku pana Darka chyba też coś zgrzyta. Przesłał wakacyjne zdjęcie z zachodem słońca, gdzie pozuje wraz z jakąś kobietą na hotelowym balkonie, a teraz prosi: „usuńcie kobitkę i dajcie coś śmiesznego".

Mniej drastyczne są zdjęcia, w których relacja łącząca przedstawione osoby ma zmienić charakter lub zostać zintensyfikowana. Najczęściej chodzi o uromantycznienie scen pozbawionych romantycznej komponenty, np.: „Można prosić o przerobienie, jakbyśmy szli do ślubu?" (nie wykluczam, że intencja ma być żartobliwa). Na zdjęciu nieco podduszony krawatem pan Paweł przytula żonę czy partnerkę, ale zdjęcie jest zrobione na jakiejś imprezie (zastawiony stół, przypadkowe tło), więc „prosi o jakąś romantyczną sesję".

Jaki z tego wszystkiego płynie dla nas wniosek? Otóż chyba wciąż potrzebujemy relacji, ale te, które mamy, bywają mocno obciążające. Wielu z nas czuje też bliską więź ze zmarłymi, których postrzega jako byty anielskie, natomiast z żywymi osobami, które chętnie ze zdjęć wyrzucamy, mamy problem. Mimo to wciąż jesteśmy skorzy wierzyć w społeczne rytuały, takie jak ślub, wciąż też postrzegamy miłość jako uczucie romantyczne i domagające się określonych rekwizytów.

Pięknie dziękuję

Sporo się mówi o tym, jak rozchodzą się światy i pragnienia kobiet i mężczyzn. Czy jednak to prawda? Poszukując odpowiedzi, wyróżniłem dwie obszerne kategorie: „Kobiece fantazje" i „Fantazje męskie". Zacznijmy od kobiet. Czego oczekują?

Zasadniczo wydają się niepewne co do swego wyglądu i chciałyby go poprawić, a często odmłodzić, jak pani Agnieszka, która pisze: „Poproszę o makijaż oczu, bez zmarszczek i zieloną bluzeczkę". Pani Danuta jej wtóruje, ale nie jest pewna, czego chce: „Proszę o fryzurę i kolor, który będzie do mnie pasował". Pani Małgorzata jest bezpośrednia: „Możecie zrobić tak, żebym była ładna?".

Pani Kamili z kolei marzy się elegancja: „Witam, proszę o przerobienie zdjęć na eleganckie, okolicznościowe" (tu na marginesie dodam, że panie znacznie częściej dziękują niż panowie, którzy często i niezbyt elegancko pomijają formę pytania i lubią zaczynać od „da się...?"). W cenie jest styl *glamour*, zwłaszcza wśród młodszych pań. Nierzadko panie mają też potrzebę harmonizacji otoczenia, jak pani Urszula: „Bardzo proszę o zdjęcie wśród lawendy i zmianę sukienki na odpowiednią do tła". Pani Marii marzy się „zdjęcie sensualne, delikatne", a pani Iwona widzi siebie konkretniej: „jak siedzę na kamieniu, przy strumyku lub rzece, w tle las, głowa spuszczona, abym się patrzyła w wodę, sukienka czarna, długa, może być inne uczesanie, proszę o zdjęcia czarno-białe".

Małżeństwo pani Magdaleny boryka się z bezdzietnością, toteż kobieta przesyła kilka zdjęć siebie wraz z mężem i prosi: „A jeśli tak się da zrobić, to poproszę o wizję naszej córeczki, jak mogłaby wyglądać". Natomiast pani Maria się rozwodzi i chyba jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia, potrzebuje wsparcia: „da się zrobić coś fajnego, żeby już nigdy mąż nie powiedział komuś, że jestem brzydka, okropna i beznadziejna?". Uśmiechnięta silverka pani Gosia przesyła *selfie* z ładnie urządzonego mieszkania i ma tylko jedno pragnienie: „Czy mogłabym tu gdzieś zatańczyć? Z góry pięknie dziękuję".

Takie są te kobiece fantazje i wyobrażenia. Panie są niezadowolone z wyglądu i niepewne, potrzebują widzieć siebie ładniejszymi, młodszymi, chcą elegancji i natury, pięknego otoczenia, afirmacji i relacji. Ucieczki od szarej rzeczywistości. A czasem mężczyzn.

W stylu gangsterskim

Których to fantazje są zgoła inne. Urzekają mnie niespełnieni wędkarze, w tym pan Wiktor: „Teść mi dokucza, da radę dołó-

eprasa.pl eebb42529e

żyć jakiegoś rosłego suma?”. Obszerną kategorię stanowią też „broń i wojskowość”. To niepokojące, ilu facetów o wojsku marzy, zwłaszcza lotnicy mają powodzenie.

Pan Zbigniew wrzuca zdjęcie z młodszym mężczyzną, może synem, i prosi: „o przerobienie w stroje pilotów wojskowych”. Pan Artur z kolei chciałby „mundur galowy wojsk lotniczych”. Pan Jacek posyła zdjęcie z placu budowy i trzymając w ręku kawałek płyty kartonowo-gipsowej, fantazjuje, czy „można przerobić z jakimś fajnym pistolecikiem?”.

Ikoniczną figurą jest również gangster-bandyta. Oto pan Mateusz (twarz w kominiarce, wysportowany): „Graficy, przerobicie to w stylu pozerki, gangsterki? Oddajcie się fantazji, niech się dzieje wola nieba, pełen dystans”. Pan Grzegorz posyła zdjęcie z knajpy, gdzie siedzi przy piwie z kolegami: „Proszę o przerobienie, że siedzę z ziomkami w celi lub coś podobnego, liczę na waszą pomysłowość”. Pan Zbigniew chce dla syna: „coś śmiesznego lub w stylu gangsterskim”.

Jeśli już nie komandos, pilot czy mafiozo, to chociaż kulturysta. Faceci chcą wizualnie przypakować, marzą też o sportowych przestrzeniach. Arek: „chciałbym, żeby ktoś z was wstawił tło z profesjonalnej sali treningowej sportów walki k1”. Pan Mateusz: „Najlepiej, żebym był na siłowni , albo coś w tym stylu”. A jeśli przestrzeń jest nie dość groźna, trzeba ją podrasować, toteż pan Krzysztof posyła *selfie* z łódki i prosi, „aby wyglądało groźnie”. „Można dodać diabła” – decyduje ostatecznie Patryk.

Obszerną subkategorię wyznaczają „partnerki”, które trzeba poprawić (nie ma próśb osób LGBT, polskie społeczeństwo jest domyślnie heteroseksualne). Pan Łukasz wysłał zdjęcie dziewczyny z prośbą o „coś seksi”, a pan Marek zastanawia się, czy „można z tej zadumanej zrobić seksowną kobietę?”. Najczęściej tych partnerek jednak w ogóle nie ma, więc umięśniony Jarosław zawadiacko mruży oczy i prosi o „młodą seksi dziewczynę w fajnej scenerii”, a niejaki Pe El już rozpostarł ramiona, prosząc o dwie.

Świat męskich fantazji jest, jak widać, dość konserwatywny: kobiety są uprzedmiotowione, liczy się ego, siła fizyczna i broń. „Zamiast ludzi z tyłu wstawić rekiny” – prosi pan Artur i to chyba najzwięźlejsza puenta, jaką możemy opatrzyć tę kategorię.

Coś z bajki

Są jeszcze i inne kategorie, np. „Pupile i ich ludzie” („czy mogę prosić o wizerunek pieska, który przebiega przez tęczowy most?”), „Zdjęcia z idolami” („mojemu kochanemu mężowi marzy się zdjęcie z Beatą Kozidrak, Marylą Rodowicz i Cleo”), „Dowcip”: („chciałbym zrobić koledze pranka, da się zrobić z jego auta wrak po ciężkim wypadku?”), „Ogólne” („da się coś z tym ciekawego zrobić?), „Zmiana miejsca” („można coś z bajki”), „Poprawianie detali” („aby na stoliku była pizza i sok dla syna”).

Są też oczywiście prośby, które do żadnej kategorii nie pasują, a wzruszają. Pan Kamil jest niepełnosprawny, dlatego prosi o film, na którym „tańczy z koleżanką”. Pani Sandra jest na pewno cudowną matką: „córci wypadł pierwszy ząbek, proszę o zdjęcie wróżki-zębuszki, bo obiecałam, że zrobię z ukrycia”. Pan Adam chyba nie jest specjalnie pracowity, bo wrzuca zdjęcie trawnika i pisze: „trawę skosić bym prosił”. Poprzeczkę edytorom zdjęć podnosi wreszcie pani Lidia: „jestem w kasynie, proszę tak zrobić, że wygrywam”.

Pani Anna nie przesłała żadnego zdjęcia, ale napisała post, pod którym i ja mógłbym się podpisać: „Jestem uzależniona od przeglądania tej grupy. Nie wiem, ile tu tworzy żywy człowiek, a ile AI. Ale dostarcza mi to dobrego nastroju. A to potrzebne. Dziękuję”. Mnie również fascynują te żywe i złożone (obraz plus słowo) grupy fejsbukowe. Oczywiście ten „raport” jest frywolny, ale, gdy myślę o dziesiątkach tysięcy interakcji, widzę coraz wyraźniej, że one bardzo wiele mówią o współczesnej Polsce i jej mieszkańcach. Malują – całkiem chyba udany – nasz portret własny.

Grupy fejsbukowe, na których przerabiamy swoje zdjęcia, wiele mówią o współczesnej Polsce i jej mieszkańcach.

Malują – całkiem chyba udany – nasz portret własny.



KRYSTYNA BŁATKIEWICZ / REPORTER

Zróbcie coś

Co na nim widać? Skomplikowane życie uczuciowe wielu z nas, które sprawia, że skłonni jesteśmy niektóre osoby z naszego otoczenia ochoczo „wycinać”. Równocześnie jesteśmy sentymentalni i jeśli trwamy w jakiejś relacji, chcemy ją „uromantycznić”, nadać aurę nadzwyczajności; marzymy, by wznieść się ponad codzienność.

Nasza wyobraźnia, by tak rzec: eschatologiczna, jest z kolei uroczo naiwna i mocno nieortodoksyjna, zważywszy na kraj o katolickiej monokulturze. Panie tęsknią do elegancji i szeroko pojętej „naturalności”, zwłaszcza takiej z magazynów lifestylowych (pola lawendy, szemrzące strumienie). Panowie za to są znudzeni wygodnym – jak by nie patrzeć – życiem, więc marzą, by ich nieco ociężałe ciała zyskały na jędrności i muskulaturze, dzięki którym świetnie poradzą sobie w nieprzyjaznym otoczeniu, np. na wojnie. Prawdziwi faceci chcą się nasycać męskością, a jeśli po morderczym treningu szukają wytchnienia, to w otoczeniu pięknych i posłusznych kobiet (które ktoś im musi jednak dorysować).

Ale najbardziej tajemnicza – i liczna – grupa użytkowników sugeruje po prostu: „zróbcie coś”. Można odnieść wrażenie, że to osoby, które chętnie by poeksperymentowały, ale nie bardzo mają wizję i pomysł na to „coś”. Być może nie wystarcza im wyobraźni, być może lubią niespodzianki, a niewykluczone, że po prostu męczy ich życie w dotychczasowej formie, ale nie potrafią jak na razie pomyśleć innego. © WOJCIECH ŚMIEJA

eprasa.pl eebb42529e

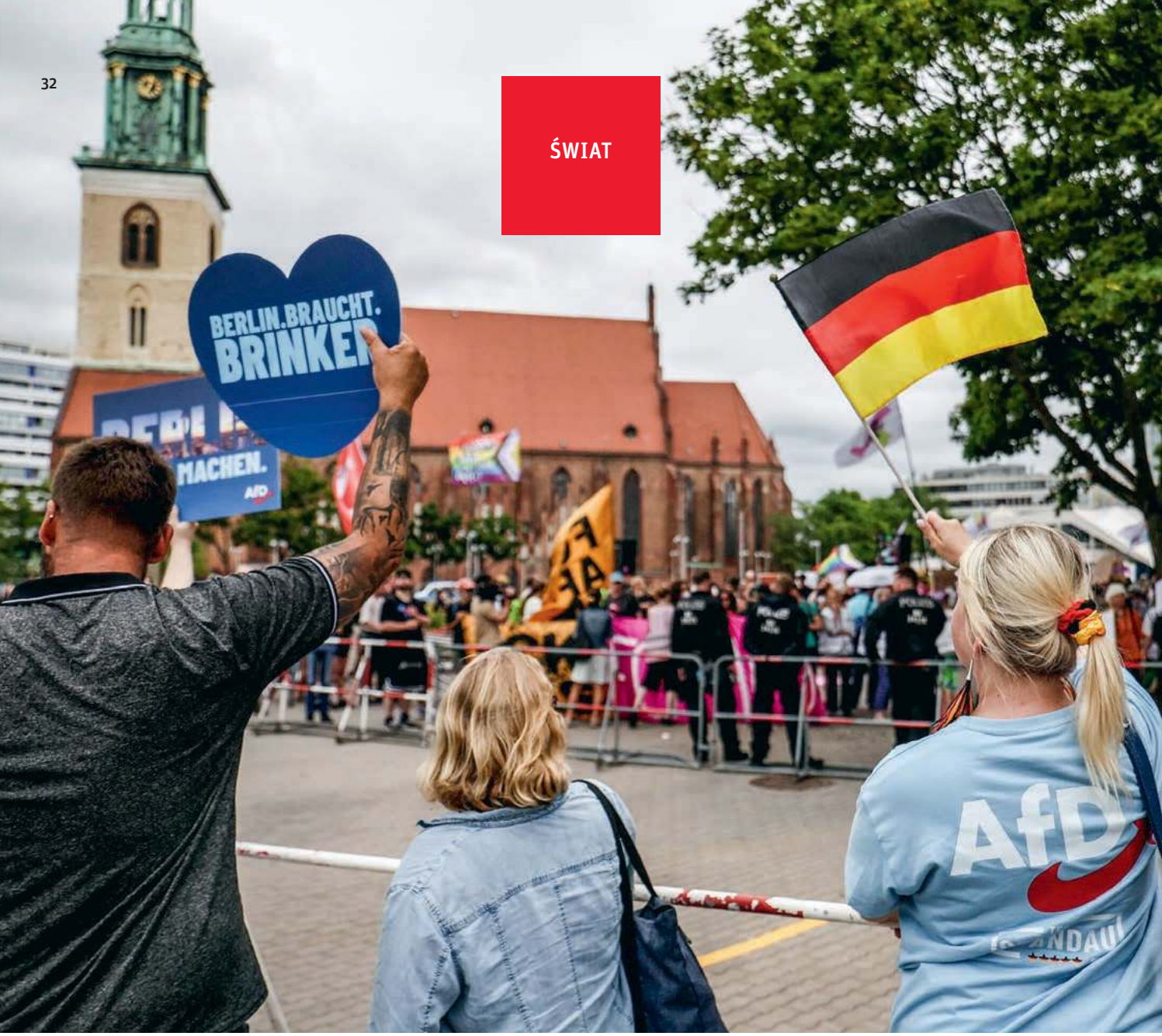

AfD zajmuje dziś w Niemczech pierwsze miejsce w sondażach, także w tych dotyczących wyborów do parlamentu miejskiego Berlina. Na zdjęciu: zwolennicy AfD na wiecu przed berlińskim ratuszem, 29 czerwca 2026 r.

MOŻE PAN NAPISAĆ, ŻE ZWĄTPIŁAM W SYSTEM

Już co trzeci Niemiec chce głosować na skrajnie prawicową AfD. Także w dzielnicy Marzahn, w Berlinie wschodnim. Przyjrzyjmy się temu miejscu.

SEBASTIAN JABŁOŃSKI Z BERLINA

eprasa.pl eebb42529e

Dla Niemców z ówczesnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej był to pierwszy dzień ich wolności: 9 listopada 1989 r. Tego dnia wieczorem upadł mur – system śmiertelnych zapór, który komuniści, rządzący w Berlinie wschodnim, zbudowali w 1961 r. Miał zapobiec ucieczkom z NRD na Zachód, ustabilizować ich władzę.

Sabine K. wspomina, że tego dnia musiała zostać dłużej w przedszkolu przy Havemannstraße, gdzie pracowała. Dłużej niż zwykle zostało piętnaścioro, może dwadzieścioro dzieci. Dopiero przed dziewiętnastą rodzice zaczęli przychodzić. W kwadrans zrobiło się prawie pusto. Zostało kilkoro dzieci, wszystkie wietnamskie.

Obok przedszkola były dwa domy dla Wietnamczyków; w NRD brakowało pracowników i ściągano ich m.in. z komunistycznego Wietnamu. Sabine podeszła, zapytała o rodziców. Nie potrafiono jej pomóc, jej rozmówcy nie umieli przyporządkować wietnamskich nazwisk. Zadzwoniła więc na milicję.

Mandat bezpośredni

W NRD obowiązywał przepis: dziecko nieodebrane do dziewiętnastej trzeba było odwieźć do domu dziecka. Sabine nie zrobiła tego. – Musiałam potem pisać sprawozdanie. Uzasadniłam, że to nie były sześciolatki, tylko te najmniejsze, od trzech lat – mówi.

Zapytała koleżanki, która może wziąć po dziecku do siebie. Na drzwiach powiesiły kartkę, które dziecko jest pod jakim adresem. Część odebrano tego wieczoru, część nie. Te następnego dnia trafiły do domu dziecka. Później wyszło, dlaczego rodzice nie przyszli: kilku ojców zatrzymano za nielegalny handel papierosami przy otwartej granicy.

O tym, że mur upadł, że granica między Niemcami wschodnimi i Niemcami zachodnimi jest otwarta, dowiedziała się tego wieczoru od rodziców, którzy spóźnili się po dzieci. – Wtedy mi spadły łuski z oczu – mówi. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Dziś Sabine K. (prosiła, by nie podawać nazwiska, podobnie jak inni rozmówcy) ma 74 lata, wciąż pracuje jako pedagożka społeczna. Od 1978 r. mieszka w dzielnicy Marzahn.

W lutym 2025 r. okręg wyborczy Marzahn-Hellersdorf (dwie połączone w 2001 r. dzielnice na wschodnim skraju Berlina, mające razem prawie 300 tys. mieszkańców) dał Alternatywie dla Niemiec jedyny w mieście mandat bezpośredni.

W niedzielę 20 września Berlińczycy wybiorą Abgeordnetenhaus, izbę reprezentantów (stolica, tak jak landy, ma swój parlament). Będą to kolejne wybory w Niemczech wschodnich w tym miesiącu: 6 września swój landtag wybiera Saksonia-Anhalt, a także 20 września land Meklemburgia-Pomorze Przednie. W Saksonii-Anhalcie AfD liczy na tak wysoki wynik, by mogła utworzyć landowy rząd, po raz pierwszy w historii. Dla Niemiec byłby to wstrząs.

Sabine K. nie głosuje na AfD. Ale powie: – Może pan napisać, że zwątpiłam w system.

Marzahn za Kleckersdorf

Kiedyś była tu wioska. Sabine S. nazywa ją *Kleckersdorf* – tak Niemcy potocznie określają „zapadłą dziurę". Wokół rozciągały się ogrody warzywne i pola. W czasach NRD w jej miejscu postawiono bloki. – To była wielka rzecz, powstanie tej dzielnicy. Tylu ludziom dano mieszkania – mówi Sabine S.

Ma 63 lata. Dziesięć lat przed przełomowym rokiem 1989 pracowała w przedsiębiorstwie robót ziemnych, najpierw przy materiałach do budowy tras tramwajowych, potem w sekcji projektowania. – Tory kładłam razem z innymi – wspomina. – To, że nie dźwigałam samego torowiska w pojedynkę, wynikało z tego, że jestem kobietą. Ale część szyn i tłuczeń pod nimi ułożyłam własnymi rękami.

Pierwsze mieszkanie Sabine S. dostała na początku lat 80. XX w. przy Pöhlbergstraße, w dzielnicy Marzahn.

Z kolei Sabine K. wprowadziła się w sierpniu 1978 r. do bloku na Marchwitzastraße, do dwupokojowego mieszkania. Jeszcze w tym samym roku urodziła syna. Wcześniej, pracując w dzielnicy Lichtenberg, przygotowała się do roli kierowniczki, a do Marzahn przyszła już jako dyrektorka przedszkola, z zadaniem tworzenia kolejnych placówek.

Później przejęła duże przedszkole przy Rabensteiner Straße, do którego uczęszczało 243 dzieci. Gotowano na miejscu, rodzice wspólnie z personelem urządzali ogród. Sabine K. chciała, by rosły w nim także drzewa owocowe.

Polski czytelnik zna tę obietnicę z Ursynowa i Nowej Huty. Mieszkanie, przedszkole, infrastruktura – wszystko budowane w tym samym czasie.

Koniec pewnej ojczyzny

Sabine S. nie miała rodziny na Zachodzie. Jeździła do Polski i Związku Sowieckiego, puścili ją nawet do Portugalii. Niemcy Zachodnie, jak mówi, jej nie interesowały.

W czerwcu 1989 r. była w Budapeszcie, u znajomej, której córka pracowała na dwóch etatach, by starczyło na czynsz i aby raz w tygodniu móc kupić mięso. Myślała wtedy: „O Boże, co by było, gdyby coś takiego kiedyś było u nas". Wróciła do Marzahn szczęśliwa, że znów jest u siebie w NRD.

O tym, co przyszło pół roku później, gdy zaczął się upadek NRD, mówi tak: – Dla nas to był koniec pewnej ojczyzny. Straciliśmy ojczyznę. Jasne, nie jestem reprezentatywna – poprawia się. – Ale myślę, że sporo ludzi czuje to dziś tak samo.

Przyznaje, co zyskała po zjednoczeniu: można podróżować, pieniądze mają wartość za granicą.

Emocje Sabine S. podziela Chris, lat 35, także mieszkaniec Marzahn. Jego ojciec był inżynierem elektrykiem, w NRD ukończył Uniwersytet Humboldtów. Po upadku muru, mówi dziś syn, „mógł sobie te studia w fajce wypalić". Na emeryturę odchodził z call center.

Z kolei Sabine K. po zjednoczeniu Niemiec pracowała w różnych instytucjach społecznych: – Co dwa lata zapadały inne decyzje. To człowieka podłamywało. Nagle słyszysz: na to już nie ma pieniędzy, tamto trzeba zamknąć. I stajesz przed rodzicami, i musisz im to jakoś wytłumaczyć. A na końcu i tak najbardziej na tym cierpią nasze dzieci.

W Marzahn odbywały się demonstracje, podczas których wywieszano białe flagi, bo w urzędach, zwłaszcza w urzędzie do spraw młodzieży (Jugendamt), brakowało pracowników. Chodziło o to, by powiedzieć głośno: tego nawału pracy już nie da się ogarnąć, a zadań wymaganych ustawowo, np. ochrony dzieci, nie da się realizować.

– Człowiek ciągle dochodzi do granic możliwości i widzi, że odpowiedzialni ludzie są daleko od codzienności, w której my wszyscy, jako obywatele, żyjemy. I wtedy rodzice tracą zaufanie do instytucji – mówi Sabine K. ↦

FILIP SINGER / EPA / PAP

eprasa.pl eebb42529e

Trzy perspektywy

↦ Mieszkam niedaleko Brodowiner Ring. Gdy idę do sklepu, mijam miejsce pamięci: niewielki skwer, kamienną ławkę i misę, w której można zostawić kwiaty albo, zgodnie z wietnamskim zwyczajem, zapalić kadzidło.

Tutaj 24 kwietnia 1992 r. zginął Nguyễn Văn Tú. Miał 29 lat, przyjechał do NRD jako robotnik kontraktowy; pracę stracił w listopadzie 1990 r., miesiąc po zjednoczeniu Niemiec. W tamten kwietniowy piątek przyjechał do Marzahn, by odwiedzić kolegę. Jego znajomi sprzedawali papierosy przed supermarketem.

21-letni sympatyk skrajnie prawicowej partii Deutsche Volksunion (istniała w latach 1987-2010) wcześniej pił z kolegami. Kilkakrotnie kopnął w stoisko Wietnamczyków. Tú stanął w obronie znajomych i dostał cios nożem w płuco. Znajomi zawieźli go do szpitala (plac był pełen ludzi, nikt inny nie zareagował). Zmarł tego samego dnia.

Kurt, mój kolejny rozmówca, lat 85, wprowadził się do Marzahn w 1992 r. Dziś mówi, że nie zetknął się z niczym takim. Ani z prawej, ani z lewej strony.

Sabine S. mówi, że skrajnie prawicowa przemoc istniała już wtedy, ale była mniej jawna, a cudzoziemców było tak niewielu, że, jak twierdzi, problem nie był odczuwalny.

Sabine K. pamięta inaczej. Po rozstaniu z mężem mieszkała z synem w sąsiednim Hellersdorfie, naprzeciw gimnazjum. – Miałam wieczorem otwarte okno i nagle głośna muzyka, i wrzask. Kilkudziesięciu młodych ludzi, „*Heil Hitler*". Poczułam potworny strach. Pomyślałam: „Mój Boże, co tu się dzieje?".

Był rok 1991. Jak wspomina, środowisko skrajnej prawicy przeniosło się wtedy z Lichtenbergu do Hellersdorfu i Marzahn. Marsze przechodziły Mehrower Allee i Märkische Allee, w asyście policji. – Wtedy dotarło do mnie, co się w dzielnicy dzieje. Czego się na co dzień nie zauważa ze względu na całodniową pracę.

Jeden nie widział nic. Druga twierdzi, że problem był mało odczuwalny. Trzecia bała się stać przy swoim oknie.

Chris, rocznik 1991, wychował się w Lichtenbergu. Mówi mi, że Wietnamczyków nazywano wtedy *Fidschis* (w wolnym przekładzie: czarnuchy). W rodzinie jego żony, która pochodzi z Maroka, Marzahn przez lata był miejscem, którego się unikało.

Kolejne tablice upamiętniające Nguyễna Văn Tú, wieszane tu przez różne inicjatywy, były niszczone. Stałe miejsce pamięci powstało dopiero, gdy mieszkańcy zgłosili je do budżetu obywatelskiego, a ich wniosek zdobył najwięcej głosów w dzielnicy.



SEBASTIAN JABŁOŃSKI X4

SABINE S., *63 lata, przed rokiem 1989 pracowała 10 lat w przedsiębiorstwie robót ziemnych, w dzielnicy Marzahn mieszka od początku lat 80.: „Dla nas to był koniec pewnej ojczyzny".*



KURT, *85 lat, przeprowadził się do Marzahn w 1992 r. O ludziach głosujących na AfD mówi: „Mają dosyć pouczania. Byli pouczani całe życie i myśleli, że teraz będzie inaczej".*



SEBASTIAN, *35 lat, całe życie w Marzahn, pomocnik wychowawcy w przedszkolach: „W niektórych placówkach do dziś stoją meble, na których sam kiedyś siedziałem".*

Kto tu dziś mieszka

Sebastian, syn Sabine S., ma 35 lat. Całe życie mieszka w Marzahn, pracuje jako pomocnik wychowawcy w przedszkolach w Berlinie. – W niektórych przedszkolach do dziś stoją meble, na których sam kiedyś siedziałem – mówi.

Sabine K. urządzała takie przedszkola od 1978 r. On widzi na tych meblach dzieci, którymi dziś się opiekuje.

Wspomniany już Kurt przeprowadził się tu z Berlina Zachodniego. W 1992 r. kolega z pracy przypiął na zakładowej tablicy ogłoszeń kartkę z informacją, że szuka następcy do najmu. Kurt mówi, że nie zdawał sobie na początku sprawy, że to w Berlinie wschodnim.

– Na początku byłem oczywiście trochę sceptyczny, bo ciągle mówiono mi: „Tam w ogóle nie znajdziesz kontaktu z ludźmi" – wspomina dziś. – Ale to się nie potwierdziło, mogę powiedzieć, już po trzech dniach. Głównie dzięki sąsiadom. Od razu byli dla nas życzliwi.

Nikt się nie przyznaje

W przeszłości okręg wyborczy Marzahn-Hellersdorf wybierał Gregora Gysiego, lidera postkomunistycznej Partii Demokratycznego Socjalizmu (powstała z przekształcenia partii komunistycznej). W 1990 r. Gysi dostał tu prawie 32 proc., a cztery lata później prawie 49 procent. Po nim mandat przez 15 lat trzymała Petra Pau z Partii Lewicy (następczyni PDS).

Potem zaszła zmiana. W 2021 r. wygrał tu chadek Mario Czaja. Ale w lutym 2025 r. Gottfried Curio z AfD pokonał Czaję różnicą 467 głosów. Na listę AfD oddano wówczas 31,2 proc. głosów.

Sabine K. zawsze głosowała na postkomunistów, potem na Lewicę. O Gysim mówi, że nie może się go nasłuchać, bo wszystko, co mówi, trzyma się kupy. Dziś pyta się sama siebie, z którą partią się utożsamia. Zastanawia się, czy we wrześniu w ogóle pójdzie głosować.

eprasa.pl eebb42529e

O ludziach, którzy głosują dziś na AfD, Kurt mówi: – Mają dosyć pouczania. Byli pouczani przez całe życie i myśleli, że teraz będzie inaczej. Że można mówić, co się chce. A jednak nie można mówić, co się chce.

Chris twierdzi, że wyborami się nie interesuje i może tylko spekulować na ten temat.

Sebastian, syn Sabine S., uważa, że AfD przesunęła granice tego, co ludzie ośmielają się mówić publicznie. Rasistowskie hasła coraz łatwiej, jak zauważa, przedstawia się jako „tylko własną opinię". Sebastian kpi z argumentu zwolenników AfD, że cudzoziemcy z jednej strony „zabierają Niemcom pracę", skoro z drugiej strony zarzuca im się, że nie pracują.

Jedną granicę Sebastian stawia wyjątkowo wyraźnie: bagatelizowanie Holokaustu nie jest dla niego opinią, lecz przestępstwem. Ma przy tym wrażenie, że w internecie coraz więcej osób pozwala sobie na takie wypowiedzi. – Na ulicy jeszcze mi się to nie zdarzyło. Nie wiedziałbym nawet, jak zareagować– zastanawia się.

Mówi, że na AfD nigdy nie zagłosuje, bo „faszystów w Bundestagu nie potrzebuje". Skalę poparcia dla AfD podaje z pamięci: – Jeśli w sondażach 27 procent deklaruje, że zagłosuje na AfD, to i tak 73 procent nie zagłosuje.

– Mam nadzieję, że AfD nie urośnie – mówi. – Ale są dni, kiedy nie jestem optymistą.

Jak się rodzi wyobcowanie

W niektórych ogólnoniemieckich sondażach AfD osiąga dziś więcej – nawet 30 proc. poparcia. Jednak w sześciu długich rozmowach, które prowadziłem w Marzahn, każdy, z kim rozmawiam, umieszcza wyborcę AfD gdzieś obok: wśród znajomych, ludzi spotykanych na ulicy. Nigdy u siebie.

Najlepsza może odpowiedź, udzielona przez Sabine K., w ogóle nie dotyczy partii.

W okolicy Plaza Marzahn był kiedyś niewielki park: ławki, drzewa dające cień, starsi ludzie z pobliskiego domu seniora, matki z dziećmi. Potem ogłoszono, że stanie tu wieżowiec. Podpisy przeciw budowie zbierali ludzie związani z organizacjami społecznymi i partiami, wolontariusze, mieszkańcy domu seniora. Było ich, mówi Sabine K., bardzo dużo. Władze dzielnicy długo popierały protestujących, ale ostatecznie nie zdołały powstrzymać inwestycji. Budowę przeforsowano na poziomie Senatu Berlina (landowego rządu).



ARCHIWUM PRYWATNE

KATARZYNA, *52 lata, przyjechała z Polski w 1992 r. na tydzień i została trzydzieści cztery lata: „Czy mam niemiecki dowód, czy nie, będę zawsze ausländerką".*



CHRIS, *35 lat, wychował się we wschodnioberlińskiej dzielnicy Lichtenberg: „Mój ojciec był w NRD inżynierem elektrykiem. Po upadku muru mógł sobie te studia w fajce wypalić".*

– Nie ma sensu robić takich petycji – mówi Sabine K. – Decyzje i tak zapadają gdzie indziej. Kiedy ktoś ma pieniądze, podpisy ludzi są nic niewarte. Tak to przynajmniej widzę.

Wieżowiec stoi. Po drugiej stronie jest dom seniora, który walczył o ogród, gdzie starsi ludzie mogli posiedzieć na ławce. – Co jest ważne? – pyta Sabine K. – Człowiek czy zysk?

„Ucz się niemieckiego"

Katarzyna przyjechała do Berlina w 1992 r., planowo na tydzień. Została do dziś. – Co zostawiłam w Polsce? – mówi. – Moje problemy.

Do 2018 r. mieszkała w Steglitz, w zachodniej części miasta. Pracowała w gastronomii, potem jako opiekunka seniorów. Do Marzahn trafiła cztery lata temu.

Gdy w latach 90. rozmawiała na ulicy po polsku, ściszała głos. – Mówiłyśmy po cichu, żeby nikt nie słyszał, że po polsku rozmawiamy, bo wstydziłyśmy się po prostu.

Zdarzało się, że ktoś rzucił: „*Lern Deutsch!*" (ucz się niemieckiego). Nauczyła się sama. Dziś jej sąsiadka zza ściany, Białorusinka, chodzi na kurs.

– *Umso stolzer bin ich auf mich, dass ich das von alleine geschafft habe* (Tym bardziej jestem z siebie dumna, że dałam radę sama) – mówi. To jedno zdanie wypowiada po niemiecku.

Obywatelstwa Niemiec nie ma i nie chce. – Czuję się Polką. Choć mieszkam tutaj dłużej, niż żyłam w Polsce, będę zawsze ausländerką [cudzoziemką – red.], czy mam niemiecki dowód, czy nie.

O Marzahn mówi bez sentymentu: śmieci na klatce, szczury. A zaraz potem, że po zakupy chodzi przez dolinę Wuhle, bo tam jest ładnie. Martwi ją szkoła syna: nauczyciele odchodzą po dwóch, trzech miesiącach.

O wyborach mówi, że pójdzie (w wyborach landowych może głosować), ale jeszcze nie wie, na kogo zagłosuje. – Często słuchałam Alice Weidel, liderki AfD. To, co chce dla Niemców, jest super – mówi. Zaraz potem dodaje: – Ale ja znam ludzi z AfD, polityków. Ich bym nie chciała.

Mówi, że gdyby mogła, wróciłaby do Polski jutro.

Szukając odpowiedzi

Podczas rozmowy z Sabine K. podeszła do nas kobieta mieszkająca tu od 1986 r. Słyszała część rozmowy. Włączyła się. Mówiła o problemach w szkole syna. Potem oświadczyła, że stara się nie mówić głośno tego, co myśli, bo nie chce być zaszufladkowana. Nie mam jej zgody, więc jej nie zacytuję.

Być może właśnie w tym kryje się część odpowiedzi na ciszę wokół AfD, z którą spotkałem się w Marzahn.

Sabine K. była pod Bramą Brandenburską jeden raz: w sylwestra 1989 r.: – Wtedy nie było podziału na *Ossi* i *Wessi*. Dziś jest inaczej.

© SEBASTIAN JABŁOŃSKI

eprasa.pl eebb42529e

Horyzont zimowy

FILIP RUDNIK

ROSJA–UKRAINA | Uderzenia dalekiego zasięgu, prowadzone przez obie strony, stały się istotnym czynnikiem dla przebiegu wojny. Ich intensywność zwiastuje ciężką jesień i zimę dla Ukraińców. Choć nie tylko dla nich.

Codzienność mieszkańców ukraińskich miast jest przerażająca. Od początku pełnoskalowej wojny Rosjanie stopniowo zwiększają zdolności do terroryzowania Ukrainy. Najjaskrawszym tego wyrazem są ataki na Kijów, które obecnie mają miejsce co kilka dni. W ciągu jednej doby, 27 sierpnia, alarm powietrzny ogłaszano w stolicy 17 razy.

Nigdy jeszcze nie było tak źle. Rosyjski przemysł skokowo zwiększył możliwości produkcyjne tego, co analitycy wojskowi nazywają środkami napadu powietrznego: dronów, rakiet i pocisków manewrujących. Agresor wystrzeliwuje ich coraz więcej, a w zasięgu ich rażenia jest cały kraj. „Hitem sezonu" są teraz bezzałogowce z turboodrzutowym napędem, co pozwala im osiągnąć prędkość nawet 600 km/h.

POKŁOSIE | Ukraińska słabość bierze się nie tylko z rosyjskich postępów technologicznych, ale także z sytuacji międzynarodowej. Przekazane przez Zachód wyrzutnie Patriot, zdolne do zestrzeliwania pocisków balistycznych, często stoją dziś puste. To pokłosie konfliktu w Zatoce Perskiej, rozpoczętego w lutym przez Izrael i USA. Przez ostatnie miesiące Amerykanie i ich sojusznicy wykorzystali zapasy rakiet przechwytujących.

Roczna produkcja tych pocisków jest zarazem zbyt mała, aby umożliwić zarówno uzupełnienie składów dla sił zbrojnych USA, jak i dozbrojenie Ukraińców. Symptomatyczny jest tu fakt, że Ukraińcy przestali publikować dane na temat tego, ile „balistyki" wystrzelili Rosjanie.

Ataki w głębi terytorium Ukrainy uderzają nie tylko w przemysł zbrojeniowy, ale w całość gospodarki. Celem są pociągi, porty, powierzchnie magazynowe – to paraliżuje prace wciąż funkcjonujących firm. Oraz demonstruje coraz większą zdolność Rosjan do pogłębiania problemów Ukrainy.

WET ZA WET | Tym, co pozwala zachować pewien balans sił, jest fakt, że Ukraińcy nie są dłużni i jest to widoczne w Rosji. Rozpoczęta w 2024 r. kampania ataków ukraińskich dronów na rosyjskie rafinerie osiągnęła masę krytyczną późną wiosną tego roku, prowadząc do kryzysu paliwowego. Od lipca stacje benzynowe w Rosji – kraju, który ma znaczące moce rafineryjne i swój surowiec – mają trudności z podażą. Przyczyną jest za mała produkcja benzyny.

Ukraińska armia doprowadziła też do częściowej izolacji Krymu; jego mieszkańcy doświadczają regularnych przerw w dostawach wody, prądu i paliwa. To o tyle znaczące, że okupowany Krym miał – w ujęciu Kremla – stanowić klejnot w koronie imperializmu Putina.

Latem Ukraińcy wzięli na cel kolejny komponent gospodarki Rosji: sektor e-commerce. Systematyczne ataki na magazyny dwóch gigantów tej branży, Wildberries i Ozon (obie firmy kontrolują ponad 80 proc. rynku), doprowadziły do paraliżu dystrybucji. Oraz do problemów małego i średniego biznesu, który prowadzi sprzedaż przez te platformy. Problem jest tak duży, że zmusił władze do interwencji finansowej – bankructwa firm, zadłużonych w państwowych bankach, odbiłyby się na kondycji całego sektora finansów.

WOJNA DRONÓW | Kampania tych *deep strikes* to nie tylko sukces wymierny, ale też wizerunkowy: dowód, że Ukraińcy nie stracili inicjatywy i są w stanie zadawać Rosji bolesne straty. Ojców tego sukcesu jest wielu – przy wsparciu z zagranicy, Ukraińcy zwiększyli produkcję dronów do stopnia pozwalającego wysyłać nad Rosję setki bezzałogowców, aby w ten sposób przeciążyć zdolności jej obrony przeciwlotniczej.

W powodzeniu tych ataków swoją rolę odgrywają też Amerykanie. Według doniesień medialnych, których Biały Dom nie dementował, udzielane przez USA dane wywiadowcze pozwalają Ukraińcom na efektywniejsze omijanie systemów przeciwlotniczych wroga. Ponadto: rosyjska „głębia strategiczna", czyli rozległość tego kraju, zawsze wspomagająca jego obronę, teraz stanowi bagaż, gdy idzie o przeciwdziałanie masie dronów, korzystających z wielu tras przelotowych.

DOMEK Z KART | Cel Ukraińców jest jasny: wyrządzić rosyjskiej gospodarce jak największe szkody i osiągnąć punkt krytyczny, prowadzący do paraliżu państwa. W tym ujęciu gospodarka Rosji jest jak domek z kart: nadgryzanie kolejnych elementów konstrukcji ma prowadzić do lawiny negatywnych skutków, uniemożliwiając Rosji kontynuację wojny.

To zaś ma prowadzić do pojawienia się bliżej niesprecyzowanego „czarnego łabędzia" w Rosji. To metafora, której używali kiedyś sowietolodzy, a dziś sięgają po nią rosjoznawcy: oznacza wydarzenie nieprzewidywalne, wstrząs, który w kontekście rosyjskim może prowadzić do załamania się reżimu politycznego.

Uderzenia w rafinerie, logistykę i zakłady przemysłowe – to nie tylko koszty związane z ich odbudową, ale też wzrost kosztów dla konsumentów, co nie pozwala rosyjskiej gospodarce zapomnieć o inflacji. A presja zewnętrzna – rozumiana też jako utrzymywanie przez Zachód presji sankcyjnej – oddziałuje również na nastroje na rynku kapitałowym. W tym roku moskiewska giełda straciła blisko 30 proc. wyceny, zbliżając się do poziomów po spadkach z 2022 r.

Faktem jest, że Ukraińcom udaje się punktowo wstrząsać posadami rosyjskiego reżimu. Skala ich ataków jest tak duża, że strategia Kremla na izolowanie Rosjan od kosztów wojny jest nie do utrzymania. Regularne uderzenia dronów to chleb powszedni w Rosji – nawet na Syberii, co pokazuje, że niewiele miejsc jest wolnych od tego zagrożenia.

Ukraińskie ataki przynoszą też ofiary wśród cywilów. Niemożność zapewnie-

eprasa.pl eebb42529e



LOUIS LEMAIRE-SICRE / IMAGO / LE PICTORI / EAST NEWS

Po akcji ratunkowej, podczas której szukano ocalonych w ruinach częściowo zawalonego dziewięciopiętrowego bloku. Kijów, 2 lipca 2026 r.

nia im ochrony jest szeroko dyskutowana przez Rosjan na kanałach w Telegramie.

DYMISJA EKSPERTA | Jak na te problemy reagują władze Rosji? Nie ukrywają, że one istnieją, ale przekonują, że mają one charakter przejściowy. Według Putina i jego otoczenia ukraińskie ataki to efekt desperacji Ukraińców, którym nie idzie na froncie.

Na niuansowanie sytuacji tu nie ma miejsca, o czym przekonują się coraz to wyższe eszelony rosyjskich decydentów. W sierpniu głośno było o pewnej dymisji: pracę stracił Andriej Klepacz, główny ekonomista państwowego banku WEB. Co ciekawe, zwolniono go dopiero po tym, jak do sfery publicznej przedostała się treść jego majowego wystąpienia w ramach jednego klubu dyskusyjnego krajowych elit gospodarczych.

Klepacz podał w wątpliwość szansę Rosji na zwycięstwo w „wojnie na wycieńczenie", określając ukraińskie uderzenia jako realną barierę dla rozwoju krajowej gospodarki, co tylko uwydatnia technologiczny regres w porównaniu z resztą świata. Wraz z dalszym utrzymaniem sankcji i atakami, twierdził Klepacz, obecna trajektoria doprowadzi Rosję do „społecznego kryzysu" w najmniej spodziewanym momencie.

„WYBORY" I POBÓR | Ukraińcy „wstrzelili" się swoimi atakami w newralgiczny moment: przed wrześniową procedurą, przez Kreml nazywaną „wyborami parlamentarnymi".

Choć do żadnych zaskoczeń w przypadku ich wyników nie dojdzie (Kreml nie dopuścił do kandydowania nawet liberalnej partii Jabłoko, z obawy przed skupianiem się wokół niej antywojennego sentymentu), to ukraińskie uderzenia tworzą niekorzystne tło, podkopujące iluzję kontroli nad sytuacją w kraju. To o tyle istotne, gdyż właśnie na sloganach o stabilności rządząca partia Jedna Rosja zdobywała w przeszłości władzę.

Wrześniowe „wybory" stanowią dla Rosjan jednak istotną cezurę: od miesięcy w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej krąży hipoteza, że krótko po nich Kreml zdecyduje się na kolejną mobilizację. Armia zmaga się z niesatysfakcjonującym tempem naboru ochotników, a zwiększenie jej stanu osobowego jest konieczne, także wobec strat.

W reakcji na te doniesienia, rosyjscy mężczyźni ponownie zaczęli przekraczać granicę z Gruzją. Wiadomo, że niektórzy zwracają się do rosyjskich organizacji emigracyjnych o pomoc w opuszczeniu kraju.

OKNO MOŻLIWOŚCI | Z punktu widzenia Ukrainy, rosyjska mobilizacja – jeśli faktycznie będzie mieć miejsce i jeśli będzie prowadzona w sposób choćby odrobinę podobny do tego z jesieni 2022 r., gdy na gwałt szukano „mięsa armatniego" – może być tym „czarnym łabędziem", może pogłębić społeczne niezadowolenie i chaos w Rosji.

Nie wiadomo jednak, do jakiego stopnia Kreml postrzega korzyści związane z mobilizacją jako przewyższające negatywne skutki. Masy rekrutów nie przełożą się przecież na postępy na froncie od razu, a problemy w kraju mogą ulec znacznej intensyfikacji.

Wydaje się więc, że Kreml liczy dziś przede wszystkim na złamanie woli Ukraińców przez kontynuację terroru i podkopywanie ukraińskiej gospodarki głębokimi atakami. A ponowna próba osiągnięcia przełomu na froncie może być podjęta wiosną 2027 r.

Zbliżająca się zima to dla Rosjan „okno możliwości". Zwiększa się ono wraz z kurczącą się zdolnością Ukraińców do obrony przed wrogą balistyką. Terror wobec ludności i paraliżowanie gospodarki mają nie tylko złamać ducha Ukraińców, ale być też sygnałem dla Zachodu, że Rosja wciąż ma inicjatywę w tym konflikcie – i lepiej jej nie ignorować.

W scenariuszu, w którym rosyjskie wojska zaczynają dziś mozolną, ale jednak bitwę o ostatnie już ukraińskie twierdze w Donbasie – Słowiańsk i Kramatorsk – takie komunikaty będą brzmieć jeszcze klarowniej.

W tym kluczu należy postrzegać również niejednoznaczne sygnały, mające świadczyć o gotowości Putina do „przetestowania" NATO przez bliżej niesprecyzowaną, kinetyczną operację na wschodniej flance Sojuszu. Według doniesień medialnych wizyta szefa CIA w Moskwie z końca sierpnia miała służyć ostrzeżeniu Rosjan przed taką próbą.

RIPOSTA KIJOWA | Można być jednak pewnym, że Ukraińcy nie będą stać z założonymi rękami. Po doświadczeniach ostatniej zimy są świadomi, że Rosjanie będą chcieli powtórzyć ówczesny „sukces": znów sparaliżować sieć energetyczną ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ i ciepłowniczą. Przynajmniej w kilku dużych miastach, w tym w Kijowie.

W obliczu deficytu pocisków do Patriotów, Kijów zapowiada intensyfikację ataków na miejsca startowe rosyjskich rakiet. Nie można też wykluczyć, że w ramach przybliżania Rosjanom realiów wojny, Ukraińcy będą odpłacać pięknym za nadobne – niszcząc infrastrukturę energetyczną w Rosji. W takim scenariuszu nadchodzący sezon grzewczy może być trudny nie tylko dla Ukraińców.

Rosjanie celowo stawiają na „generała mroza" jako sprzymierzeńca, mającego wspomóc nacisk na „zbuntowaną prowincję". Jednocześnie wydaje się, że Kreml nie sięga poza horyzont najbliższej zimy – tym razem terror ma złamać przeciwnika.

BEZ ROZEJMU | Sięganie wzrokiem poza okres najbliższej zimy byłoby dla Putina bolesne – bo gdyby w perspektywie kolejnych miesięcy nie doszło do odwrócenia negatywnych dla Rosji trendów, konieczne byłoby podjęcie nieprzyjemnych decyzji, choćby w postaci powszechnej mobilizacji.

Jeśli Ukraińcy będą kontynuować ataki w głębi Rosji, coraz bardziej widoczny będzie też rozziew między forsowaną przez Kreml iluzją stabilności a realiami. To podwyższy koszty wojny – także te społeczne. Z kolei wstrzymanie kampanii uderzeń przez Kijów można wyobrazić sobie tylko w dwóch przypadkach: zmniejszenia zdolności do ich prowadzenia na skutek rosyjskich ataków bądź zawarcia „energetycznego rozejmu", tj. wstrzymania wzajemnych uderzeń na obiekty infrastruktury energetycznej.

Kijów proponował taki ograniczony rozejm, ale Putin ofertę kilkakrotnie odrzucał. Najwyraźniej wciąż postrzega niszczenie ukraińskiej energetyki jako efektywne narzędzie nacisku. W jego rozumieniu zima 2026/2027 będzie stanowić ostateczny test efektywności tego instrumentu, na który stawia z premedytacją i uporem.

© FILIP RUDNIK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

Tekst ukończono 28 sierpnia.



PETER DEJONG / AP / EAST NEWS

Oczy szeroko przymknięte

ŁUKASZ KOTERBA

HOLANDIA | Miliardy, które gangi zarabiają na kokainie, doprowadziły do eskalacji przemocy i zachwiały poczuciem bezpieczeństwa Holendrów. Czy ten kraj zbliża się już do latynoskiego modelu „państwa narcos"?

To mógłby być scenariusz filmu akcji. Na pełnym morzu u wybrzeży Sierra Leone wojskowa łódź przybija do statku płynącego do Liberii. Komandosi aresztują zaskoczonego 35-latka, aby następnie w ekspresowym tempie dostarczyć go do Holandii, przed sąd.

Planu tego nie zrealizowano. Przygotowania do ujęcia Josa Leijdekkersa, z racji tuszy zwanego przez media „Bolle Jos" (Okrąglutki Jos), opisał w maju dziennik „De Telegraaf". Akcję porwania kokainowego bossa szykowano od miesięcy; kupiono nawet łódź-przykrywkę, która pływała u brzegu Afryki i miała być bazą wypadową.

Do aresztowania miało dojść na wodach międzynarodowych, gdy Leijdekkers płynąłby z Sierra Leone do sąsiedniej Liberii. Ostatecznie dwa kolejne rządy w Hadze nie dały służbom zielonego światła. Zapewne uznano, że ryzyko jest zbyt wielkie. Prokuratura nie potwierdza doniesień „De Telegraaf";

eprasa.pl eebb42529e



Spontaniczne upamiętnienie w miejscu, gdzie zamordowany został Peter R. de Vries, dziennikarz zajmujący się tematem holenderskiej mafii narkotykowej. Amsterdam, 8 lipca 2021 r.

jej rzecznik zaznaczył tylko, że aresztowanie bossa pozostaje „priorytetowe".

Trudno się dziwić. Leijdekkers to główna twarz holenderskiej mafii narkotykowej, sprowadzającej tonami kokainę z Ameryki Południowej do Europy. Niedawno, pod koniec lipca, sąd w Belgii skazał go na kolejnych 14 lat więzienia. Łączna długość wyroków zasądzonych wobec niego przekroczyła już 100 lat.

Tymczasem Leijdekkers żyje sobie w Sierra Leone, a władze tego kraju ignorują wnioski o ekstradycję. Media piszą, że jest partnerem córki prezydenta Juliusa Maada Bio i że stamtąd kieruje biznesem, na którym zarabiają także lokalne elity.

TRADYCJA POBŁAŻANIA | Historia Leijdekkersa to kolejna odsłona problemu, z którym Holandia zmaga się co najmniej od dekady. Chodzi o rosnące zagrożenie ze strony zorganizowanej przestępczości narkotykowej i jej coraz brutalniejsze metody.

Wcześniej połączenie słów „Holandia" i „narkotyki" długo kojarzyło się z pobłażliwą polityką wobec tzw. miękkich narkotyków (zwano to *gedoogbeleid*, polityka przymykania oka). Holandia od półwiecza toleruje sprzedaż marihuany w coffeeshopach, jeśli te spełnią warunki (sprzedają tylko pełnoletnim i maksymalnie 5 gramów). Nie uregulowano jednak tego, skąd coffeeshopy mają brać towar, więc zaopatrują się głównie w półświatku.

Innym fundamentem tej polityki jest rozróżnienie między narkotykami miękkimi i twardymi (to np. kokaina, narkotyki syntetyczne). Ale choć klienci coffeeshopów nie kupią w nich ecstasy i kokainy, mogą zrobić to u dilera z internetu lub w klubie. „Pigułeczka" (*pilletje*) na festiwalu muzycznym to dla wielu norma. Z raportu instytutu ds. uzależnień Trimbos wynika, że w 2023 r. prawie trzy czwarte regularnych bywalców festiwali sięgało, choćby czasem, po ecstasy.

SKĄD HOLANDIA? | Jednak rynek wewnętrzny to dla przemytników i producentów tylko dodatek. Holandia jest głównym centrum logistycznym i eksportowym Europy, jej oknem na świat – i dla biznesów legalnych, i dla przestępczych.

Sprzyja temu wiele czynników. Rotterdam to największy port w Europie, a Schiphol to drugie największe lotnisko w Unii. Z Holandii blisko jest do Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii, czyli dużych rynków zbytu. Kraj ma świetną infrastrukturę, a liczne tereny przemysłowe i centra dystrybucyjne nadają się do ukrywania kokainy. Albo, co częstsze na wschodzie kraju – mieszczą laboratoria produkujące narkotyki syntetyczne.

Holandia to też centrum finansowe. To, co przyciąga koncerny, przydaje się też narkotykowym bossom – oni także obracają miliardami. Nie brak kreatywnych księgowych i prawników, gotowych pomóc w założeniu spółki-słupa. Do tego duże miasta portowe – wielokulturowe, z atmosferą „przymykania oka" – przyciągają ludzi z całego świata.

– Przestępcy, także zagraniczni, chętnie lokują się w Rotterdamie i Amsterdamie. Zakładają, że jeśli zostaną złapani, dostaną niskie wyroki i będą je odbywać w dość dobrych warunkach. To tylko częściowo prawda, ale wielu z nich tak myśli o Holandii – tłumaczy „Tygodnikowi" Paul Vugts, dziennikarz kryminalny gazety „Het Parool" z Amsterdamu.

MOCROMAFFIA | Krytycy liberalnej polityki wobec miękkich narkotyków uważają, że przyczyniła się ona do stworzenia klimatu, w którym rozkwitł także biznes kokainowy.

Paul Vugts uważa, że to bardziej skomplikowane: – Holandia to otwarty kraj, więc atmosfera „przymykania oka" może mieć znaczenie. Ale eksperci są podzieleni. Jedni mówią: właśnie dzięki rozróżnieniu na miękkie i twarde narkotyki udało się rozdzielić te dwa światy przestępcze. Sam jednak widzę, że częściowo się one przenikają.

Weźmy haszysz: ten często trafiał do Holandii z Maroka. W holenderskich miastach mieszka wielu ludzi pochodzenia marokańskiego, co ułatwiało przemyt. Teraz jednak wielu młodych przestępców z marokańskimi korzeniami zaczyna przestępcze „kariery" od razu od kokainy. W mediach funkcjonuje słowo „*Mocromaffia*": marokańska mafia narkotykowa.

– Nie przepadam za tym określeniem. Chodzi tu głównie o młodych, którzy mieszkają w biednych dzielnicach i znają się z ulicy. W tych grupach są ludzie, których dziadkowie pochodzili nie tylko z Maroka, ale też np. z Surinamu czy Antyli – mówi Vugts.

– To ma podłoże społeczno-ekonomiczne, nie tylko kulturowe. Młodzi mężczyźni z marokańskimi nazwiskami często są przekonani, że w Holandii nie mają równych szans. Szukają ich więc w przestępczości, bo w tym świecie nie ma dyskryminacji. Jeden z liderów „Mocromaffii" pochodził np. z Curaçao – wylicza dziennikarz.

DEKADA ESKALACJI | Choć problemy z przestępczością narkotykową nie są w Holandii nowe, to dekadę temu doszło do wyraźnej eskalacji. – Od około roku 2016 ofiarami przemocy są też ludzie spoza światka przestępczego. To wtedy zastrzelono Martina Koka, blogera piszącego o przestępczości. Po południu zjadłem z nim lunch, a wieczorem go zamordowano. Był pierwszym, którego zabito za to, co pisał – wspomina Paul Vugts.

Potem były zamachy z 2018 r.: z wyrzutni rakiet ostrzelano redakcję ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ tygodnika „Panorama", a tydzień później w redakcję gazety „De Telegraaf" uderzyła furgonetka z ładunkami wybuchowymi. W obu atakach nikt nie ucierpiał, ale straty materialne były duże.

– To w tamtym czasie objęto ochroną wielu sędziów, prokuratorów i dziennikarzy. Sam przez pół roku miałem bardzo poważną ochronę osobistą. Mieszkałem z żoną w tzw. *safehouse*, bezpiecznym domu i jeździłem w opancerzonych autach – opowiada Vugts.

Później był rok 2019 i kolejny szok: w biały dzień w spokojnej dzielnicy Amsterdamu zastrzelono adwokata Nabila B., gangstera, który dostał status świadka koronnego. Wcześniej zabito brata przestępcy. Nabil B. zeznawał przeciw Ridouanowi Taghiemu, ówczesnemu liderowi mafii narkotykowej.

ŚMIERĆ GWIAZDY | Do najgłośniejszego morderstwa z tej serii doszło dwa lata później. W 2021 r. Peter R. de Vries, najsłynniejszy dziennikarz kryminalny w kraju, wyszedł ze studia TV w centrum Amsterdamu. Był środek lata, godzina 19.30, gdy z auta prowadzonego przez Kamila E. (Polaka) wysiadł 21-letni Delano G. i pięciokrotnie strzelił do dziennikarza. De Vries zmarł w szpitalu półtora tygodnia później.

Krytycy liberalnej polityki wobec miękkich narkotyków uważają, że przyczyniła się ona do stworzenia klimatu, **w którym rozkwitł biznes kokainowy. Oraz mafia.**

Wstrząsnęło to krajem. Ofiara była gwiazdą mediów, laureatem Emmy, autorem bestsellerowej książki o porwaniu Alfreda Heinekena (w 1983 r. szef znanego browaru został uprowadzony dla okupu; historię tę potem sfilmowano, rolę główną zagrał Anthony Hopkins).

De Vriesowi grożono od lat. „Jako dziennikarz kryminalny nie możesz się bać. Jeśli boisz się, uprawiając ten zawód, jesteś jak chirurg, który operuje drżącymi rękoma" – mówił mi w 2015 r., gdy robiłem z nim wywiad dla magazynu „Press".

W grudniu 2025 r. sąd apelacyjny skazał za to zabójstwo osiem osób, w tym trzech Polaków. Wielu ekspertów uważa, że skazani byli tylko pionkami, a wyrok śmierci przyszedł z góry. Zapewne od Taghiego, gdyż de Vries doradzał wspomnianemu świadkowi Nabilowi B.

Prokuraturze udało się sprowadzić Taghiego z Dubaju i skazać na dożywocie (choć za inne zbrodnie). Proces Taghiego i jego kompanów był jednym z największych w historii Holandii. Trwał sześć lat, a skazano 16 osób, w tym trzy na dożywocie. Większość się odwołała, proces w sądzie apelacyjnym wciąż trwa.

MODEL WŁOSKI | Gdy zamordowano de Vriesa, Taghi siedział już w areszcie. Jeśli był zleceniodawcą, to ktoś pomógł mu w komunikacji ze światem. I tu trafiamy na kolejny problem: w minionych latach trzech adwokatów Taghiego oskarżono o przekazywanie informacji poza więzienie. Jednego skazano na 5,5 roku, inny czeka na proces. Najgłośniejsza była sprawa 71-letniej Inez Weski, gwiazdy palestry: skazano ją za udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

Ulysse Ellian, 37-letni poseł liberalno-prawicowej partii VVD, współtworzącej obecny rząd, chce temu zapobiec. – Rygorystyczny system więzienny powinien być jednym z fundamentów zwalczania zorganizowanej przestępczości. Po zabójstwie de Vriesa uznałem, że w Holandii tak jednak nie jest – mówi „Tygodnikowi".

Po tym, jak w 2021 r. został posłem, Ellian stał się jedną z twarzy walki z mafią. Ma to wysoką cenę: od pięciu lat żyje ze stałą ochroną. – Reżim więzienny musi być tak zorganizowany, aby komunikacja ze światem zewnętrznym była maksymalnie ograniczona. Tego nauczyłem się we Włoszech – tłumaczy. Wzorem dla niego jest „articolo 41-bis": włoskie prawo pozwalające na izolowanie mafijnych bossów.

POŻEGNANIE

22 sierpnia 2026 roku zmarł w Warszawie w wieku 85 lat

Ś.†P.

Maciej Hoffman

wydawca prasowy, jeden z założycieli i członek zarządu Izby Wydawców Prasy, wieloletni dyrektor generalny IWP, współtwórca i pierwszy prezes organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi SDiW Repropol, niezwykle zasłużony dla ruchu wydawniczego i dziennikarskiego.

Msza święta żałobna odbędzie się 3 września o godz. 12.40 w kościele pw. św. Wincentego w Warszawie, ul. św. Wincentego 83, po czym ciało Zmarłego spocznie w grobie rodzinnym na Cmentarzu Bródnowskim.

Rodzinie Zmarłego, Jego Bliskim i Przyjaciołom składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd Tygodnika Powszechnego

eprasa.pl eebb42529e



ROB ENGELAAR / EAST NEWS

Konsumenci marihuany w jednej z kawiarni, gdzie można legalnie palić jointa. Breda, grudzień 2023 r.

– Udało mi się ten model częściowo wprowadzić w Holandii, na oddziałach o zwiększonym rygorze. Dodatkowo najgroźniejsi przestępcy mogą mieć teraz tylko dwóch adwokatów. Dlaczego więzień miałby mieć pięciu adwokatów? – tłumaczy Ellian. Im więcej adwokatów, tym większe ryzyko, że któryś posłuży do przekazywania „grypsów".

SPORNE TEORIE | Sporo jeszcze trzeba zmienić, uważa Ellian. Chce, aby groźnych przestępców trzymano w zaostrzonym reżimie dłużej niż obecnie. Proponuje też, by rozmowy adwokatów z takimi skazanymi mogły być odsłuchiwane przez niezależną komisję. Pomysły takie są krytykowane przez organizacje prawnicze i niektóre NGO-sy.

Dalsze zaostrzanie reżimu więziennego, wyższe kary za przestępstwa narkotykowe, skuteczniejsze konfiskowanie pieniędzy zarobionych na przestępstwach i ściślejsza współpraca w zwalczaniu mafii narkotykowej na poziomie Unii – to inne narzędzia, które proponuje Ellian. Do tego: więcej świadków koronnych i skuteczniejsze sprowadzanie zbiegłych przestępców z zagranicy.

Pomysły na wyjście z problemu kokainowej przemocy zatem są, szczególnie jeśli chodzi o twardą wojnę z przestępcami. A co z tzw. pracą u podstaw? Teorie o społecznym i ekonomicznym podłożu przestępczości, np. w biednych dzielnicach ze społecznością z korzeniami migracyjnymi, niezbyt przemawiają do Elliana.

– Lewicowa, progresywna część Holandii mówi: trzeba pomóc ludziom z tych dzielnic, dać im dochód podstawowy itp. Ale przecież na przestępczych zleceniach mogą zarobić dziesięciokrotność tego, co mogliby zarobić uczciwą pracą – przekonuje polityk VVD.

PLAGA CODZIENNA | Te „zlecenia" to choćby ataki z użyciem małych ładunków wybuchowych. To prawdziwa plaga, od lat naruszająca poczucie bezpieczeństwa mieszkańców dużych miast. Tylko w pierwszej połowie 2026 r. w Holandii takich zamachów (lub ich prób) było prawie 600, z czego ponad sto w Amsterdamie. Przeważnie nie ma rannych czy zabitych, bo ich celem jest zastraszenie.

Wielu sprawców to nastolatkowie z tzw. trudnych dzielnic, z korzeniami migracyjnymi, np. marokańskimi. Zlecenia przyjmują na Snapchacie i Telegramie, a celami ataków są np. krewni zwaśnionych przestępców i drobni przedsiębiorcy.

Paul Vugts uważa, że prócz ostrej walki ze zorganizowaną przestępczością sporo da się zdziałać właśnie pracą w terenie. W Amsterdamie nastoletni sprawcy ataków pochodzą często z trudnych rodzin i trafiają do ośrodków pomocy społecznej.

– Nie możemy tracić z oczu tych ludzi. Potrzebny jest duży zespół, który będzie się tym zajmował. Oni powinni trafiać do porządnych ośrodków i mieć odpowiednie wsparcie. Wtedy będziemy wiedzieć, co robią i czy nie zostaną ponownie zwerbowani – przekonuje Vugts. Niestety nie zawsze na taką pracę u podstaw są fundusze, przyznaje dziennikarz.

PRZENIKANIE | Ostatnio w Holandii popularne stało się słowo „*ondermijning*", oznaczające zjawisko przenikania przestępczości zorganizowanej (głównie narkotykowej) do struktur państwa, biznesu i społeczeństwa.

Podlegający Ministerstwu Sprawiedliwości instytut opublikował w maju raport z niepokojącym wnioskiem: „*ondermijning*" uderza w społeczne fundamenty. Organizacje przestępcze próbują przejmować funkcje państwa, np. oferując pomoc w znalezieniu zakwaterowania i „inwestując" w biznesy będące w potrzebie – czytamy w raporcie.

Przykładem powódź z 2021 r. w Valkenburgu. Gdy rząd ociągał się ze wsparciem dla poszkodowanych przedsiębiorców, gangi narkotykowe oferowały im szybką gotówkę w zamian za pomoc w „praniu" ich pieniędzy. Inne zagrożenia to próby wpływania na decyzje samorządowców i werbowanie urzędników. To brzmi już jak zalążek „państwa narkotykowego" na wzór latynoski...

JAK MEKSYK? | Paul Vugts jest tu sceptyczny: uważa, że dokument ten nie wniósł wiele nowego, a wyciąganie z niego alarmistycznych wniosków to przesada: – Holandia nie jest państwem narkotykowym, a porównania z Meksykiem czy Kolumbią kompletnie nie mają sensu. Mam wiele uwag do naszego rządu, ale nie ma w nim przestępców. Także w samorządach to nie jest wielki problem.

Z drugiej strony raport przedstawia niektóre problemy znane od lat tak, jakby rząd dopiero teraz je zauważył, twierdzi Vugts.

– Od 20 lat wiemy już wiele o „praniu" brudnych pieniędzy w holenderskich firmach i współpracy przestępców z prawnikami oraz księgowymi. Dziś dochodzą kryptowaluty i inne systemy pozwalające omijać banki i przenosić miliony euro po świecie. To jest właśnie „podkopywanie struktur państwa", z którym należy walczyć – mówi Vugts. I apeluje: – Mniej raportów, a więcej działań. W Holandii dużo mówimy, ale za mało robimy. © ŁUKASZ KOTERBA

Autor jest tłumaczem, nauczycielem języka niderlandzkiego i dziennikarzem specjalizującym się w tematyce krajów Beneluksu. Przez dekadę mieszkał w Amsterdamie, do którego wciąż wraca.

eprasa.pl eebb42529e

Duch Asyżu – mija 40 lat od spotkania Jana Pawła II z przedstawicielami religii świata

27 października 1986 r. przedstawiciele różnych religii i różnych denominacji chrześcijańskich spotkali się na zaproszenie Jana Pawła II w Asyżu, by wspólnie modlić się o pokój na świecie. To bezprecedensowe wydarzenie miało nie tylko głęboki wymiar duchowy, ale także społeczny – zagrało na strunach sumień ówczesnych głów państw. Jak po 40 latach rezonuje w nas ta papieska inicjatywa? Czy odrobiliśmy lekcję?

„Już sam fakt, że tak wielu przywódców religijnych zebrało się na modlitwie, jest zachętą dla współczesnego świata, by uświadomił sobie, że istnieje inny wymiar pokoju, że obok negocjacji politycznych, kompromisów lub ekonomicznych przetargów istnieje inny sposób szerzenia pokoju. Jest nim modlitwa, która bez względu na zróżnicowanie religii wyraża związek z Potęgą Najwyższą, która znacznie przekracza granice naszych możliwości" – **mówił Jan Paweł II** podczas przemówienia powitalnego w bazylice Matki Boskiej Anielskiej **27 października 1986 r.**

Jak zauważa **Michał Senk**, dyrektor Centrum Myśli Jana Pawła II, „papież wskazał na nadprzyrodzony charakter pokoju, ale w ślad za wołaniem do Istoty Najwyższej poszły konkretne działania, które miały wpływ na myślenie ówczesnych elit politycznych – jednym z nich jest wypracowany w ramach kolejnych rocznic spotkania »Dekalog na rzecz pokoju z Asyżu«, dokument adresowany do przywódców państw, w którym przedstawiciele religii świata zobowiązują się m.in. do poszanowania niezbywalnego prawa do życia w pokoju, wzajemnego szacunku i popierania kultury dialogu".



„Duch Asyżu. Warszawskie forum dialogu i sztuki o pokoju" to realizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II interdyscyplinarny projekt edukacyjno-artystyczny upamiętniający 40. rocznicę spotkania przywódców religijnych w Asyżu.

W ramach propozycji edukacyjnych uczestnicy już od początku września będą mieli okazję wziąć udział w warsztatach **„Architektura pokoju"**, by pod okiem ekspertów pochylić się nad tekstami źródłowymi dotyczącymi rozumienia pokoju w różnych tradycjach religijnych, a także w debacie historycznej „**Asyż '86 – 40 lat po"**.

Jednym z zaplanowanych działań artystycznych jest stworzenie wielkoformatowego muralu w centrum Warszawy, zapraszającego mieszkańców do refleksji nad możliwością pokojowej egzystencji, mimo istniejących różnic.

Projektowi towarzyszy także cykl koncertów **„Da Pacem"**, w którym na scenie spotkają się artyści reprezentujący różne kultury i gatunki muzyczne. Wystąpią m.in. **Joanna Halszka Sokołowska, Abdullah Miniawy Trio, Saili Oak, Dariush Rasouli, soliści Match Match Ensemble, Chór Centrum Myśli Jana Pawła II, Chopin University Modern Ensemble pod dyrekcją Lilianny Krych i Jakuba Siekierzyńskiego**. Finałowy koncert galowy, łączący 40. rocznicę spotkania międzyreligijnego i 20. rocznicę powstania Centrum Myśli Jana Pawła II, instytucji kultury m.st. Warszawy, odbędzie się **24 października** w **audytorium Muzeum Historii Polski.**

Wstęp na wszystkie wydarzenia forum „Duch Asyżu" i cykl koncertów „Da Pacem" jest bezpłatny, po wcześniejszej rejestracji.

Szczegóły na stronie **centrumjp2.pl**

JP2 Centrum Myśli Jana Pawła II | 20 lat

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl eebb42529e

WOJCIECH

Bonowicz: „Nie dajmy się podzielić!”



Temat, do którego wracam systematycznie w tej rubryce: solidarność . Szczególnie ostatnie dni sierpnia jakoś tak na mnie działają, że więcej o solidarności rozmyślam, więcej na jej temat czytam i od czasu do czasu coś próbuję napisać. Nie da się ukryć: jestem dzieckiem legendarnego Sierpnia.

W chwili, gdy podpisywano tamte porozumienia, miałem trzynaście lat. Dostatecznie dużo, by wiedzieć, o co chodziło. I nie myślę nawet o treści postulatów i o tym, co konkretnie wynegocjowano. Miałem trzynaście lat i chłonąłem atmosferę tamtych wydarzeń, nie obserwowanych z bliska co prawda, ale przecież śledzonych z najwyższą uwagą. Było dla mnie jasne – tak o tym rozmawiano w domu – że to, co dzieje się na Wybrzeżu, dotyczy również nas. Że tamci strajkujący ryzykują także w naszej sprawie. I że nie chodzi tylko o to, co będzie na półkach w sklepie, ale o kształt naszego życia: o czym usłyszymy w szkole na lekcjach, czy nikt nikogo nie wyrzuci ze studiów za „niesłuszne” poglądy i czy ojciec, mimo że nie zapisał się do partii, będzie mógł w pracy awansować zgodnie ze swoimi kompetencjami.

Słowo „solidarność” brzmiało w tamtym czasie mocno, uderzało swą trafnością. Jedni narazili swoje życie dla drugich. Nie musieli iść na całość, mogli ograniczyć się tylko do własnego podwórka. A ci drudzy też przecież nie musieli dołączać do protestów. „Zaczekajmy, co z tego wyniknie” – były i takie głosy. Solidarność oznaczała wzniesienie się ponad własny interes i własne lęki. To poczucie, że robi się coś dla siebie, ale to „dla siebie” obejmuje również innych, coraz większą grupę, że się walczy o prawo do życia według jasnych reguł, jednakowych dla wszystkich, niezależnie od istniejących różnic – oto istota tamtego doświadczenia.

Solidarność to łączność, łączenie. „Nie dajmy się podzielić” – powtarzano w tamtych dniach, obawiając się prowokacji. Zauważmy, że to ostrzeżenie znów stało się aktualne. Ktoś – wiadomo kto – wkłada wiele energii w to, by skłócić nas z poszczególnymi sąsiadami, a podziały wewnętrzne zradykalizować. Nasza własna głupota i beztroska dokładają swoje. Solidarność to przebudzenie świadomości: tam, gdzie podział staje się wrogością, tracą wszyscy, nawet jeśli niektórzy doraźnie zyskują. Kto się zapamiętał w walce o władzę, o udowodnienie własnej przewagi, z trudem odzyskuje jasność widzenia. Ale nie jest to niemożliwe. „Nie dajmy się podzielić!”. Trzeba te słowa pisać na murach, wpisywać w pierwszych dniach września do szkolnych zeszytów, powtarzać na zebraniach. Zachowajmy różnorodność i wielomyślność, ale nie dajmy się podzielić, nie straćmy z oczu tego, co jest racją naszego istnienia.

Przykro jest patrzeć, jak miejsce etyki solidarności zajmuje retoryka egoizmu. „Ja”, „moje”, „sobie zawdzięczam”, „niech się wynoszą”, „niech sobie sami dają radę”. Ta retoryka nie dotyka tylko przybyszów, ona dotyka także tych wszystkich wewnętrznych „obcych”, przedstawianych jako ciężar, który społeczeństwo musi heroicznie dźwigać. Etyka solidarności zachęca, by skupić się wokół każdego, kto z różnych powodów, często nie z własnej winy, nie radzi sobie w życiu. Czasem powody są zdrowotne, czasem społeczne, najczęściej bywają złożone, bo życie – choć lubimy je ujmować w prostych zdaniach – proste nie jest. Retoryka egoizmu mówi: „Dlaczego mam płacić na tych nierobów, nieudaczników? Gdybym tak litował się nad każdym, niczego bym nie osiągnął. Całego świata i tak nie uratuję”.

Solidarność to nie mnożenie ciężarów, ale rozkładanie ciężarów, które istnieją, tak, by były możliwe do udźwignięcia. Owszem, nie jest łatwo prowadzić politykę opartą na solidarności. Zbyt wiele jest pokus na tej drodze czyhających i niemało złudzeń. Retoryka egoizmu klei się do głów także dlatego, że powołuje się na zdrowy rozsądek. Tyle że właśnie zdrowy rozsądek podpowiada, iż człowiek sam, skłócony z innymi, niczego w świecie nie zdziała. Owszem, jeśli ma pieniądze, może kupić trochę lojalności czy bezpieczeństwa. Jeśli ma ich dużo, to tego bezpieczeństwa kupić może naprawdę sporo. Ale czy to wystarczy? Czy można czuć się bezpiecznym w otoczeniu, które jest rozchwiane, miotane negatywnymi emocjami? A co, jeżeli naprzeciwko stanie dużo silniejszy przeciwnik? Czy też będziemy powtarzać: „ja”, „moje”, „sam sobie”, „za pomoc trzeba płacić”? ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

eprasa.pl eebb42529e

WIARA

GRZECH DOTYKU

Czy masturbacja jest „prozdrowotna”, czy „wewnętrznie nieuporządkowana”?
Katarzyna Wasiak, osoba z niepełnosprawnością ruchową,
pisze o doświadczeniu, które wymyka się kościelnym normom.
A seksuolożka Maria Beisert mówi o normach ślepych na wiedzę i życie.

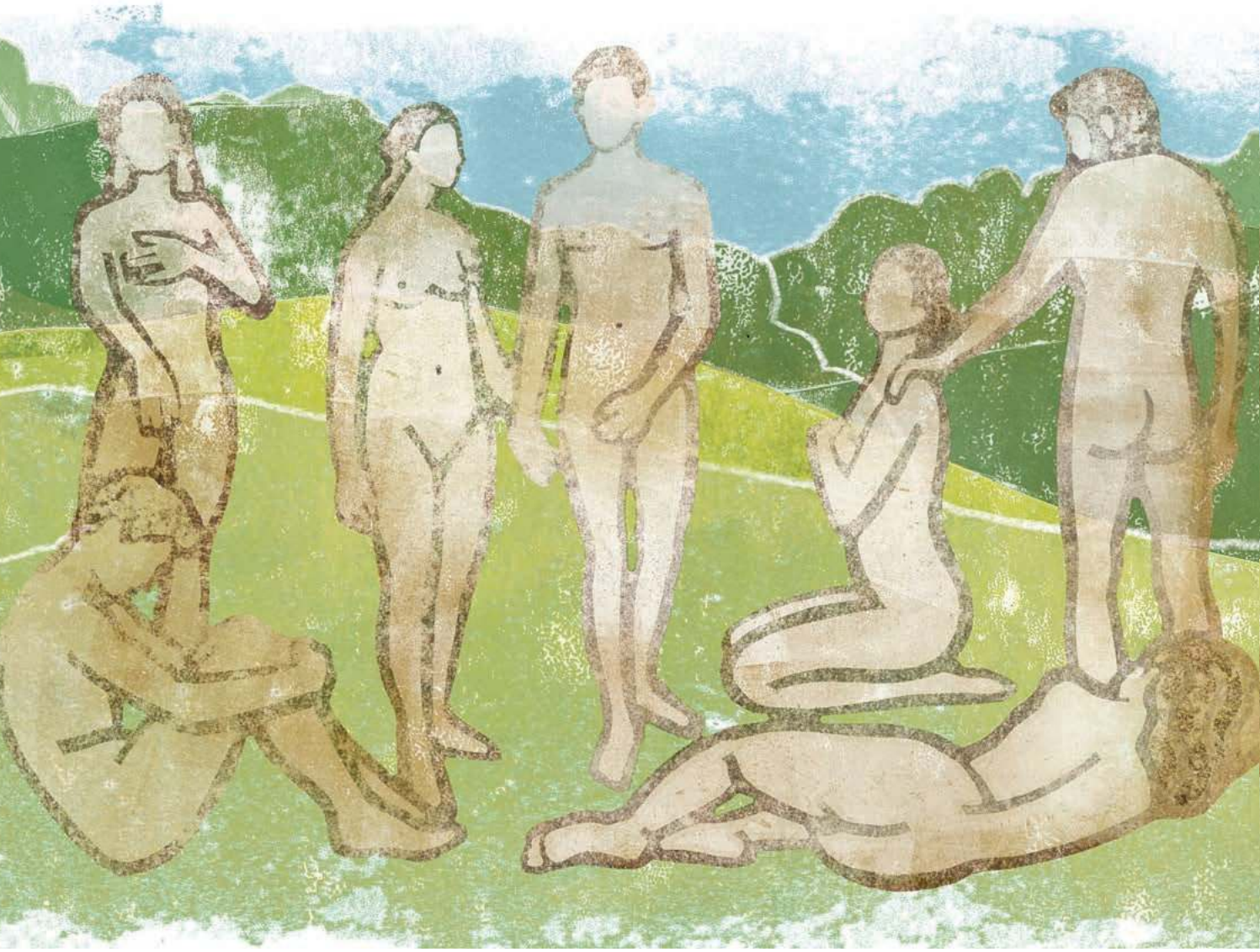

eprasa.pl eebb42529e

Pierwsze drzwi

KATARZYNA WASIAK

Moje ciało zna dotyk funkcjonalny: pomoc, rehabilitację, poprawienie pozycji. Dotyk intymny, związany z czułością, to zakazane doświadczenie.

GRZECH | Wystarczy wpisać w telefon: „Czy masturbacja jest grzechem?". Odpowiedź pojawia się szybko. Katolicka norma nazywa czyn. Potem ekran gaśnie, a przy żywej osobie zostają ciało z czterokończynowym MPD, zależność od pomocy innych, samotność, napięcie, pragnienie bliskości i... relacja z Bogiem. Tu zaczyna się moje pytanie.

Można znać normę, rozumieć doktrynę, powtórzyć katechizmowe zdanie, a jednak zgubić osobę, która przychodzi z żywym sumieniem. Gdy pytam, czy masturbacja jest grzechem, szukam drogi prowadzącej dalej niż sama kwalifikacja czynu. Chcę przełożyć język wiary na własne życie tak, aby moja relacja z Bogiem stała się głębsza, a sumienie bardziej dojrzałe.

Katolicki sposób wiary mówi o seksualności przez miłość, dar, jedność i otwarcie na życie. To spójna wizja ciała i relacji. Masturbację ocenia jako czyn oderwany od pełnego sensu seksualności. Ten punkt ma znaczenie i warto nazwać go uczciwie. Norma otwiera jednak dopiero pierwsze drzwi. Za nimi czeka rozmowa o okolicznościach, odpowiedzialności, wolności, pragnieniu i sposobie przeżywania własnego ciała.

Franciszek w „Amoris laetitia" przypomina, że rozeznanie obejmuje konkretne życie osoby, jej możliwości, odpowiedzialność i drogę wzrostu. Tu czuję największą lukę. Wiele osób potrafi podać normę. Ja potrzebuję kogoś, kto przeprowadzi mnie przez sumienie, ciało, samotność, napięcie, odpowiedzialność i pragnienie Boga jako jedną całość.

DOTYK | Moje ciało przez dużą część życia spotyka dotyk funkcjonalny: pomoc, rehabilitacja, poprawienie pozycji, organizacja codzienności. Dotyk związany z czułością, pożądaniem i wyborem należy do rzadkiego doświadczenia. Niepełnosprawność wpływa także na prywatność i swobodę decydowania o własnym ciele. To właśnie dlatego krótkie pytanie o czyn niesie ze sobą opowieść o samotności, zależności, napięciu i dorosłości.

Dojrzałe rozeznanie powinno utrzymać oba fakty równocześnie: nauczanie Kościoła oraz warunki życia, w których pragnienie powstaje i domaga się odpowiedzialnej odpowiedzi. Wtedy norma staje się narzędziem wzrostu zamiast końcowego werdyktu.

Duchowe towarzyszenie mogłoby zaczynać się od pytań: co czujesz? Gdzie jest samotność? Gdzie napięcie? Gdzie pragnienie bliskości? Ile masz wolności? Czy pojawia się krzywda? Co prowadzi ku miłości i odpowiedzialności?

Ksiądz, wspólnota albo bliska osoba, którzy pytają w ten sposób, pomagają sumieniu dojrzewać. Sama kwalifikacja czynu porządkuje opis; rozmowa pokazuje drogę.

RELIGIE | Inne tradycje podpowiadają dwa użyteczne kierunki namysłu. Wybrane interpretacje prawa islamskiego łączą dyscyplinę pragnienia z namysłem nad koniecznością i ochroną osoby przed większą szkodą. W wielu nurtach buddyzmu pada pytanie, czy działanie wzmacnia przywiązanie i przymus, czy prowadzi ku większej świadomości oraz wolności.

Psychologia mówi o regulacji napięcia, etyka pyta o krzywdę i odpowiedzialność. Każdy z tych języków oświetla inną część doświadczenia. Wiara może zebrać je w rozmowę o całej osobie.

Znam akceptację częściową. W pracy liczy się tempo. W rodzinie bezpieczeństwo. W pielgrzymce pomoc. Obraz cierpienia przychodzi wspólnocie łatwiej niż prawda o dorosłym ciele. To nie ja boję się relacji. Relacje boją się mnie, ponieważ spotkanie z całą osobą wymaga poznania, a rola opiekuna, organizatora albo moralnego przewodnika to prostszy scenariusz.

WIARA | Pytanie o masturbację staje się więc pytaniem o dojrzałość wiary. Czy wspólnota potrafi mówić o ciele spokojnie i konkretnie? Czy potrafi prowadzić sumienie dalej niż do rubryki? Czy widzi w osobie z niepełnosprawnością dorosłą kobietę, której ciało także pragnie, doświadcza samotności i szuka odpowiedzialnego języka dla bliskości? Odpowiedź pokazuje jakość duchowego towarzyszenia.

Norma może prowadzić, chronić, uczyć i ostrzegać. Spotkanie nadaje jej sens w konkretnym życiu. Świat sprawnie mówi o zdrowiu osoby z niepełnosprawnością, gdy chodzi o rehabilitację, leczenie, pomoc i organizację codzienności. Znacznie słabiej mówi o zdrowiu sumienia, relacji i życia duchowego. Człowiek zdrowieje również wtedy, gdy odzyskuje język własnego ciała, odpowiedzialności, samotności i więzi z Bogiem.

Wiara, która pomaga, formuje sumienie i uczy rozeznania. Wspólnota, która przyjmuje, widzi całą osobę: ciało, pragnienie, granice, historię, wolność i odpowiedzialność. Wtedy pytanie „czy to grzech?" przestaje zamykać rozmowę i staje się jej początkiem.

©

KATARZYNA WASIAK – *absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, autorka tekstów o niepełnosprawności, relacjach, technologii i społecznych kosztach niewidzialności. Jest osobą z czterokończynowym mózgowym porażeniem dziecięcym, porusza się na wózku. Pytania o prywatność, dotyk, seksualność, odpowiedzialność i wiarę wyrastają wprost z jej doświadczenia. Prowadzi profil @Kasianawozku.*



MAGDA WOLNA DLA „TP"

eprasa.pl eebb42529e

Duchowość i masturbacja

PROF. MARIA BEISERT, SEKSUOLOŻKA:

Wiedza o ludzkiej seksualności się zmienia, ale Kościół wciąż tego nie zauważa. Zwłaszcza gdy chodzi o seksualność kobiet.

EDWARD AUGUSTYN: Czytała Pani Profesor tekst Katarzyny Wasiak (opublikowany na poprzedniej stronie)?

MARIA BEISERT: Tak. Słyszę tam wiele pytań, które są zapewne efektem głębokiego dialogu wewnętrznego autorki.

Jednym z nich jest pytanie o katolicką normę moralną, która nie pozwala osobie wierzącej, samotnej, z niepełnosprawnością, kobiecie czy mężczyźnie, zaspokoić swej potrzeby seksualnej. Czy ta potrzeba jest naprawdę tak ważna?

Jeśli uznamy ją jedynie za potrzebę biologiczną, to można powiedzieć, że nie jest. Bo nie zaspokajając jej, można żyć. Ale to bardzo prymitywny sposób myślenia. Wszystko więc zależy od tego, jakie miejsce damy tej potrzebie w naszej hierarchii.

Każdy sam o tym decyduje? Nie ma jednego modelu w obrębie jednej hierarchii wartości?

To jest pytanie, które zawsze zadają mi studenci. Moja odpowiedź brzmi: niby dlaczego mamy uznać, że istnieje tylko jeden model seksualności? Dlaczego mamy wszystkich wpisywać w jeden schemat?

Kościół katolicki chyba nie uznaje potrzeby seksualnej za aż tak ważną, skoro uważa, że zaspokajać ją mogą tylko niektórzy i tylko w niektórych sytuacjach.

Czyli tylko małżonkowie, w dodatku tylko sakramentalni i tylko w ramach stosunku waginalnego, polegającego na wprowadzeniu penisa do pochwy i złożeniu tam nasienia. Proszę zwrócić uwagę, jak wąski jest to model. A traktowany jest jako jedyny i uniwersalny. Tymczasem pozbawia wiele osób prawa do zaspokojenia ważnej potrzeby według własnych pragnień, co może prowadzić do poważnego dyskomfortu.



MAGDA WOLNA DLA „TP"

Czy komfort i przyjemność są wystarczającym kryterium?

Dążenie do przyjemności jest cechą biologiczną. Człowiek właśnie tak jest neurologicznie zaprogramowany.

Kościół tego nie kwestionuje. Przypomina jednak o innych aspektach seksualności. Jak budowa trwałej relacji z drugim człowiekiem i jak prokreacja, z którą wiąże się odpowiedzialność. Zatem nie wyklucza przyjemności, tylko ogranicza ją do bardzo konkretnych sytuacji. Poddaje ją normom. Czy to coś złego?

Tyle że formułuje normę w taki sposób, że nie mieści się w niej znaczna część społeczeństwa, o czym przed chwilą mówiliśmy. Myślę, że Kościół katolicki powinien wreszcie zauważyć, jak bardzo zmieniło się rozumienie ludzkiej seksualności w ostatnich dekadach. Że jej zaspokojenie realizuje różne potrzeby człowieka, w tym psychiczne, emocjonalne i duchowe.

Duchowe? Jakie?

W czasie aktu seksualnego dochodzi do pewnego rodzaju transgresji: do wyjścia poza swoje granice i poza własne ciało. Do zacieśnienia relacji, spójności, która jest czymś więcej niż zespoleniem ciał.

To raczej nie dotyczy masturbacji.

Każda realizacja potrzeby seksualnej ma służyć integracji człowieka. Ja tę integrację rozpatruję na trzech poziomach. Pierwszy to zdrowie – ujęte holistycznie. Doznanie seksualne ma służyć naszemu zdrowiu psychicznemu i fizycznemu. Orgazm jest symptomem zdrowia, wręcz jego synonimem.

Drugi poziom to integracja pary. Doznanie seksualne powinno służy relacji dwóch osób. Każde doznanie. Także to indywidualne, jeśli dwie osoby dokonują właśnie takiego wyboru.

A trzeci poziom to integracja duchowa. Jako seksuolog pracuję też z pacjentami wierzącymi, dla których to ważny aspekt. Dokonują wyboru takiej czy innej aktywności seksualnej, zadając sobie pytanie, czy i na ile mają do tego prawo. Podejmują decyzję i stoją z nią w obliczu Boga.

Pod koniec lat 70. ks. Anthony Kosnik, amerykański teolog, opublikował raport na temat katolickiego nauczania o seksualności. Jak wiadomo, dla Kościoła podstawowym kryterium oceny moralnej aktu seksualnego jest poszanowanie jego celu naturalnego. Kosnik postulował, by za ten cel uznać nie prokreację, ale właśnie integrację – czy to pary, czy pojedynczej osoby.

O, to ciekawe. I jak to się dla niego skończyło?

Oskarżono go o etyczny intuicjonizm i zabroniono wykładów na kościelnej uczelni. Czyli zamknięto dyskusję administracyjnie, a nie na poziomie argumentów. Bo zgodnie z nauczaniem Kościoła człowiek nie może sam decydować, co dobre, a co złe.

A ja pamiętam z katechizmu, że Bóg nas stworzył na swoje podobieństwo. Dlatego człowiek dokonuje wyborów. Waży racje i podejmuje decyzję. I nie zawsze jest to wybór między dobrem i złem. Często

eprasa.pl eebb42529e

między dwoma dobrami. Między dwoma potrzebami, których nie da się zaspokoić jednocześnie.

Masturbacja jest dobrem?

A to zależy. Może człowiekowi służyć, być wartościowa. Może też mieć – choć raczej rzadko – konsekwencje negatywne. Dlatego podejmując taką aktywność seksualną, trzeba mieć świadomość jej kosztów.

Moralnych czy zdrowotnych?

John Bancroft, dziś chyba najsłynniejszy seksuolog, nazwał masturbację prekursorem zdrowia. Bo dostarcza człowiekowi ważnych doświadczeń seksualnych, zapewnia orientację, co lubimy, a czego nie lubimy, co nam sprawia przyjemność, a co ból. Jest więc pozytywną i prozdrowotną formą zachowań.

Bancroft badał masturbację u dzieci. A więc zajmował się jej formą rozwojową. Ja pytam, czy jest dobra i zdrowa dla ludzi dorosłych.

Jest jedną z form aktywności seksualnej w każdym wieku, od okresu dzieciństwa aż po późną starość. I jak każda forma, w tym również stosunek waginalny, może mieć pozytywne lub negatywne skutki.

Jakie?

Na przykład może sprowadzać się do praktyk, które uszkadzają ciało. Obserwujemy to już u bardzo małych dzieci, nieświadomych tego, czym masturbacja może się skończyć. Tak samo u nastolatków, którzy miewają naprawdę bardzo różne pomysły. Ale problem dotyczy wszystkich grup wiekowych, także osób dorosłych czy starszych, dla których masturbacja jest niemal podstawową formą zaspokajania popędu.

Mówimy o rzeczach oczywistych, jak uszkodzenia ciała. Ale czy masturbacja ma też negatywny wpływ na psychikę? Środowiska katolickie chętnie powołują się na naukowy artykuł Paula Vitza i Williama Williamsa przekonujący, że masturbacja niszczy relacje, a nawet prowadzi do depresji.

Nie znam tego artykułu, więc nie chcę się wypowiadać na jego temat. Ale oczywiście, mówiąc o negatywnych dla zdrowia skutkach masturbacji, mam na myśli także zdrowie psychiczne. A więc np. sytuację, gdy masturbacja staje się mechanizmem uzależniającym, opartym na przymusie, utracie kontroli.



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. MARIA BEISERT jest psycholożką, seksuolożką, prawniczką, prezeską Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Kieruje Zakładem Seksuologii Społecznej i Klinicznej na Wydziale Psychologii i Kognitywistyki UAM w Poznaniu. Prowadzi szkolenia z zakresu przeciwdziałania przestępstwom seksualnym dla wychowawców seminariów diecezjalnych i zakonnych.

Bardzo niedobrym pomysłem jest tworzenie normy, która wszystkie akty poza jednym traktuje jak patologię.

Może też stać się mechanizmem wychodzącym znacznie poza sferę seksualną, na przykład stać się jedynym sposobem radzenia sobie ze stresem, gdzie celem nie są przyjemność seksualna i zaspokojenie seksualne, ale walka z lękiem i napięciem. To tak, jak z nikotyną u palacza. Kiedy nie chodzi o przyjemność seksualną, ale o to, by się lepiej poczuć.

Masturbacja nie jest pójściem na łatwiznę? Kosztem relacji, która jest trudniejsza i bardziej wymagająca?

To prawda, masturbacja jest koncentracją na sobie. Zachodzi więc niebezpieczeństwo takiego zafiksowania się na tej formie, że drugiego człowieka zaczyna się traktować jako przeszkodę w osiąganiu przyjemności. Ale przecież są sytuacje, gdy współżycie z partnerką czy partnerem jest niemożliwe lub utrudnione i trzeba zastąpić je masturbacją.

Na przykład w przypadku osób z niepełnosprawnością. Ale chyba nie tylko. Wspomniała Pani, że dla osób starszych masturbacja staje się podstawową formą zaspokajania seksualnego.

Pokazują to badania przeprowadzone w krajach skandynawskich. Ale mówią też o tym moi starsi pacjenci. Nie tylko ci samotni. Także w parach.

Kościelna norma tego nie przewiduje.

Czytałam kiedyś wypowiedź dr Wandy Półtawskiej, że jeśli człowiek stracił zdolność rozrodczą, to powinien zaprzestać realizować potrzeby seksualne. Tego już w ogóle nie rozumiem. Bo to zawężenie nawet tego, co o przyjemności seksualnej mówi Kościół.

Znałem jednego zakonnika, starszego wiekiem, który żartobliwie wzdychał: „Panie Boże, zabrałeś mi możliwości, zabierz i chęci". Można powiedzieć, że gdyby Bóg myślał tak, jak dr Półtawska, po osiągnięciu pewnego wieku popęd seksualny powinien zanikać.

Nie wiem, co myśli Pan Bóg i czego by chciał. Ale jest w tym żarcie głębsza myśl. To w gruncie rzeczy argument biologiczny, nie teologiczny. Seksualność opiera się na pożądaniu, które rodzi się na poziomie neuroprzekaźników hormonalnych. W programie każdego człowieka, także starszego, to pożądanie zostało jednak uwzględnione.

A czy to prawda, że kobiety inaczej traktują masturbację niż mężczyźni? Że kobieca nie szkodzi relacjom, tylko je dopełnia, a mężczyznom zastępuje je i kompensuje ich brak?

Tak bym nie powiedziała. Myślę, że to zależy od tego, w jakich relacjach są partnerzy. Czy para zauważa, że masturbacja pełni rolę łączącą, więziotwórczą, czy też nie. Dla jednych to będzie jak zdrada, dla innych – forma dania sobie ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ czegoś więcej. Choć oczywiście na poziomie biologicznym są różnice pomiędzy męską i kobiecą masturbacją. Bo orgazm kobiety jest inny, bardziej różnorodny i bogaty w formie.

Kościół często używa sformułowania, że dany akt seksualny jest wewnętrznie nieuporządkowany. Tak mówi o stosunkach homoseksualnych, ale też o masturbacji.

Myślę, że dobrze byłoby rozpatrywać to nieuporządkowanie nie w kategoriach tego, czy penis został wprowadzony do pochwy i doszło do wytrysku tam, a nie gdzie indziej, bo inaczej to grzech. Moim zdaniem nieuporządkowanie jest wtedy, gdy akt seksualny, w tym masturbacja, szkodzi zdrowiu lub integracji człowieka.

Może właśnie po to tworzy się normy? By zapobiec szkodom i patologiom?

Tyle że bardzo niedobrym pomysłem jest tworzenie normy, która wszystkie akty poza jednym traktuje jak patologię.

A czy nauczanie o grzechu ciężkim, winie i wstydzie, jaki należy odczuwać po przekroczeniu normy, może człowieka uchronić przed popełnianiem złych czynów? Czy raczej jest powodem skrupułów i szkodzi terapii?

Na pewno napędza patologię. Dylemat między normą kościelną a własnymi pragnieniami sprawia, że człowiek żyje w ciągłym poczuciu winy, w przekonaniu o swojej grzeszności. Odchodzi od konfesjonału z postanowieniem poprawy. Przysięga, że już więcej nie będzie się masturbował. Wiele osób traktuje te postanowienia bardzo poważnie. A po kilku dniach lub tygodniach pożądanie daje o sobie znać. Pojawia się dylemat, czy być wiernym postanowieniu, czy naturalnemu pragnieniu. Które dobro poświęcić dla drugiego? Pojawia się konflikt wewnętrzny, frustracja, czasem nawet depresja.

Pacjenci zwierzają się czasem, co spowiednicy mówią im w takich sytuacjach?

Na przykład radzą, by liczyć dni, które udało się przeżyć bez masturbacji. Prowadzić kalendarz wpadek. Penitenci żyją w ciągłym poczuciu winy, biegną do konfesjonału za każdym razem, gdy się nie uda.

A co powie im seksuolog?

Pozostawi decyzję pacjentowi. My możemy z nim jedynie porozmawiać o korzyściach i dylematach, nie narzucając swojego punktu widzenia. Dyskutujemy o tym, które wartości są dla pacjenta w danym czasie ważniejsze.

Dużo ma Pani takich pacjentów ze skrupułami?

Na szczęście coraz mniej. Tendencja spadkowa jest wyraźna. Badania profesora Izdebskiego pokazują, że masturbacja staje się akceptowalnym i wykorzystywanym w sposób pozytywny elementem seksualności człowieka.

Ale opowiem o innym zjawisku, w gabinetach coraz częstszym. Gdy jedna osoba w związku zasłania się wiarą. Mówi: Kościół mi nie pozwala i koniec. Gdy wiara jest wykorzystywana, by nie rozmawiać o własnych problemach z seksualnością ani o potrzebach partnerki czy partnera.

Jakie jest wtedy rozwiązanie?

Można jedynie zapytać, czy ta osoba nie chciałaby wziąć pod uwagę potrzeb partnera. Czy nie chciałaby pójść za inną wskazówką Kościoła, że ważna jest integracja na poziomie pary. I że decyzja o akcie seksualnym nie powinna być podejmowana wyłącznie przez jedną osobę w związku.

Co poradziłaby Pani autorce tekstu, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę?

By porozmawiała z kompetentną osobą.

Duszpasterzem?

Raczej z kimś, kto ma wykształcenie seksuologiczne, a nie tylko teologiczne. Niestety, w dyskusji w ramach Kościoła katolickiego jest wiele osób, które nazywają się seksuologami, ale nimi nie są. Więc słyszymy różne stwierdzenia, które nie mają poparcia naukowego.

Ale autorka niewątpliwie pyta też o normę kościelną.

Być może potrzebuje też innego dialogu, teologicznego. Ale takiego, który wychodzi poza kazuistyczne ujęcie

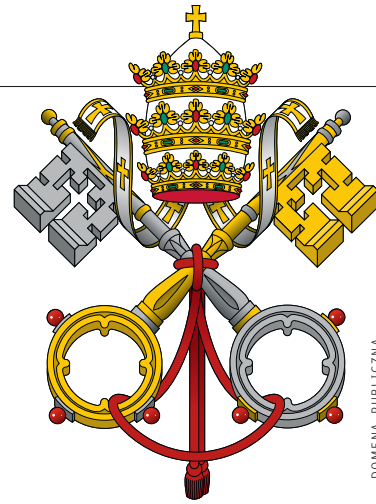

DOMENA PUBLICZNA

Kościół o masturbacji

PODSTAWOWYM DOKUMENTEM magisterium Kościoła uznającym masturbację za „akt wewnętrznie i ciężko nieuporządkowany" jest deklaracja Kongregacji Nauki Wiary „Persona humana" z 1975 r. Na niej opiera się – cytując duże fragmenty – późniejsza norma z Katechizmu Kościoła Katolickiego (1992 r.).

WATYKAŃSKA DEKLARACJA stwierdza jednoznacznie, że świadome i dobrowolne użycie „władz seksualnych" poza małżeństwem „w sposób istotny sprzeciwia się ich celowości", którą „urzeczywistnia" wzajemne oddanie małżonków i przekazywanie życia.

DOKUMENT ZAUWAŻA też, że „częstotliwość tego wypaczenia" nie czyni go moralnie obojętnym. Odnosząc się do tez psychologii, stwierdza, że „niedojrzałość wieku młodzieńczego – niekiedy przeciągająca się poza ten wiek – lub brak równowagi psychicznej, lub też nabyte przyzwyczajenie" mogą zmniejszać „dobrowolność czynów" i sprawić, że „subiektywnie nie zawsze zaciąga się ciężką winę". Jednak co do zasady „nie można domniemywać braku poważnej odpowiedzialności", bo to oznaczałoby uznanie, że człowiek nie jest w stanie „działać w sposób moralny".

(Por. Kongregacja Nauki Wiary, deklaracja „Persona humana", nr 9, oraz Katechizm Kościoła Katolickiego, nr 2352)

eprasa.pl eebb42529e

normy – to wolno, a tego nie. Sposoby określania normy i patologii zmieniają się wraz z rozwojem wiedzy.

Od wieków te normy moralne i prawne w Kościele ustanawiają mężczyźni, w dodatku celibatariusze, dla których seks jest przede wszystkim synonimem pokusy i grzechu. To chyba też ma znaczenie?

Znane są badania zespołu naukowców pod kierunkiem Bette Bottoms pokazujące, że płeć jest ważnym czynnikiem w ocenie zjawisk seksualnych. Na przykład w procesach o wykorzystanie seksualne mężczyźni okazywali mniej empatii ofiarom, rzadziej dawali wiarę ich opowieściom i to nawet w sprawach, w których pojawiały się niepodważalne dowody medyczne. Takie wyniki uzyskano również w reprezentatywnej próbie osób, które kandydowały na ławników.

Jest też szereg prac naukowych pokazujących, jak zmieniają się wyniki badań nad seksualnością w zależności od tego, kto zbiera dane – mężczyzna czy kobieta.



MAGDA WOLNA DLA „TP"

O tym, że seksualność kobiet jest inna niż mężczyzn, nauka wie mniej więcej od wieku. Kościół w ogóle tego nie zauważa.

Co w takim razie poradziłaby Pani Kościołowi, jeśli chodzi o podejście do seksualności?

Powiedziałabym, że wiedza o zdrowiu seksualnym człowieka bardzo się zmieniła. I że Kościół nie może być na te zmiany ślepy.

Weźmy choćby seksualność kobiet, która w nauce została dostrzeżona mniej więcej wiek temu. Badania pokazują, że to całkiem inny typ seksualności niż u mężczyzn. Kościół tego w ogóle nie zauważa. Więc jak tak dalej pójdzie, kobiety straci. I nie tylko z powodu lansowania ich niewłaściwego obrazu seksualnego. Straci je jako osoby autonomiczne, zdolne do samodzielnego wyznaczania sobie celów. Które nie chcą, by za nie decydować, i nie zgadzają się na jedynie służebne role – a tylko takie są im przez Kościół przypisane.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

REKLAMA



eprasa.pl eebb42529e

Wiara i znaki zapytania

KS. JACEK PRUSAK SJ

LEKTURY | „Modlitwa zmęczonych Kościołem” to otwarta dyskusja o buncie, gniewie i wulgaryzmach, do których mamy prawo – także w rozmowie z Bogiem.

To druga z ostatnio wydanych książkowa rozmowa z karmelitą bosym i cenionym rekolekcjonistą o. Mateuszem Filipowskim (o pierwszej – „Tkanie. Modlitwa i kontemplacyjny lifestyle” – pisałem w „TP” nr 26/2026). Tym razem pytania zadaje Marcin Jakimowicz, dziennikarz, ewangelizator, prawnik. Nowa książka jest „pogłębieniem pewnych tematów duchowych, których nie udało się rozwinąć w »Tkaniu«, (...) Chodzi o nasze zmagania z Kościołem, w którym żyjemy, trwamy, poszukujemy. O życie duchowe, które wydarza się właśnie wewnątrz życia Kościoła” – mówi Filipowski. Stąd pytania, czy można kochać Kościół, jeśli doświadczyło się w nim zranienia? Jak zachować wiarę, gdy kończą się łatwe odpowiedzi, a wspólnota staje się miejscem zgorszenia? A może właśnie wtedy, gdy wszystko się rozpada, Bóg jest najbliżej?

ZMĘCZENIE | W przedmowie do książki abp Adrian Galbas pisze, że „to rozmowa o wierze w Kościół, którym obaj Rozmówcy bywają nieraz zmęczeni, a nawet wyczerpani”. Ich pytania i odpowiedzi „są czasem dość gorzkie, może nawet i smutne, a jednocześnie niepozbawione nadziei. Jest to przecież wciąż »ich« Kościół, który kochają i który – czego są pewni – daje im życiową orientację, duchowe pożywienie i bezpieczne schronienie”.

O tym, że nie jest to zadomowienie udawane, świadczą już pierwsze słowa książki. Jakimowicz pyta: „Karmelitom też zdarza się wykrzyczeć w Niebo słowa, po których, spłoszeni, zatykają dłonią usta?”. I słyszy w odpowiedzi: „Czy wszystkim karmelitom? Nie wiem. Wiem, że mnie – karmelicie – wielokrotnie zdarzały się modlitwy, gdy krzyczałem wniebogłosy. Ostatnio nawet znalazłem karteczkę z modlitwą, którą napisałem w trudnym dla mnie momencie. Przez bardzo długi czas powtarzałem jak mantrę słowa: »Odpowiedz miłością, bo mnie, kurwa stracisz... Odpowiedz!«. Chociaż nie zawsze tak było...”. „Nie uczono nas tego na religii” – komentuje Jakimowicz. „Nie uczono. Wpajano nam raczej zachowanie nieskazitelnego pierwszokomunijnego garniturku lub sukienki. Zostaliśmy w nie wciśnięci i przykazano nam wtedy: »Tak masz się zachowywać przed Panem Bogiem!«. Sporo czasu potrzebowałem, aby odblokować całe moje odczuwanie, afektywność, i w końcu dojść do etapu, kiedy wiem, że emocje, stany psychiczne nie są moralnie ani dobre, ani złe (...). A potem potrzebowałem czasu, by zobaczyć, że skoro we mnie to wszystko jest, to ma prawo również być przed Panem Bogiem”.



Mateusz Filipowski OCD, Marcin Jakimowicz, **MODLITWA ZMĘCZONYCH KOŚCIOŁEM. O BUNCIE, GNIEWIE I ZAUFANIU**, *WAM, Kraków 2026.*

LAMENT | Szczerość tego wyznania sygnalizuje atmosferę całej rozmowy o bolesnych doświadczeniach w Kościele. Obaj rozmówcy znają go dobrze od środka, a ich perspektywy się dopełniają, także pokoleniowo. Nie oferują jednak prostych odpowiedzi, nie powielają apologetycznych sloganów, uczciwie mówiąc, co ich spotkało, i jak sobie z tym radzą. Wielką wartością tej książki, w kontekście zmęczenia Kościołem i towarzyszących temu emocjom, jest przywracanie katolikom prawa do lamentu.

Wulgaryzmem wplecionym w słowa modlitwy zgorszy się tylko ten, kto lamentu nie uznaje za modlitwę. Wilfrid J. Harrington, dominikanin i egzegeta, zauważył kiedyś, że „w modlitwie często okazujemy zahamowanie i formalizm. Wyobrażamy sobie, że istnieje jakaś właściwa forma zwracania się do Boga, że z boskością licuje dworny, wyszukany język” („Duchowość biblijna. Jak wzrastać duchowo dzięki Biblii”, PAX, 2018). Tymczasem to „krzyk jest modlitwą czasu udręki” – mówi Filipowski, wskazując bolesne doświadczenia ze swego życia. On także z lamentu uczynił swoją własną, życiową modlitwę.

CIERPIENIE | Książka ma terapeutyczny wymiar, nie tylko dlatego, że obaj rozmówcy odnoszą się do swoich doświadczeń z psychoterapii, a w obszar swojej wiary i duchowości włączają cielesność i afektywność. Idą głębiej, pokazując, że nie zawsze trzeba cierpienie „znosić po chrześcijańsku”, „ofiarowując” je Bogu. Że wyrażanie bólu jest nieodłącznym elementem ludzkiego życia – a więc i modlitwy ucznia Jezusa, który sam również lamentował (por. Mk 15, 34). Bo jaka jest alternatywa? „Spotkało cię cierpienie? Widocznie za mało uwielbiałeś, za słabo się modliłeś – słyszymy niestety takie hasła płynące z ambony” – retorycznie wrzuca do rozmowy Jakimowicz. Ojciec Mateusz dopowiada: „Byłem kiedyś świadkiem kazania w ośrodku Bractwa Piusa X; powiedziano tam, że gdy dziecko choruje na raka i matka płacze nad tym maluchem, to widocznie ma małą wiarę, bo gdyby miała większą, to stałaby nieporuszenie jak Matka Boża pod krzyżem. Dramat...”.

BLISKOŚĆ | Nie wiem, czy ojca Filipowskiego można już nazwać polskim Mertonem, ani czy sam na takie porównanie by się zgodził. Do mówienia o Bogu i Kościele tu, nad Wisłą, wnosi jednak jakąś świeżość, odkrywając przed nami swoje

eprasa.pl eebb42529e

człowieczeństwo i duszę. To nowa jakość w przypadku duchownego i zakonnika. Podejmuje próbę „sprowadzenia Boga do nas”: „Nasz Bóg jest Emmanuelem, to znaczy Bogiem z nami (...) a my co robimy? Najpierw sadzamy Go na katapulcie i wywalamy w kosmos, a potem konstruujemy skomplikowane mechanizmy, które pozwalają... dosięgnąć Go i spotkać się z Nim. To absurdalne, bo On po to właśnie stał się człowiekiem, by być blisko nas”.

Świadcząc o czułości Boga, nie czyni z Niego „pluszowego przyjaciela”. Co ważne w kontekście polskiej katechezy o surowym Bogu oraz oporów wobec nauczania papieża Franciszka o czułości Boga. Pogłębia też rozumienie „wzajemnej bliskości” w modlitwie. A parafrazując znaną modlitwę kard. Newmana, podkreśla, że „są takie lęki i wątpliwości, których nie trzeba ani oswajać, ani rozbrajać, ani nawet pocieszać. Można pozwolić im zwyczajnie być i zgodzić się na to, że są częścią drogi przez noc. Drogi ze światłem na jeden krok”.

PYTANIA | Książka nie kończy się żadnym manifestem na temat reformy Kościoła czy katalogiem rad, jak uchronić się przed zmęczeniem tą instytucją. Jest świadectwem, że „człowiek, który dojrzewa, używa znaków zapytania, natomiast fundamentaliści stosują wykrzykniki” – jak mawia Amos Oz. W dojrzałej wierze musi być zawsze miejsce na tajemnicę oraz zgoda na niewiedzę. Bo w naszym życiu chodzi o to, „żeby wiarą nie tyle dzielić ludzi, co dzielić się z nią ludźmi” – mówią rozmówcy, dowodząc jednocześnie, że im się to udało.

Na koniec – mała teologiczna korekta. Podzielam zachwyt Jakimowicza i Filipowskiego nad tajemnicą Wcielenia. Jednak gdy w rozmowie padają słowa „my, chrześcijanie jako jedyni we wszechświecie wierzymy w zmartwychwstanie ciała”, muszę po bratersku zaprotestować. W zmartwychwstanie ciała, różnie rozumiejąc jego czas, miejsce i postać, wierzą także inni przedstawiciele religii Abrahamowych oraz zoroastrianie. Choć wiem, że nie to jest głównym przedmiotem rozmowy w „Modlitwie zmęczonych Kościołem”. ©



GIUSEPPE FAMA / PACIFIC PRESS / GETTY IMAGES

Wieniec od lóż masońskich i organizacji wolnomyślicieli pod pomnikiem Giordana Bruno na Campo de'Fiori w Rzymie, 2020 r.

Biskupia kanonada

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM

OBYCZAJE | Instrukcja włoskiego biskupa, odmawiająca pogrzebów kilku grupom osób, jest metaforą poważnej choroby współczesnego katolicyzmu, który stracił już żywych, więc strzela kanonami w zmarłych.

Włoska diecezja Ventimiglia-San Remo opublikowała właśnie *Vademecum* prawno-duszpasterskie na temat pogrzebów kościelnych. Czytam je ze zdumieniem. Nie tylko jako kapłan i liturgista. Na dokument, podpisany 15 sierpnia przez bp. Antonia Suettę, nie potrafię spojrzeć bez emocji ani potraktować go jak jednej z wielu kościelnych instrukcji, pochodzącej z miejsca odległego i obcego. W San Remo spędziłem pierwsze cztery lata mojego kapłaństwa – trafiłem tam do pracy jako neoprezbiter w 1997 r. Tam uczyłem się kapłaństwa nie z książek, ale pośród konkretnych ludzi.

PORZĄDKI | Bezpośrednim impulsem do powstania *Vademecum* była konkretna, głośna medialnie sytuacja: na początku sierpnia bp Suetta wstrzymał pogrzeb 73-letniego Mario Tarducciego, byłego mistrza loży masońskiej. Właśnie wtedy diecezja zapowiedziała przygotowanie szczegółowych wytycznych.

Trzeba być uczciwym wobec bp. Suetty. Wiele rzeczy zawartych w jego dokumencie jest słusznych. Pogrzeb chrześcijański nie jest akademią ku czci zmarłego, koncertem jego ulubionych przebojów ani pokazem fotografii. Jest liturgią Kościoła, modlitwą za zmarłego i wyznaniem wiary w zmartwychwstanie. I właśnie dlatego dokument z Ventimiglia-San Remo zrobił na mnie tak wielkie wrażenie.

Vademecum przywołuje więc Kodeks Prawa Kanonicznego, który nie tylko mówi o niezgodności masonerii z katolicyzmem, ale także, że należy odmówić kościelnych egzekwii notorycznym apostatom, heretykom i schizmatykom, osobom wybierającym kremację z powodów przeciwnych wierze oraz ↦

eprasa.pl eebb42529e

↦ innym jawnym grzesznikom, których pogrzeb powodowałby publiczne zgorszenie – jeżeli przed śmiercią nie dali znaku pokuty (kan. 1184).

Nie jest to zatem wymysł biskupa, ale kościelne prawo. Zaczynam się tylko zastanawiać, czy to naprawdę najpilniejszy dziś problem Kościoła powszechnego, a nawet tylko Kościoła zachodniej Ligurii, że trzeba o nim przypominać w nowych instrukcjach. Zwłaszcza gdy te szybko przechodzą od zasad ogólnych do listy osób zaliczanych do ostatniej z wymienionych kategorii – jawnych grzeszników.

Biskup zalicza do nich nie tylko osoby ekskomunikowane czy objęte interdyktem, ale też członków „antychrzescijańskich partii politycznych", a także tych, którzy są w „nieuregulowanych sytuacjach małżeńskich".

SEKULARYZACJA | Szczególnie urzekło mnie sformułowanie o świadomej przynależności do „partii antychrześcijańskich". Biedny Peppone z pamiętnego filmu „Don Camillo" nie miałby dziś łatwo.

Można żartować, ale problem jest całkiem poważny. Bo które współczesne partie polityczne należy uznać za antychrześcijańskie? Kto ma sporządzić ich wykaz? Czy postulaty aborcyjne nadają im automatycznie antychrześcijański charakter? I czy naprawdę legitymacja partyjna wystarczy, by po śmierci znaleźć się po właściwej – lub nie – stronie zakrystii?

Liguria nie jest Podkarpaciem przeniesionym nad włoskie morze. To od dawna jeden z najbardziej zsekularyzowanych regionów kraju. Według najnowszych danych włoskiego urzędu statystycznego ISTAT (2026) w praktykach religijnych uczestniczy regularnie 15,9 proc. mieszkańców tego regionu (5 lat temu było ich ok. 19 proc.). To jeden z najniższych wskaźników religijności w całych Włoszech. Jak wspominałem, poznałem rzeczywistość tego regionu – mocno zlaicyzowanego, z dużą obojętnością religijną, a jednocześnie z Kościołem, w którym od dawna silne są nurty i środowiska konserwatywne, wręcz tradycjonalistyczne, przywiązane do formy, dyscypliny i wyrazistej, katolickiej tożsamości.

HIPOKRYZJA | W tym miejscu muszę też dotknąć sprawy delikatnej, dotyczącej co prawda sąsiedniej diecezji Albenga-Imperia, ale to w końcu ten sam liguryjski świat. Chodzi o skandale seksualne części duchowieństwa, opisywane przez media. Nie zamierzam robić z homoseksualności głównej przyczyny kryzysu duchowieństwa. Problemem nie jest orientacja człowieka, ale jego podwójne życie, seksualna niedojrzałość, łamanie celibatu, przestępstwa, a przede wszystkim system kościelny, potrafiący długo tolerować rzeczy, których akceptować nie powinien.

Jeśli w trosce o katolicką tożsamość odmawiamy pogrzebów, to mylimy odnowę Kościoła z porządkowaniem cmentarza.

Prawdziwym skandalem jest też, że jeśli instytucje kościelne potrafią tak precyzyjnie orzekać o „publicznym zgorszeniu" spowodowanym przez świeckiego żyjącego w niesakramentalnym związku, to chciałbym zobaczyć tę samą teologiczną wrażliwość na zgorszenie, jakie powodują księża. Jeżeli wymagamy od umierającego człowieka „znaku skruchy", wymagajmy również znaków nawrócenia od własnej instytucji. Jeżeli mówimy o zgorszeniu wywołanym pogrzebem rozwodnika, bójmy się także zgorszenia wywołanego przez biskupa, który źle dobiera księży. To samo prawo moralne powinno chyba obowiązywać po obu stronach „przedsoborowych" balasek.

KOMPENSACJA | Nie mam problemu z konserwatywnym katolicyzmem. Mam natomiast coraz większy problem z czymś, co nazwałbym konserwatyzmem kompensacyjnym – którym przykrywamy własną bezradność. Gdy zamiast mierzyć się z pytaniem, jak przekazać wiarę dzieciom (i dlaczego już tego nie potrafimy), zaostrzamy przepisy. Gdy zamiast rozmawiać z rozwiedzionymi, sięgamy po kanon. Gdy zamiast szukać nowego sposobu głoszenia Ewangelii, mówimy wciąż to samo, tyle że głośniej. Choć społeczeństwo już dawno przestało tego słuchać i rozumieć. Łatwiej napisać dokument o masonach, niż uczciwie przyjrzeć się własnym zaniedbaniom. Zwłaszcza że w prezbiterium narastają realne problemy. To nie jest obrona Tradycji. To próba odzyskania poczucia kontroli nad światem, nad którym dawno tę kontrolę straciliśmy.

Rozumiem logikę biskupa. Jednak czytając jego nową instrukcję, nie potrafię uciec od wrażenia, że zakazuje pogrzebu ludziom, którym ten obrzęd już dawno przestał być potrzebny. Tak zmarłym, jak i pozostałym przy życiu członkom ich rodzin.

Kościół nie jest dla nich przeciwnikiem, z którym trzeba walczyć. On zwyczajnie przestał ich interesować. Skoro ich dzieci nie chodzą już na mszę, to coraz rzadziej będą szukać księdza, by pochował ich bliskich.

KRYZYS | Na klęskę ewangelizacyjną można reagować w dwojaki sposób. Pytać, dlaczego Ewangelia przestała być dla tylu ludzi Dobrą Nowiną, albo precyzyjnie określać, komu nie wolno urządzić pogrzebu.

Nie twierdzę, że prawo kanoniczne w tej kwestii jest niepotrzebne. Nie zamierzam udawać, że kan. 1184 nie istnieje tylko dlatego, że jego zastosowanie może być bolesne albo niepopularne. Problem leży gdzie indziej: Ewangelia nie została nam powierzona po to, byśmy ustalali, kogo nie wolno pochować.

Jeżeli po dziesięcioleciach sekularyzacji i utraty całych pokoleń jednym z najbardziej widocznych znaków odzyskiwania katolickiej tożsamości ma stać się umiejętność odmówienia pogrzebu masonowi, człowiekowi żyjącemu w nieuregulowanej sytuacji małżeńskiej czy staremu Peppone, to obawiam się, że pomyliliśmy odnowę Kościoła z porządkowaniem cmentarza. Najpierw straciliśmy żywych, a teraz zaczynamy sprawdzać dokumenty umarłym. Możemy mieć przy tym rację kanoniczną, najpiękniejszą liturgię i idealnie wykrochmaloną koronkę na komży. Tylko że któregoś dnia może się okazać, że nie ma już komu tego wszystkiego pokazać.

© O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ

Autor jest franciszkaninem, misjonarzem w boliwijskiej Amazonii (od 2012 r.). Doktor liturgiki. Wykładał na Katolickim Uniwersytecie w Cochabamba w Boliwii.

eprasa.pl eebb42529e

O. WACŁAW

Oszajca:
Prorok i prymas



W czasie epidemii covid-19, w naszym kraju w roku 2021 zmarło 60 185 osób niezaszczepionych oraz 7116 osób zaszczepionych, zaś ryzyko śmierci wśród niezaszczepionych było wielokrotnie wyższe niż u osób zaszczepionych. Z wielu powodów warto dzisiaj sobie przypomnieć, czy staliśmy po stronie szczepionkowców czy antyszczepionkowców. Zwłaszcza że ostatnio nawet minister zdrowia USA Robert F. Kennedy Jr zmienił zdanie i publicznie wzywa rodziców do szczepienia dzieci przeciwko odrze. Tymczasem u nas kłody są rzucane pod ustawę „lex szarlatan". Pytanie o postawę w czasie pandemii powinno dotyczyć zwłaszcza starszych Kościoła, gdyż niejeden z nas zamiast stanąć wtedy po stronie rozumu i wiedzy, stał po stronie zabobonu i leczył chorych święconą wodą, kadzidłem, egzorcyzmami, a nawet Ciałem Chrystusa. Bojąc się tzw. zgorszenia, w rzeczywistości – narażenia się na krytykę. Dzisiaj widać to jasno – zyskaliśmy tylko to, przed czym chcieliśmy uciec.

Bojkotowanie rozumu to szerszy i rzeczywiście groźny problem. Moskiewski patriarcha Cyryl twierdzi, że powstanie w Sarowie Federalnego Centrum Nuklearnego nie było przypadkiem, ale odpowiedzią Boga na modlitwy św. Serafina i całej Cerkwi. Stąd Rosja ma święte prawo użyć broni atomowej w obronie Świętej Rusi, jedynego mocarstwa, które oparło się bezbożnemu i zdemoralizowanemu Zachodowi. Stąd ginący dzisiaj w Ukrainie rosyjscy żołnierze to męczennicy, którzy mają zapewnione odpuszczenie wszystkich grzechów i wieczne zbawienie w niebie. Dla patriarchy Putin jest odnowicielem Świętej Rusi. Bojownikiem walczącym z antychrystem, co zapowiada rychły koniec świata i sąd oraz piekło dla wszystkich wrogów Rosji.

W tej sytuacji dobrze nam zrobi posłuchanie Ezechiela: „Otóż ciebie, synu człowieczy, ustanowiłem stróżem ludu Izraela. Gdy usłyszysz słowo z moich ust, ostrzeżesz ich w moim imieniu (...) aby odwieść bezbożnego od jego postępowania (...) Lecz jeśli (...) on nie zmieni swojego postępowania, to umrze z powodu swojego grzechu, ty jednak ocalisz własne życie". A także prymasa Wojciecha Polaka: „Wszelkie podsycane przejawy wrogości i nienawiści, związane także z bolesnymi ranami naszej wspólnej historii, są nie tylko gorszące, raniące i niegodne, ale zasługują na kategoryczne potępienie". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Duszpasterz niewolnik



„Któż jest tym sługą wiernym i roztropnym, którego pan ustanowił nad swoją służbą, żeby we właściwej porze rozdał jej żywność?" – pytał nas Jezus w czasie Liturgii minionego tygodnia (Mt 24, 45). To pytanie trzeba usłyszeć jako skierowane bezpośrednio do siebie. Bo nie chodzi o odpowiedź teoretyczną, ale o osobistą decyzję. To ja chciałbym w ten sposób postępować! To ja chciałbym poddać własne życie takiej logice i dyscyplinie!

Co to za dyscyplina? Otóż najpierw jest to dyscyplina „daru z siebie" – życia w prawdziwej relacji do innych i dla innych; życia, które nie chce być skupione na sobie i dla siebie. To dyscyplina opisana sławnym napisem wyrytym na portalu Kościoła św. Marcina przy ul. Grodzkiej w Krakowie: *Frustra vivit qui nemini prodest* („Na próżno żyje, kto nikomu nie przynosi pożytku").

Ta relacja opisana jest dwoma słowami: „sługa" i „służba". To drugie (gr. *therapeia*, tzn. domownicy) św. Hieronim oddał łacińskim słowem *familia* (rodzina). Tak więc Pan zaprasza nas do relacji z członkami swojej rodziny – z „domownikami Boga" (por. Ef 2, 19). Możemy (powinniśmy?) odczytywać to jako niezwykły zaszczyt dla nas – że Pan powierza nam swoją rodzinę. Co za wyróżnienie! I co za odpowiedzialność!

A jakie powinno to w nas generować postawy? Wpisane są one w pierwsze ze słów: „sługa". W greckim tekście mamy tutaj o wiele mocniejsze słowo *doulos* (niewolnik). Nie chodzi więc jedynie o jakąś formę „posługi", np. duszpasterskiej, która – jak wiemy – z reguły jest hojnie przez wiernych wynagradzana. Niewolnik za swoją służbę nie ma prawa niczego się spodziewać. Jezus szuka więc ludzi gotowych na krok radykalny – bycie dla innych w absolutnej dyspozycyjności i bezinteresowności.

I jeszcze jeden detal. U Mateusza wyrażenie „we właściwej porze" zawiera słowo *en kairo*, które znaczy tyle co okazja, krótki czas. Chodzi o posługę w tej chwili, teraz, a nie później – jutro czy w nieokreślonej przyszłości. Chodzi o uważność na ten moment, który właśnie nadchodzi i już się dzieje. Przypowieść jest lekcją o uważności na wieczność, oczekiwaniu na ponowne przyjście Pana. Czeka na nie – w nieznanej przyszłości – ten, kto potrafi sensownie się skupić na znanej sobie teraźniejszości. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl eebb42529e

HISTORIA

DZIECI MGŁY NA TROPIE PRZODKÓW

Prawie 90 lat od wybuchu II wojny światowej
Niemcy chętnie szukają informacji
o bliskich, którzy żyli w tamtych czasach.
Ułatwiają to archiwa dostępne w sieci. Co z tego wynika?

PAWEŁ ZARYCHTA

Kilka miesięcy temu uznana niemiecka pisarka Judith Hermann zaprezentowała autobiograficzną powieść „Ich möchte zurückgehen in der Zeit" (Chcę cofnąć się w czasie). Jej bohaterka, *alter ego* autorki, wyrusza w podróż z Niemiec do Radomia, aby poznać i zrozumieć historię swojego dziadka.

Dlaczego akurat do tego miasta? Jedną z nielicznych pamiątek, jakie w rodzinie Judith Hermann (rocznik 1970) zachowały się po tym dziadku, była fotografia młodego mężczyzny na motocyklu i w mundurze Waffen-SS. Na odwrocie krótki wyblakły podpis: „Radom".

Zdjęcie to, wyciągnięte z rodzinnej szuflady, stało się impulsem do dalekiej podróży i postawienia pytań: kim był sfotografowany przodek, jaka była jego rola w zaprowadzaniu systematycznego i brutalnego terroru przez SS, Gestapo oraz niemiecką policję w tym regionie Polski? Czy w sierpniu 1942 r. uczestniczył w likwidacji radomskiego getta? Czy strzelał do polskich cywilów „na Firleju", miejscu masowych kaźni pod Radomiem?

Oraz: czy w ogóle da się, po tylu latach, uzyskać odpowiedzi na te pytania, skoro nie chce ich udzielać autorce-bohaterce (tę zbieżność Hermann potwierdzała w wywiadach) nawet jej matka, która przecież znała swego ojca?

Co czytają wnuki

Książka Judith Hermann wzbudziła spore zainteresowanie mediów jeszcze przed jej premierą i niemal natychmiast trafiła na listę bestsellerów tygodnika „Der Spiegel". Nic dziwnego. Odtwarzanie trudnej rodzinnej przeszłości przez pokolenie wnuków to trwały i popularny motyw w literaturze niemieckojęzycznej ostatniej dekady. Sądząc po listach bestsellerów, książki takie znajdują szerokie grono odbiorców.

Poza powieścią Hermann, jako reprezentatywne przykłady wymienić można tu powieść Géraldine Schwarz „Die Gedächtnislosen" (Ludzie bez pamięci) z 2018 r. Jej bohaterka także podąża śladami dziadka, członka NSDAP, który w 1938 r. przejął żydowską firmę, a po wojnie odmawiał rozliczenia się z jedynym członkiem rodziny jej właścicieli, który ocalał z Holokaustu. Motywem przewodnim powieści jest tu też międzypokoleniowa pamięć (a właściwie niepamięć) o zbrodniach z przeszłości.

W 2018 r. ukazała się jeszcze powieść graficzna Nory Krug „Heimat", ze znamiennym podtytułem „Niemiecki album rodzinny". Z kolei w tych dniach premierę ma powieść Clemensa Böckmanna „Das richtige Leben des Alvaro Maderholz" (Prawdziwe życie Alvara Maderholza). W obu książkach fabuła zasadza się na próbie opowiedzenia losów i rozliczenia dziadków głównych bohaterów z ich uwikłania w system i zbrodnie narodowego socjalizmu. Kolejne przykłady takich książek można mnożyć.

W rodzinnych szufladach

Ten trend, w niemieckiej krytyce nazwany „literaturą wnuków" (*Enkelliteratur*), stał się w ostatnich latach także zapowiedzią szerszego zjawiska, jakim jest dziś wzmożone zainteresowanie Niemców – przede wszystkim tych urodzonych po 1965 r. – niechlubną historią własnych przodków.

W odróżnieniu od pokolenia ich rodziców, które we własnych domach obcowało na co dzień ze sprawcami i świadkami zbrodni III Rzeszy, natrafiając przy tym na zmowę milczenia wokół przeszłości, dziś wnuki i prawnuki próbują coraz częściej otwierać zamknięte na siedem spustów rodzinne szafy i szuflady z pamiątkami. Te, które wskazują na udział dziadów i pradziadów w najstraszniejszych zbrodniach w historii ludzkości.

Coraz częściej stawiane są też pytania, również publicznie, o rzeczywiste, a nie

eprasa.pl eebb42529e

ubrane w legendy losy własnych antenatów. Charakterystycznym doświadczeniem osób, które podejmują takie próby, jest przy tym konfrontowanie się z murem niewiedzy czy niechęci innych członków rodziny, z brakiem rzetelnych informacji lub ich szczątkowym charakterem.

W książce „Nebelkinder" z 2015 r. badacze Michael Schneider i Joachim Süss opisali ten problem „metaforą mgły": współczesnych Niemców, którzy próbują badać wojenne losy swych rodzin, nazwali zaś dziećmi tej mgły (taki jest też tytuł ich pracy).

Szerzej na ten temat pisała u nas m.in. germanistka prof. Monika Wolting. Z kolei w literaturze do pojęcia tego nawiązała pisarka Ulrike Draesner: „Dzieci mgły. Tak nas właśnie nazwano, urodzonych w latach 60. Rodzice, którzy dawali znaki i milkli, którzy sami nie rozumieli siebie inaczej niż jako zjawy, rodzice, którzy wytwarzali mgłę, przez którą jednocześnie cierpieli – robili to, by się chronić" (tłum. M. Wolting).

Dwanaście milionów kart

Jednak konfrontacja z ową mgłą niepamięci i milczenia, próba przebrnięcia przez nią, znalezienia w niej drogowskazów i odpowiedzi – to wszystko jest udziałem nie tylko bohaterów literackich. Przeciwnie. Literatura, a także film (choćby słynna „Strefa interesów" o Rudolfie Hössie, komendancie Auschwitz-Birkenau) okazały się zapowiedzią zjawisk społecznych o wiele szerszych niż te opisywane w wymienionych utworach.

Niemal w tym samym czasie, gdy do księgarń trafiała powieść Judith Hermann, w lutym tego roku, Amerykańskie Archiwum Narodowe (NARA) udostępniło w internecie kartoteki członków NSDAP – łącznie ok. 12 mln zdigitalizowanych kart. W szczytowym okresie do partii nazistowskiej należało ok. 8,5 mln obywateli III Rzeszy (choć są szacunki podające większą liczbę).

Dokumenty udostępnione dziś przez Amerykanów zostały przez nich zabezpieczone pod koniec wojny i były wykorzystywane jako dowody m.in. w procesach denazyfikacyjnych. Z czasem zarchiwizowano je w Berlin Document Center, a w 1994 r., niedługo po zjednoczeniu Niemiec, przekazano do Archiwum Federalnego w Berlinie (Bundesarchiv Berlin-Lichterfelde). Amerykanie zachowali przy tym kopie na mikrofilmach – i to na ich podstawie sporządzono udostępnione właśnie wersje cyfrowe.



LOTHAR RUEBELT / BE&W

Po przyłączeniu Austrii do III Rzeszy entuzjazm udzielił się także zwykłym mieszkańcom Wiednia. Na zdjęciu: podczas przemówienia Adolfa Hitlera na wiedeńskim Placu Bohaterów, 15 marca 1938 r.

Wprawdzie Bundesarchiv od dłuższego czasu pozwalało na wgląd do tej kartoteki, było to jednak obwarowane licznymi ograniczeniami, wynikającymi głównie z ochrony danych osobowych. Jak wynika z informacji tej instytucji, rocznie rozpatrywano ok. 75 tys. wniosków z tego obszaru. ↦

eprasa.pl eebb42529e

Archiwa szeroko dostępne

↦ Amerykańska decyzja, aby to, co trudno osiągalne, stało się dostępne dla każdego, kto ma dostęp do internetu, była dla Niemców swoistą sensacją. W pierwszych dniach ruch na stronie NARA był tak potężny, że skorzystanie z tej bazy danych było niemal niemożliwe.

O powszechnym zainteresowaniu aktami NSDAP świadczą też tworzone naprędce wyszukiwarki, wykorzystujące sztuczną inteligencję i narzędzia do transkrypcji dawnego niemieckiego pisma odręcznego. Takie narzędzia udostępniły swoim czytelnikom m.in. renomowane czasopisma „Der Spiegel" i „Die Zeit". Tak oto technologia pozwoliła uderzyć w mur administracyjnych ograniczeń, a jednocześnie nieco rozwiać mgłę niepamięci.

Komentując to nagłe i masowe zainteresowanie Niemców kartotekami NSDAP, prof. Isabel Heinemann z Instytutu Historii Współczesnej (IfZ) nazwała je, w niedawnym wywiadzie dla telewizji publicznej ZDF, „zbiorowym ruchem poszukiwawczym" (*kollektive Suchbewegung*). Wskazując na pozytywne aspekty tego nowego zjawiska, Heinemann nie kryła jednak sceptycyzmu co do spodziewanych efektów.

Sceptycyzm wynika ze świadomości, że odnalezienie nazwiska przodka w cyfrowej bazie danych to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Samo skonfrontowanie się z suchym faktem przynależności dziadka czy pradziadka do NSDAP nie usuwa bowiem automatycznie potężnych, budowanych przez dekady mechanizmów obronnych. A przede wszystkim nie mówi jeszcze nic o działalności danej osoby w krytycznym okresie, gdy dokonywały się zbrodnie przeciw ludzkości.



THE PRINT COLLECTOR / HERITAGE IMAGES / BE&W

Adolf Hitler i zwykli Niemcy: zdjęcie z albumu pt. „Kampf um's Dritte Reich" („Walka o III Rzeszę"), wydanego w 1933 r. w nakładzie półtora miliona egzemplarzy.

Pamięć połowiczna

Z psychologicznego i społecznego punktu widzenia o wiele łatwiej jest pielęgnować niewiedzę lub co najwyżej poddawać racjonalizacji niewygodne fakty. Legitymacja NSDAP w domowym kręgu szybko zyskuje usprawiedliwienie, które pozwala oswoić się z trudną przeszłością: „Zapisał się, bo musiał", „Zrobił to, by utrzymać posadę", „Nikomu przecież osobiście nie zrobił krzywdy".

Jak pisał Samuel Salzborn: „Każdy wiedział, że liczba sprawców była olbrzymia, ale nikt nie odważył się pomyśleć, że co wieczór siadał z tymi sprawcami do stołu (...); świadomość, że ci kochani ponad wszystko ludzie musieli być mordercami-antysemitami, o których słuchało się w szkole, były tak nieznośne, że decydowano się je wypierać".

To strukturalne pęknięcie – między twardą historią a rodzinnym mitem – doskonale opisali już w 2002 r. Harald Welzer, Karoline Tschuggnall i Sabine Moller w słynnej książce „Opa war kein Nazi" (Dziadek nie był nazistą). Dowodzili, że w Niemczech funkcjonują równolegle dwie odrębne przestrzenie pamięci. Pierwsza to pamięć oficjalna, uświęcona polityką państwa – pełna pomników i słusznego potępienia dla zbrodni III Rzeszy.

Druga to pamięć komunikacyjna, kształtowana w wąskim rodzinnym gronie. Tu przodkowie tracą status sprawców, stając się raz biernymi obserwatorami, a raz ofiarami okoliczności lub wręcz ukrytymi Samarytanami ratującymi prześladowanych. Wspomniany Salzborn nazwał ten fenomen „pamięcią

eprasa.pl eebb42529e

połowiczną", której efektem są poczucie zbiorowej niewinności, reintegracja społeczna sprawców i jednoczesne odwrócenie się zbiorowości od rzeczywistych ofiar.

Geografia wyparcia

Na dowód „z perspektywy żaby", że mechanizm ten działa także i dziś, niech posłuży tu wspomnienie rozmowy, jaką odbyłem z pewną Niemką.

Przez lata wiedziała ona wprawdzie, że dziadek-naukowiec był w NSDAP, a nawet w SA, partyjnych bojówkach. Ale w rodzinie od zawsze obowiązywała narracja, że nic strasznego nie zrobił, musiał za to uciekać przed Armią Czerwoną i trafił do niewoli, z której wrócił straumatyzowany. Żaden więc sprawca, a raczej ofiara wojny. Do zadania krytycznych pytań o rzeczywistą działalność dziadka w latach 1933--1945 skłonił moją rozmówczynię dopiero wspomniany film „Strefa interesów".

Tę strukturalną niechęć do pamiętania, przy jednoczesnym wypieraniu faktów, potwierdzają badania. Fundacja „Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość" (EVZ) prowadzi we współpracy z Uniwersytetem w Bielefeldzie cykliczne i wieloaspektowe badania MEMO na temat kultury pamięci. W kolejnych edycjach pytano np. niemiecką młodzież, czy w swoich przodkach widzi ona sprawców narodowego socjalizmu. W 2018 r. negatywnej odpowiedzi udzieliło 62 proc. respondentów, a w badaniu z 2024 r. odsetek ten wzrósł już do 65 procent.

Warto jednak podkreślić, że jednocześnie wzrósł też odsetek osób wskazujących na sprawstwo przodków: z 9 do 24 procent. Co zaskakujące, aż 54 proc. respondentów uważało, że w ich rodzinach były ofiary nazizmu. Przy czym połowa ankietowanych wskazywała, że ich przodkowie byli żołnierzami Wehrmachtu, a członkami SS lub SA – 22 procent. Natomiast tylko 9 proc. deklarowało, że przodkowie mogli popierać narodowy socjalizm.

Polska w niemieckiej pamięci

Równie zaskakujące były wyniki badania przeprowadzonego w 2024 r. na zlecenie Instytutu Pileckiego przez pracownię Ipsos. Wykazały one dobitnie, że niemiecka pamięć o II wojnie światowej ma potężne luki strukturalne i wysoce selektywny wymiar geograficzny.

Z badania tego wyłania się obraz, w którym Polska – jako miejsce codziennego, masowego i bezwzględnego terroru okupacyjnego – w niemieckiej wyobraźni zbiorowej praktycznie nie istnieje. Pamięć o wojnie „na wschodzie" ogniskuje się dziś w Niemczech niemal wyłącznie wokół dwóch biegunów: Holokaustu (odrealnionego, traktowanego często niemal abstrakcyjnie) oraz mitycznego „frontu wschodniego" w bezkresnej Rosji.

I tak oto, w odpowiedzi na pytanie o kraj pochodzenia ofiar Holokaustu, aż 59 proc. respondentów Ipsos wskazało na Niemcy, 28 proc. na Polskę, a 9 proc. na Związek Sowiecki. Jednocześnie 57 proc. tych osób odpowiedzialnością za Holokaust obarczyło w równym stopniu Niemców, jak też ich kolaborantów w krajach okupowanych. Na samych tylko Niemców jako ponoszących odpowiedzialność wskazał zaledwie co dziesiąty ankietowany.

Niemiecki paradoks

W tym kontekście nie zaskakują odpowiedzi na pytanie, czy Niemcy całkowicie rozliczyły się ze swoją historią II wojny światowej: ponad połowa respondentów Ipsos odpowiedziała twierdząco. Pokrywa się to zresztą z wynikami wspomnianego powyżej badania MEMO.

W komentarzu do tych badań Hanna Radziejowska i Mateusz Fałkowski, pracownicy oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie, wskazują na swoisty paradoks niemieckiej kultury pamięci. Z jednej strony bowiem charakteryzuje ją niechęć do kategorii narodowych (bo rzekomo wzmacniają one „konkurencję ofiar"). Z drugiej jednak strony kategoria narodowa jest umacniana przez samych Niemców – choćby przez pomniki wznoszone różnym grupom niemieckich ofiar nazizmu.

To z kolei „może nasilać skłonność do oceny, że największą ofiarą II wojny światowej byli Niemcy, choć ukryci pod różnymi kategoriami społeczno-demograficznymi" – konkludują Radziejowska i Fałkowski.

Najważniejsze pytanie

Wzmożone dziś zainteresowanie aktami NSDAP – i szerzej: badaniami z zakresu rodzinnej mikrohistorii – powinno więc cieszyć. Ten napędzany cyfryzacją „zbiorowy ruch poszukiwawczy" mógłby przecież stać się wyjątkową szansą na głęboką zmianę niemieckiej świadomości historycznej.

Oddolny zryw nie ogranicza się bowiem wyłącznie do wpisywania nazwisk w narzędzia przeszukujące zasoby amerykańskiego archiwum. W sieci – na forach historycznych i w zamkniętych grupach na Facebooku – powstały dziś prężne społeczności „wnuków i prawnuków", którzy wymieniają się skanami dokumentów i zdjęciami przodków w mundurach, pomagają sobie w transkrypcji dawnego pisma z listów poczty polowej i zapisów archiwalnych, czy wspólnie rekonstruują szlaki bojowe jednostek Wehrmachtu i SS.

Wystarczy jednak uważniej prześledzić wybrane wpisy, by zauważyć, że samo zainteresowanie typem munduru czy rodzajem odznaczenia to o wiele za mało, jeśli temu procesowi nie towarzyszy najważniejsze pytanie. Mianowicie: czy przodek dopuścił się zbrodni, a jeśli tak, to jakich i gdzie? Bez postawienia tego podstawowego pytania daleko jeszcze do przepracowania winy, moralnego i emocjonalnego.

Ucieczka do Neapolu

Tak oto wracamy znów do literatury.

Bohaterka książki Judith Hermann podejmuje wprawdzie wysiłek dowiedzenia się czegoś więcej o dziadku. Dręczy matkę pytaniami (ta zbywa ją niepamięcią) i rusza w podróż do Radomia, przygnębiającego zimową aurą. Tu odwiedza Muzeum Gombrowicza, próbuje dostać się do Archiwum Państwowego (akurat w tym czasie to niemożliwe). O tym, że większość niemieckich akt z tego okresu jest dostępna także online, bohaterka nie wie.

Wyprawa do miasta, w którym dziadek esesman zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie, nie przynosi więc żadnych dodatkowych odpowiedzi. Bohaterce pozostaje pospieszny wyjazd przez Kraków i Wiedeń do Neapolu. Tam, w cieniu Wezuwiusza, może moczyć usta w kieliszku Veuve Clicquot, rozkoszować się carpaccio z tuńczyka i rozprawiać z siostrą o najnowszych znaleziskach w nieodległych Pompejach. I nie mąci już tego *dolce vita* ani wspomnienie ponurego Radomia, ani nawet obraz dziadka „ludożercy".

© PAWEŁ ZARYCHTA

Autor jest germanistą, literaturoznawcą i tłumaczem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl eebb42529e

NAUKA

CYFROWA KOLONIZACJA

Swoimi aplikacjami Big Techy rozwiązują dla nas codzienne problemy. Ale tworzą znacznie głębsze, bo wpływają na funkcjonowanie całych państw i społeczeństw.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



eprasa.pl eebb42529e

Donald Trump postanowił przekonać Amerykanów, że jego polityka wywołała inwestycyjny boom, dzięki któremu odbudowa przemysłu ruszyła z kopyta. Niewielkie Milford na przedmieściach Detroit, dawnej stolicy amerykańskiej motoryzacji, wydawało się do tego idealne. Tyle że gdy 27 lipca prezydent zaczął mówić do zgromadzonego tłumu, grupa demonstrantów z transparentami *„Stop Data Centers"* próbowała go wybuczeć. Zwolennicy Trumpa szybko ich zagłuszyli, ale protest przebił się do prasy i zainteresował ją bardziej niż zapewnienia prezydenta, że Amerykanom nigdy nie żyło się tak dobrze.

Przeciętny obywatel USA z ogłoszonego przez Trumpa boomu widzi głównie wyższe rachunki, a przemysłowy renesans na razie istnieje głównie w przemówieniach prezydenta. Znakomicie radzą sobie za to ci, którzy już wcześniej radzili sobie najlepiej. Fortuny właścicieli platform cyfrowych, modeli AI i centrów danych rosną szybciej niż poczucie dobrobytu reszty kraju. Jeśli więc w USA rzeczywiście trwa boom, to jego skutki widać przede wszystkim na kontach technooligarchów.

Niewielki protest przeciwników budowy wielkich centrów danych w Milford zwrócił uwagę mediów, choć podobne demonstracje odbywają się niemal w całym kraju. Po raz pierwszy jednak sprzeciw wybrzmiał bezpośrednio przy prezydencie. W Kalifornii, Illinois, Indianie, New Jersey, Oklahomie czy Wisconsin policja już wielokrotnie usuwała lub zatrzymywała przeciwników takich inwestycji, nawet podczas publicznych posiedzeń lokalnych władz, czasem zanim jeszcze zdążyli zabrać głos.

Mimo to protestów nie udaje się uciszyć. Co więcej, okazało się, że zamiast polaryzować ludzi, w zaskakujący sposób ich łączą. Jako jedna z niewielu rzeczy w naszych czasach.

Krajobraz rewolucji

Według danych firmy analitycznej Aterio, w USA działa ponad 2 tys. dużych centrów danych, a kolejnych 4,8 tys. powstaje lub jest planowanych. To potężne kompleksy: pojedynczy budynek ma od 9,3 tys. do ponad 93 tys. metrów kwadratowych, a całe kampusy zajmują setki hektarów, zmieniając pejzaż w monotonny ciąg bezokiennych hal. To właśnie takich inwestycji dotyczy boom, o którym mówi Trump (nowy obiekt kosztuje przeciętnie ponad 2 mld dolarów). Tyle że zamiast obiecanych miejsc pracy Amerykanie coraz częściej płacą rachunki za inwestycje Big Techu.

Największe centra, które buduje się głównie po to, by szkolić coraz lepsze systemy sztucznej inteligencji, potrzebują ponad gigawata energii (tylko jedno z nich w Tennessee zużywa 1,8 raza więcej prądu niż cała Warszawa), co oznacza, że wymagają nowych elektrowni, linii przesyłowych i modernizacji sieci. Koszty ich budowy zwykle przerzucane są do rachunków zwykłych odbiorców. Zdarzają się też takie sytuacje jak nad jeziorem Tahoe, gdy 49 tys. mieszkańców dowiedziało się, że musi znaleźć innego dostawcę energii albo obyć się bez prądu, bo ich potrzeby są mniej ważne niż centrum powstającego w Nevadzie.

Jest też problem z wodą, bo średniej wielkości obiekt może zużywać na chłodzenie około 1,4 mln litrów dziennie (część tej wody zostaje odparowana, inna część zanieczyszczona), co szczególnie drażni w stanach dotkniętych suszą. I hałas – pracujących bez przerwy wentylatorów, instalacji chłodniczych i transformatorów oraz uruchamianych okresowo potężnych generatorów dieslowskich. Ludzie mieszkający w pobliżu takich obiektów skarżą się na buczenie, drgania odczuwalne w domach i smród spalin.

W Teksasie republikański gubernator Greg Abbott wstrzymał w sierpniu zatwierdzanie budowy nowych centrów danych do czasu audytu ich ulg podatkowych, struktury własności i zużycia wody. W wywiadzie dla ABC News stwierdził, że branża AI „sama wykopała sobie grób", bo firmy budowały centra danych bez porozumienia z lokalnymi władzami. W Pensylwanii gubernator Josh Shapiro (Demokrata) podpisał rozporządzenie wymagające zgody lokalnej społeczności przed wydaniem pozwolenia na budowę, choć jeszcze niedawno sam zabiegał o takie inwestycje i ściągnął do stanu dziesiątki miliardów dolarów od Amazona, Microsoftu i Google'a.

Nasikajmy na komputery

Alternatywny sposób radzenia sobie z problemem wielkich centrów danych oferuje kampania, która ruszyła w zeszłym miesiącu. „Nasikajmy na komputery i uratujmy ludzkość" – przekonuje w spotach były futbolista i właściciel marki piwa Jason Kelce.

Do śmiechu z pewnością nie jest jednak służbom, które mają dbać o bezpieczeństwo. Magazyn „Wired" dotarł do ponad tysiąca stron dokumentów, z których wynika, że Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, FBI i policja zaczęły posługiwać się nową kategorią „ekstremizmu wymierzonego w technologię". W pozyskanym przez dziennikarzy raporcie Biura Wywiadu i Zwalczania Terroryzmu jego analitycy ostrzegają, że w ciągu pięciu lat wstrząsy związane z upowszechnianiem AI mogą wywoływać masowe protesty, zamieszki i ataki na infrastrukturę technologiczną.

Do takich incydentów już dochodzi. Gdy na początku tego roku aresztowano 20-latka z Teksasu podejrzanego o próbę podpalenia siedziby OpenAI i domu Sama Altmana, policja znalazła przy nim zapalniczkę, kanister z naftą i manifest przeciwko sztucznej inteligencji. W maju dwaj nastolatkowie, którzy przeprowadzili atak na meczet w San Diego, jako motywy przemocy wskazali zalewający internet „chłam AI" oraz związki przedstawicieli władzy (wiceprezydenta J.D. Vance'a) z firmami technologicznymi (Palantir Technologies, założoną przez Petera Thiela). Z kolei radnego miejskiego z Indianapolis obudziły strzały oddane w kierunku jego domu, a później znalazł kartkę z napisem: „Nie dla centrów danych".

To oczywiście ekstremalne przykłady, ale najróżniejsze sondaże pokazują, że rozwój AI na wiele sposobów budzi coraz większe obawy. „Debata już jakiś czas temu przestała się sprowadzać do pytania: czy ChatGPT jest dla mnie użyteczny?" – mówiła w podkaście „Vox The Gray Area" dziennikarka Jasmine Sun zajmująca się branżą technologiczną. Jej zdaniem sprzeciw wobec sztucznej inteligencji coraz mniej dotyczy samej technologii, a coraz bardziej traktuje ją jako projekt polityczny: „Chodzi raczej o coś takiego: wielkie korporacje i miliarderzy, którzy przed nikim nie odpowiadają, wchodzą do mojego miasta i mojego życia i zmieniają ↦

Centrum danych wybudowane na zlecenie OpenAI w pobliżu Abilene w Teksasie, sierpień 2026 r.

BRANDON BELL / GETTY IMAGES

eprasa.pl eebb42529e

↦ je bez jakiegokolwiek demokratycznego wpływu z mojej strony".

Pocałunek w pierścień

Donald Trump wydaje się na to ślepy i głuchy. W jednym z niedawnych wywiadów nazwał ludzi, którzy nie chcą centrów danych w swojej okolicy, głupimi, podkreślając, że ci „mądrzejsi" domagają się ich budowy, bo przynoszą miejsca pracy i „ogromne wpływy podatkowe do miast i miasteczek". Wydaje się więc, że mając do wyboru elektorat albo Dolinę Krzemową, prezydent już jakiś czas temu wybrał tę drugą.

Na zdjęciach z zaprzysiężenia Trumpa w styczniu 2025 r. widać, że najważniejszych (i najbogatszych) prezesów amerykańskich firm technologicznych ustawiono tuż za rodziną prezydenta, ale przed przyszłym gabinetem, jakby to oni byli mu bliżsi i mieli rządzić. Stali w rotundzie, sercu Kapitolu – symbolu amerykańskiej demokracji, który zaledwie cztery lata wcześniej szturmowali zwolennicy Trumpa po przegranych przez niego wyborach. Tym razem nie było tłumu. Była starannie zaaranżowana sceneria, a obecność technoarystokracji była gestem: ucałowaniem pierścienia nowego gospodarza Białego Domu.

Historia zna już taki przypadek. Gdy w 1600 r. grupa angielskich kupców przybyła do Elżbiety I Tudor, całowanie pierścienia królowej należało do dworskiego ceremoniału – było aktem hołdu i lojalności wobec Gloriany. Kupcy wyszli z ceremonii z królewskim przywilejem na handel z Indiami Wschodnimi. 150 lat później założona przez nich prywatna spółka miała własną armię, sądy, podatki, politykę zagraniczną i prowadziła wojny. Choć dziś Kompania Wschodnioindyjska wydaje się egzotyczną aberracją imperialnej epoki, z obrazka wystarczy usunąć fikuśne peruki, by zobaczyć coś zaskakująco znajomego.

Narodziny imperiów

Kompanii nie stworzono po to, by zbudowała imperium. Dr Omar Faruque z Uniwersytetu Columbia wskazuje, że miała rozwiązać konkretny problem: angielscy kupcy chcieli dostępu do azjatyckich przypraw, jedwabiu i tekstyliów, ale szlaki kontrolowali Holendrzy i Portugalczycy. Kompania miała rozwiązać problem. Podobnie zaczynały współczesne platformy technologiczne. Google swoją przeglądarką porządkował chaos internetu, Facebook łączył ludzi, Amazon upraszczał zakupy. Każda firma odpowiadała na realną potrzebę.



Nakładem Wydawnictwa Port ukazała się nowa książka Agaty Kaźmierskiej i Wojciecha Brzezińskiego **KRZEMOWA KOMPANIA. JAK KOLONIZUJE NAS BIG TECH**, w której publicyści „Tygodnika" opisują związki między nowymi technologiami, polityką i społeczeństwem.

Droga do strukturalnej dominacji nie prowadzi przez wielki skok, lecz serię małych, wyglądających rozsądnie kroków. Kompania potrzebowała portów, by handlować; fortów, by chronić porty; żołnierzy, by utrzymać forty; ziemi, by ich wyżywić. A skoro miała ziemię, musiała wejść w lokalną politykę. Każdy kolejny ruch był logiczny, niemal wymuszony.

Amazon zaczynał jako księgarnia. Potrzebował magazynów, potem własnej logistyki, wreszcie infrastruktury chmurowej. Skoro już ją zbudował, zaczął udostępniać innym. Tak powstał AWS (Amazon Web Services), dziś kręgosłup znacznej części internetu, z którego korzystają szpitale, banki, siły zbrojne i rządy.

Zakładając Amazon Jeff Bezos nie planował, że jego internetowy sklep stanie się elementem bezpieczeństwa narodowego państw. Podobną drogę przeszli inni giganci. Google potrzebował serwerów, by indeksować internet, potem globalnych sieci światłowodowych i kabli podmorskich, by szybciej przesyłać dane. Microsoft kontroluje system operacyjny większości komputerów na świecie. Tak firmy technologiczne stały się koncernami, od których zależą gospodarki i państwa.

Czy ma znaczenie, czy tego chciały? Faktem jest, że w takim położeniu się znalazły. A władca w Białym Domu ma chronić ich interesy i pomagać je rozwijać. Ucałowanie pierścienia nie było wygórowaną ceną.

Kto tu rządzi

Zbigniew Brzeziński, politolog i późniejszy doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera, w książce „Between Two Ages: America's Role in the Technetronic Era" z 1970 r. twierdził, że świat wchodzi w „erę technotreniczną": komputery, elektronika i systemy komunikacji przestają być narzędziami polityki, a stają się jej podstawową infrastrukturą. O wpływach coraz mniej miały decydować fabryki, surowce czy ziemia, a coraz bardziej zdolność zbierania, przetwarzania i wykorzystywania informacji do sterowania procesami społecznymi. „Wiedza staje się narzędziem władzy" – pisał.

Kto potrafi przyciągnąć najlepsze talenty i przekuć ich pracę w systemy technologiczne, zyskuje przewagę nad resztą świata. Brzeziński dostrzegał jednak, że taka władza jest dla obywatela znacznie mniej widoczna. Im bardziej technologiczne społeczeństwo, tym łatwiej sterować procesami społecznymi na masową skalę. A pisał to w czasach, gdy łączna moc obliczeniowa wszystkich komputerów na świecie była porównywalna z mocą jednego iPhone'a z 2025 r.

Dziś jesteśmy znacznie dalej, niż sięgała wizja Brzezińskiego. Technologia jest już nie tylko infrastrukturą władzy. Sama staje się jej źródłem. Elon Musk mógł jednym poleceniem wyłączyć Starlink na części ukraińskiego frontu i zakłócić operację wojskową, bo armia suwerennego, broniącego się przed rosyjską agresją państwa musiała uzależnić łączność od firmy jednego miliardera. Pentagon zlecił budowę narzędzi AI do zastosowań wojskowych i bezpieczeństwa narodowego. Palantir dostarcza oprogramowanie armii i służbom imigracyjnym. Meta, gdy Kanada nakazała jej platformom płacenie wydawcom, po prostu wycięła ich wpisy. Musk przez wiele miesięcy otwarcie rzucał wyzwanie brazylijskiemu Sądowi Najwyższemu w sprawie blokowania kont na X, aż państwo odpowiedziało zawieszeniem całej platformy.

eprasa.pl eebb42529e

Firmy technologiczne nie tylko wpływają na politykę wewnętrzną państw i stają się aktorami stosunków międzynarodowych, ale jak twierdzi Audrey Kurth Cronin, dyrektorka Carnegie Mellon Institute for Security and Technology, „zmieniając charakter rywalizacji między mocarstwami, mogą przesądzić o jej wyniku".

To ostatnie dobrze obrazuje Nvidia, której procesory stały się jednym z najważniejszych zasobów strategicznych w wyścigu USA i Chin o dominację w dziedzinie AI. Przykładem z tej samej półki jest też sprawa Apple i Google, które decydowały, jakie aplikacje i na jakich warunkach mogą docierać do setek milionów użytkowników, aż Unia Europejska stworzyła specjalne prawo, by zmusić je do otwarcia rynku na konkurencję. Europa zresztą dopiero zaczyna się zastanawiać, jak uporać się z amerykańską dominacją technologiczną (ponad 80 proc. cyfrowej infrastruktury państw UE „wisi" na amerykańskich serwerach). Niedawny raport EuroStack, poświęcony unijnej niezależności cyfrowej, wzywa, by zagrożenie traktować równie poważnie, jak załamanie strefy euro czy rosyjską inwazję.

Donald z Doliny Krzemowej

Big Tech poparł Donalda Trumpa dlatego, że ten obiecał, iż obejmie go mecenatem (w przeciwieństwie do Joego Bidena, który chciał ten sektor regulować). Już dzień po zaprzysiężeniu prezydent powołał spółkę Stargate, mającą przy wsparciu państwa zainwestować 500 mld dolarów w budowę infrastruktury AI w USA (dla porównania program Manhattan kosztował po uwzględnieniu inflacji około 30 mld, program Apollo 300 mld).

Trump spełnia obietnicę, oferując firmom technologicznym federalną ziemię, szybsze pozwolenia, łatwiejsze procedury środowiskowe oraz możliwość korzystania z pożyczek, gwarancji, grantów i ulg podatkowych. A ponieważ centra danych potrzebują nie tylko serwerów, lecz także własnych elektrowni, gazociągów i linii wysokiego napięcia, przywileje objęły właściwie całą infrastrukturę potrzebną do budowy imperium.

Gdy zaś pod koniec ubiegłego roku wzrosły napięcia na linii Unia Europejska–Meta (wspólnota zapowiedziała postępowania antymonopolowe związane z aplikacją WhatsApp i nałożenie na gigantów większej odpowiedzialności za treści publikowane w ich platformach), Biały Dom pogroził Europie palcem. Pięciu Europejczyków, w tym były komisarz UE Thierry Breton, otrzymało zakaz wjazdu do USA.

Jak trwała jest symbioza Waszyngtonu z Doliną Krzemową? Dave Karpf, badacz polityki cyfrowej z George Washington University, uważa, że technooligarchowie po prostu racjonalnie skalkulowali ryzyko. Przed wyborami prezydenckimi stanęli przed asymetrycznym zakładem: gdyby poparli Kamalę Harris, a wygrał Trump, mogli obawiać się odwetu prezydenta. Gdyby poparli Trumpa, a wygrała Harris, wciąż chroniłyby ich instytucje państwa prawa. Mogliby dostać karę czy stać się przedmiotem postępowania antymonopolowego, ale nie zostaliby ukarani za samo poparcie przeciwnika politycznego. „To międzynarodowe korporacje. Wiedzą, jak prowadzi się interesy w krajach autorytarnych" – podsumowuje.

Sojusz tronu i Doliny nie oznacza, że państwo skapitulowało przed Big Techem. Bardziej niepokojące jest to, że obie strony odkryły, jak wiele mogą sobie zaoferować. Na pewno testem dla tego układu będą wybory połówkowe 3 listopada, bo bez względu na zapędy prezydenta USA demokracja – przynajmniej na razie – sprawia, że przeciętnemu amerykańskiemu politykowi (niezależnie od opcji, którą reprezentuje) bardziej opłaca się słuchać wyborców niż podszeptów z Big Techów.

Zbyt potężni, by upaść

Kompanię Wschodnioindyjską długo uważano za zbyt potężną, by mogła upaść. Jej pierwszy wielki kryzys przyniosło zawyżanie wartości jej akcji, które doprowadziło do krachu w 1769 r. Rok później przyszedł wielki głód w Bengalu, gdy katastrofę pogłębiła drapieżna polityka podatkowa samej Kompanii. Do 1772 r. spółka stała się niewypłacalna i musiała błagać parlament o ratunek. Dostała 1,4 mln funtów pomocy, ale w zamian państwo po raz pierwszy narzuciło jej nadzór. Od tej chwili stopniowo traciła niezależność. Ostatecznym ciosem było krwawe i brutalnie stłumione powstanie sipajów, po którym Londyn uznał, że nie można dłużej powierzać rządów nad Indiami prywatnej spółce. Sedno problemu było strukturalne: prywatna spółka nastawiona na zysk rządząca milionami ludzi to układ pełen sprzecznych interesów i praktycznie bez realnej odpowiedzialności.

Dziś wielkie firmy technologiczne także uchodzą za zbyt potężne, by upaść. Peruki się zmieniły, ale wiele mechanizmów wydaje się niepokojąco podobnych.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

POŻEGNANIE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Andrzeja Wielowieyskiego

Żołnierza AK, członka redakcji „Więzi",
współzałożyciela warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
działacza opozycji demokratycznej,
doradcy Solidarności i Lecha Wałęsy,
uczestnika obrad Okrągłego Stołu, wicemarszałka Senatu, europosła,
kawalera Orderu Orła Białego, naszego autora.

Bliskim Zmarłego składamy wyrazy współczucia.

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"
I FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

eprasa.pl eebb42529e

TEATR TELEWIZJI



Janusz Korczak

Król Maciuś Pierwszy

ADAPTACJA I REŻYSERIA
Tadeusz Kabicz

OBSADA
Tymon Bitkowski, Wiktoria Gorodecka, Karolina Gruszka, Jan Frycz, Marek Kondrat, Andrzej Konopka, Tomasz Kot, Maciej Musiał, Magdalena Popławska, Danuta Stenka, Borys Szyc

PREMIERA | 7.09 | 20:55 | TVP 1

NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA
PREMIERY W PONIEDZIAŁKI | 20:55 | TVP1

eprasa.pl eebb42529e

TEATR TELEWIZJI

JESIEŃ W TEATRZE TELEWIZJI

W nowym sezonie TEATR TELEWIZJI zaprasza na odważne premiery, przeniesienia najgłośniejszych spektakli z polskich scen i spotkania z artystami, którzy wyznaczają kierunki współczesnego polskiego teatru. W zróżnicowanym repertuarze nie zabraknie komedii, dramatów, wielkiej literatury i nowych tekstów, spektakli dla młodego widza, reaktywacji Sceny Sensacji KOBRA, a wreszcie także teatru tańca czy opery – zawsze tworzonych z artystyczną odwagą i wiarą w misję TEATRU TELEWIZJI. Gwiazdy reżyserii polskiego teatru i filmu, aktorskie tuzy, doskonała literatura – Największa Scena Świata znów podnosi kurtynę. W każdy poniedziałek o 20:55 na TVP1 – oraz w każdy wtorek o 20:30 i w każdą niedzielę o 12:00 na TVP Kultura.

Zapraszamy na sezon 2026/27!

KRÓL MACIUŚ PIERWSZY

Nowoczesna adaptacja klasycznej powieści, której głównym tematem jest odpowiedzialność i władza. W stylizowanym, baśniowym świecie dziecięcy idealizm zderza się z rzeczywistością, a marzenie o sprawiedliwym państwie i poważnym traktowaniu dzieci przez dorosłych zostaje poddane trudnej próbie. Superprodukcja dla młodego widza z gwiazdorską obsadą – po latach nieobecności do TEATRU TELEWIZJI wraca Marek Kondrat, swoją ostatnią rolę zagrał tu ś.p. Jan Frycz; ponadto występują m.in. Tomasz Kot, Karolina Gruszka, Magdalena Popławska, Danuta Stenka.



fot. Karolina Jóźwiak

BYĆ JAK CZTERDZIESTOLATEK

Czuła i przewrotna komedia Damiana Kocura i Marty Bacewicz, podejmując dialog z kultowym *Czterdziestolatkiem*, opowiada o nowej męskości, samotności i o pokoleniu, któremu przypadły w udziale nadmiar możliwości, presja sukcesu i poczucie niespełnienia. Debiutujący w TEATRZE TELEWIZJI Damian Kocur, reżyser *Chleba i soli* i *Pod wulkanem*, pyta, co właściwie znaczy dziś mieć czterdzieści lat – i czy da się zacząć wszystko od nowa. W obsadzie m.in. Marika Zielińska, Mateusz Znaniecki, Marta Nieradkiewicz, Anna Kłos, Maria Maj, Krzysztof Materna.



fot. Julia Dacka

WRÓG LUDU

Po ogromnym sukcesie *Wizyty starszej pani*, do TEATRU TELEWIZJI wraca Małgorzata Bogajewska, która ponownie sięga po klasykę światowego dramatu, by przyjrzeć się, jak w mikroskali niewielkiej społeczności Ibsenowskiego uzdrowiska kształtują i rozwijają się ludzkie namiętności. *Wróg ludu* to uniwersalny traktat o naiwnym idealizmie skonfrontowanym z korupcją, zachłannością i władzą – gorzka opowieść o starciu prawdy z interesem, jednostki z większością i szlachetności z polityką. W doborowej obsadzie m.in. Piotr Franasowicz, Krzysztof Globisz, Adam Ferency, Grzegorz Małecki, Justyna Wasilewska.



fot. Aleksander Kalka

Ponadto, pośród jesiennych premier również ***Wszystko czerwone*** Joanny Chmielewskiej w reż. Krystyny Jandy oraz ***Wnuczka Picassa*** w reż. Juliusza Machulskiego, czyli długo wyczekiwane premiery reaktywowanej Sceny Sensacji KOBRA. Przeniesienia głośnych spektakli – m.in. ***Sceny z życia,*** czyli najnowszy spektakl Katarzyny Minkowskiej z Narodowego Starego Teatru w Krakowie, ***Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie*** w reż. Barbary Wiśniewskiej z Teatru Wielkiego Opery Narodowej oraz ***Dziady*** w reż. Mai Kleczewskiej z Teatru Słowackiego w Krakowie. Nowe spektakle uznanych twórczyń i twórców – m.in. ***Wojna peloponeska*** Tukidydesa w reż. Wawrzyńca Kostrzewskiego, ***Britney*** Jarosława Murawskiego w reżyserii debiutującej w TEATRZE TELEWIZJI Eweliny Marciniak oraz ***Monique ucieka*** Edouarda Louis w reż. Anny Smolar. Nowe przedstawienia na Scenie Młodego Widza – ***Książka wszystkich rzeczy*** Guusa Kuijera w reż. Karoliny Maciejaszek. To wszystko i wiele więcej – jesienią w TEATRZE TELEWIZJI.

Po bieżący repertuar, najnowsze premiery, bogate archiwum spektakli, aktualności, rozmowy – zapraszamy na teatrtv.vod.tvp.pl

REKLAMA

eprasa.pl eebb42529e

KULTURA

SZEKSPIR Z WIRGINII

Jego kariera właśnie nabiera tempa: wielomilionowe kontrakty na książki, współpraca z Marvelem i Netfliksem, hollywoodzkie ekranizacje. Poznajcie najnowocześniejszego pisarza Ameryki.

MACIEJ JARKOWIEC

Ktoś napisał o nim: „Dużo gazu i sprzęgło od razu", ale bujając się po hrabstwie Mathews swoim czarnym Dodge'em Challengerem z czerwoną lakowaną kierownicą, S.A. Cosby, prawdopodobnie najnowocześniejszy pisarz Ameryki, nie przekracza czterdziestu na godzinę. Wskazuje przez opuszczoną szybę kościół baptystów i, kawałek dalej, parafię zielonoświątkowców, którą kilka lat po zakończeniu wojny domowej, razem z innymi uwolnionymi niewolnikami, zbudował jego prapradziadek.

Ludowa prawda mówi, że kościoły tego zakątka Wirginii, podobnie jak wszystkie na głębokim Południu, są ostatnim bastionem segregacji. Cosby dodaje: domy pogrzebowe też. Czasy się zmieniają, ale czarni i biali nadal modlą się osobno. Jedni nie pozwalają też drugim przygotować swoich bliskich zmarłych do pochówku. „Białemu nie mieści się w głowie, żeby Afroamerykanin oglądał jego babcię nago" – kwituje Cosby z właściwym sobie poczuciem humoru.

Ten śmiech, niski i bulgoczący jak silnik Challengera, to jego znak rozpoznawczy. Podobnie jak czapka z daszkiem i flanela w dużą kratę, narzucona na tułów godny obrońcy futbolu amerykańskiego: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, 130 kilo wagi. Łagodne oczy i czarna broda przecięta pędzlem siwizny.

Jadąc dalej przez hrabstwo w kształcie „łezki, którą autostrada przecinała jak rana z bocznymi drogami, odchodzącymi od niej niczym asfaltowe szwy", Cosby pokazuje nadal działającą pizzerię, gdzie wpadał po szkole z kumplami i gdzie pisał pierwsze opowiadania. Później dawny budynek sądu w środku miasta, przed którym na wysokim postumencie stoi dumnie konfederacki żołnierz z brązu, oparty o swój karabin. Mieszkają tu tacy, którzy chcieliby go zburzyć, ale jest ich mniej niż tych drugich.

Cosby skręca w Route 14, gdzie do niedawna „prastara szafa grająca wciąż obsługiwała płyty CD". Zakradał się tam jako dzieciak, żeby w wieku lat jedenastu pierwszy raz w życiu obejrzeć barową bijatykę. Wysiada pod długim, żółtym domem mobilnym stojącym samotnie na żwirze. Antena satelitarna sterczająca na zardzewiałym ramieniu, opuszczone żaluzje, pęknięte okno zaklejone taśmą.

Droga do sławy

Powietrze w tej krainie nasączone jest mętną wilgocią z Zatoki Chesapeake równie obficie jak ziemia krwią. Czasem w środku nocy na parapecie wyląduje puchacz wirginijski i „widok wielkich jak srebrne dolarówki oczu gapiących się [...] zza okna" skojarzy ci się „z kasandrycznymi przepowiedniami i złymi wiatrami".

Do niedawna S.A. Cosby był zwykłym obywatelem tego kilkutysięcznego miasta. Jako dziecko wypożyczał książki z biblioteki (nieopodal konfederackiego monumentu), bo rodziców nie było stać, żeby mu je kupić. Pasjami czytał między innymi Stephena Kinga. Teraz mistrz amerykańskiej li-



S.A. Cosby na festiwalu literackim America. Vincennes, 2024 r.

eprasa.pl eebb42529e

teratury gatunkowej symbolicznie go namaszcza, publikując recenzję jego książki w renomowanym „New York Times Review of Books". „Porządnie opowiedziana powieść kryminalna" – chwali.

Tylko że takich na rynku jest sporo. „Tym, co wyróżnia tę konkretną, co nadaje jej charakteru i szorstkiej tekstury, jest fotograficzny wręcz portret prowincjonalnej społeczności oraz niepokojący (miejscami pełen przemocy) opis relacji jej białych i czarnych mieszkańców. Szerokim łukiem omijając klisze rodem z muzyki country, Cosby oddaje w punkt problematyczny koloryt tego świata: z jego dyskontami, mordowniami i myjnią Mydlane Piany będącą trzecim najbardziej dochodowym biznesem w hrabstwie" – czytamy.

King nie jest odosobniony. Zachwyty nad dokonaniami Cosby'ego wyrażają inne tuzy gatunku, jak Lee Child („fenomenalny"); literaccy celebryci, jak zdobywca National Book Award i Pulitzera za „Kolej podziemną" Colson Whitehead („facet nosi w sobie arcydzieło"), byli prezydenci, którzy są też pisarzami, jak Barack Obama (jego firma producencka kupuje prawa do ekranizacji).

Ale zgadzają się z nimi kapituły nagród branży kryminału, takie jak Anthony Award i Edgar Award, które ostatnio, niemal rok w rok, dają Cosby'emu miejsce w finale bądź wskazują jako zwycięzcę (zerknijcie tylko na biogram autora w Wikipedii). Czytelnicy z kolei głosują na Cosby'ego dolarami: jego trzy ostatnie książki w dniu premiery lądowały od razu w pierwszej dziesiątce bestsellerów „New York Timesa".

W branży prozy gatunkowej, w której na sukces pracuje się długo, nieraz publikując więcej niż dwa tytuły rocznie, Cosby zrobił furorę niemal z dnia na dzień. Zaznaczmy jednak: licząc od momentu, kiedy znalazł dużego wydawcę. Bo wcześniej, przez dekady, choć pisał nieprzerwanie od czasów szkoły średniej, nikt o nim nie słyszał.

Zadupie Wirginii

W Polsce, w rzetelnych przekładach Jana Kraśki, ukazały się cztery powieści Cosby'ego: „Asfaltowa pustynia" (2024), „Kolczaste łzy" (2024), „Wszyscy grzesznicy ↦



SOPHIE BASSOULS / SYGMA / GETTY IMAGES

eprasa.pl eebb42529e

↦ krwawią" (2025, wszystkie nakładem Agory) i „Król popiołów" (Filia 2026). Ich oryginalne tytuły – „Blacktop Wasteland", „Razorblade Tears", „All the Sinners Bleed", „King of Ashes" – jeszcze bardziej przypominają nazwy albumów jakiejś kultowej deathmetalowej kapeli. Skrywają się za nimi świetnie skonstruowane i dynamiczne fabuły z podgatunków takich jak *heist novel*, czyli powieść o napadzie rabunkowym, thriller o zemście, kryminał detektywistyczny albo *noir*.

Cosby ma dar tworzenia tak zwanej trudnej postaci, przy czym przymiotnik ten dobrze oddaje zarówno jej relacje ze światem, samą sobą, jak i czytelnika z nią. Bohaterów Cosby'ego trudno pokochać, ale nie sposób ich porzucić. Ich grzechy i słabości są równie godne pożałowania, co niebanalne. To nie kryminalna zagadka ani też pościg, ucieczka czy suspens wynikający z przerażenia napędzają narracje Cosby'ego, lecz syzyfowy wysiłek okiełznania żywiołów rozsadzających duszę, jaki podejmują jego bohaterowie.

Można by przypuszczać, że autor obdarzony takim talentem zasłynie serią z bohaterem – detektywem, agentem, prokuratorem, outsiderem – do którego przywiąże czytelnika na dystansie kilku bądź kilkunastu tomów. Tymczasem każda powieść Cosby'ego jest o innych ludziach. Bohaterem, który pojawia się zawsze, łącząc wszystkie jego książki, jest kraj. Zapomniane przez Boga zadupie Wirginii.

To wyjątkowe, bo innym afroamerykańskim pisarzom gatunkowym za miejsce akcji służyła i służy raczej wielkomiejska dżungla. Tymczasem Cosby nie może, bądź nie chce, wyprowadzić się – dosłownie, mentalnie i literacko – ze świata, który go ukształtował i który zna jak własną kieszeń.

Bogacze miłości

Wychował się w tamtym żółtym domu mobilnym z pękniętym oknem zaklejonym taśmą, który pokazuje dziś odwiedzającym go dziennikarzom. Jego ojciec był poławiaczem przegrzebków w Zatoce Chesapeake. Matka, którą Cosby nazywa „najsilniejszym człowiekiem, jakiego znał", zajmowała się nim i jego starszym bratem, zmagając się jednocześnie z niepełnosprawnością. Ich przyczepa nie miała bieżącej wody. „Niby biedowaliśmy, ale byliśmy bogaczami miłości" – stwierdza pisarz, wspominając dzieciństwo jako „sielankowe, w typie Huckelberry'ego Finna". Dorośli wokół niego nie odrywali nosów od książek. Mama pochłaniała biografie, ojciec *pulp fiction*, babcia reportaże kryminalne, ciocia horrory.

W wieku dwóch lat Cosby zaczął mówić, i od tamtej chwili nie przestaje – tak do śmierci żartowała jego matka. Wyjątkowo dużo miał do gadania na temat zakończeń historii, które czytała mu na dobranoc. Większość z nich krytykował. „Sam coś napisz, jak jesteś taki mądry". Napisał. Wyraz zaskoczenia i zachwytu na jej twarzy, gdy przeczytała jego opowiadanie, do dziś motywuje go do pisania. „Ptaki śpiewają, pszczoły bzyczą, a ty masz pisać" – poleciła. Posłuchał.

Pierwszy sukces: praca domowa w szóstej klasie w postaci 75-stronicowej noweli o wilkołakach, za którą anglista skierował go do psychiatry. W ogólniaku trafił na bardziej oświeconego nauczyciela, który pokazał mu beatników oraz Jamesa Baldwina i zmotywował do pracy nad warsztatem.

Po maturze Cosby dostaje się na anglistykę, ale przerywa naukę po dwóch latach, żeby wrócić do Mathews i zająć się coraz bardziej schorowaną mamą. Opiece nad nią poświęci się przez następne dekady. Zatrudni się w sklepie budowlanym, gdzie spędzi kilkanaście lat, dochodząc do pozycji kierownika. Cały czas będzie pisał, wieczorami i w przerwach na lunch, publikując sporadycznie w niszowych czasopismach. Przez jednego z klientów sklepu pozna ludzi z małej oficyny, wyda z nimi debiut „Brotherhood of the Blade" (2014). Zainteresuje się nim manhattański agent Josh Getzler.

W 2018 r., w wieku 45 lat, S.A. Cosby wręczył Getzlerowi pierwsze pięćdziesiąt stron „Asfaltowej pustyni". Idzie to mniej więcej tak: „Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik ryknął jak stado rozgniewanych lwów. Zawibrowała kierownica. Nacisnął pedał gazu. Lekko, kilka razy, i lwy zamieniły się w smoki. Włączył reflektory. Ożyła podwójna żółta linia na środku drogi. Wrzucił jedynkę". Getzlera wgniotło w fotel.

Flagi Południa

Dziś Cosby nazywany jest królem *southern noir*, gatunku, którego początków można szukać w klasyku „Listonosz zawsze dzwoni dwa razy" z 1934 r. Kryminał Jamesa Caina o chciwości, namiętności (również sadomasochistycznej) i zbrodni, rozgrywający się w rolniczym krajobrazie południowej Kalifornii, w chwili publikacji wywołał skandal i został zakazany w kilku miastach.

„Intruz" Williama Faulknera wymieniany jest jako jedno z najwybitniejszych dzieł tej niszy. Obsesyjna uwaga, z jaką pisarz poświęcał się tematom zbrodni, moralnego zepsucia i rozpadu społecznego w krajobrazie fikcyjnego hrabstwa Yoknapatawpha, czynią go niedoścignionym mistrzem literatury Południa.

Cosby za filary uprawianego przez siebie gatunku uważa klasę, religię, seks i rasę. Budują one tkankę wszystkich jego powieści, brawurowo łączących faulknerowską tradycję z warsztatem literatury popularnej. I, co najistotniejsze: z afroamerykańską perspektywą.

Przecież gdzieś tutaj, nie tak wcale głęboko pod równo przystrzyżonymi trawnikami ogrodów hrabstwa Mathews, zalegają kości zamęczonych niewolników. Szkoła podstawowa, w której uczył się Cosby, do dziś nosi imiona konfederackich herosów Stonewalla Jacksona i Roberta Lee. Flagi Południa powiewają w willowych dzielnicach.

Gdy Cosby siadał do pisania „Wszystkich grzeszników...", po drugiej stronie kraju, w Minneapolis, policja zamordowała George'a Floyda. „Przygniotło mnie. Musiałem to przelać na papier" – mówił. Powstała najbardziej politycznie zaangażowana z jego książek: porywający, upalny *southern western* o samotnym czarnym szeryfie znienawidzonym zarówno przez białych, jak i wielu czarnych w mieście rozszarpanym rasowym resentymentem. Podobnie jak w prawdziwym Mathews, w fikcyjnym Charon konflikt symbolicznie ogniskuje się wokół sterczącego w środku pomnika konfederatów.

Cała proza Cosby'ego pełna jest autobiograficznych wątków (chora matka, harujący ojciec, bieda, dom mobilny, rodzeństwo, barowe bójki, topografia), ale to zapewne „Grzesznicy..." najwierniej portretują jego miasto. Paradoks Południa, i być może całej Ameryki, polega na tym, że mimo bolesnej szczerości tego portretu, Cosby jest w swojej okolicy uwielbiany. Gdy toczy się nieśpiesznie czarnym Challengerem z opuszczonymi szybami, pozdrawiają go również ci, którzy bronią konfederackiego monumentu, a przed domem stawiają gipsową podobi-

eprasa.pl eebb42529e

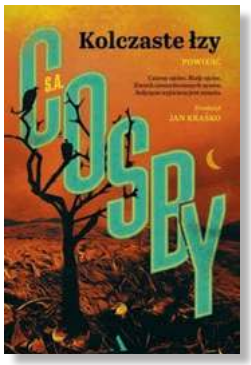

KOLCZASTE ŁZY
S.A. Cosby, Agora, 2024.

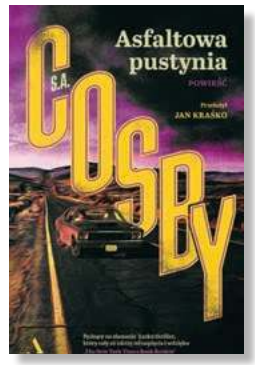

ASFALTOWA PUSTYNIA
S.A. Cosby, Agora, 2024.

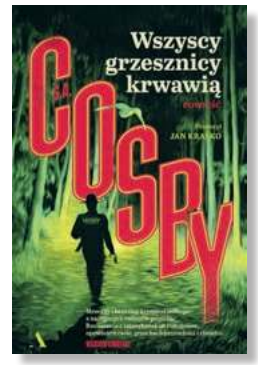

WSZYSCY GRZESZNICY KRWAWIĄ
S.A. Cosby, Agora, 2025.

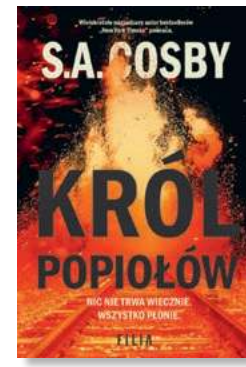

KRÓL POPIOŁÓW,
S.A. Cosby, Filia, 2026.

znę Trumpa. Właściciele lokalnych knajp nie pozwalają Cosby'emu płacić za deser i wino. Mieszkańcy, w większości biali, wybierają go na honorowego marszałka dorocznej bożonarodzeniowej parady, największego święta ulicznego w mieście.

Sztuka powieści

Wydawca pozwolił mu na maksymalnie cztery porównania bądź metafory na jednej stronie, bo autor „Asfaltowej pustyni" ma do nich słabość. „Zacisnął palce na podłokietnikach fotela i jego długie, szczupłe palce wbiły się w welur jak w pośladki striptizerki". Albo tak: „Jego zdaniem wszechświat był zarówno zły, jak i obojętny. Przerażający i idiotycznie apatyczny. Był niczym gniewny bóg niefrasobliwie kroczący przez przestrzeń i czas". Jednak przede wszystkim Cosby wygrywa ironią. Rozumianą tak, jak definiował ją Milan Kundera w eseju „Sztuka powieści": przestrzeń, gdzie żadna postać ani idea nie ma monopolu na prawdę, a osąd moralny zostaje zawieszony.

„Kolczaste łzy" oparte są na tak egzaltowanej hiperboli, że jedynie bezkompromisowa odwaga autora ratuje historię przed absurdem: dwaj brutalni kryminaliści, czarny i biały, łączą siły, aby dokonać zemsty za bestialskie zamordowanie ich synów, małżeństwa gejów. Pisarz wyjaśnia, że metodę hiperboli wziął od Szekspira – zwaśnione rody, przegniłe królestwa, iście freudowskie relacje dzieci z rodzicami. I od Cormaca McCarthy'ego, którego „Krwawy południk", zbrutalizowany, odrealniony portret Zachodu, uważa ze jedną z książek, których nie wolno nie przeczytać przed śmiercią.

Przesadne bywa też pisarstwo Chestera Himesa, w Stanach uważanego za jednego z najważniejszych afroamerykańskich autorów w dziejach, a u nas niemal nieznanego. Tworzył kryminały, ale też polityczną eseistykę i wybitne powieści tak zwanej literatury wysokiej, jak debiutancka „If He Hollers Let Him Go" (1945). W tym roku w wydawnictwie Karakter ukazała się „Draka w Harlemie", pierwszy odcinek zawadiackiej serii o dwójce harlemskich detektywów – Truposzu Johnsonie i Grabarzu Jonesie. Cosby poznał ich, gdy miał 12 lat (prezent od wujka). Przeżył objawienie: czarny pisarz pisze o czarnych gliniarzach, czarnych oszustach, czarnych burdelmamach i czarnych pastorach. „Himes zmienił moje życie".

Himes, podobnie jak Baldwin, uszedł przed rasizmem do Paryża, gdzie został jedną z osobowości ówczesnej bohemy. Właśnie stamtąd opowiadał o Ameryce: „Harlem w moich książkach nigdy nie miał być prawdziwy. Z pomocą literatury chciałem go jedynie odebrać białym". S.A. Cosby odbiera natomiast białym Południe. Po szekspirowsku je przerysowując. Zanim Josh Getzler poznał się na jego talencie, wydawcy odrzucali jego powieść 63 razy. Twierdzili, że jest nieprawdziwa: w jakiejś dziurze w Wirginii nie może być aż tyle krwi, seksu i korupcji. Nie rozumieli, że S.A. Cosby jest wytwórcą nowoczesnych mitów.

Wytrzyj łzy

„Pisarze opowiadają kłamstwa, żeby znaleźć prawdę" – obwieszcza tatuaż na jego prawym przedramieniu. Poszukuje prawdy o Południu, historii, stosunkach rasowych w USA z pomocą ujętych w ramy komercyjnych gatunków, wystrzałowo zmyślonych opowieści, przez które miliony czytelników zarywają noce. Na tym polega jego nowoczesność.

Sukces ostatniej powieści, „Króla popiołów", zapewnił mu następny, wielomilionowy kontrakt na sagę zapowiadaną jako „Ojciec chrzestny" Południa. Cosby wchodzi też we współpracę z Marvelem, tworząc książkę o kultowym komiksowym superbohaterze Luke'u Cage'u. Wspólnie z muzykiem Questlove pisze serię *science fiction* dla młodzieży. W Netfliksie powstaje serial na podstawie „Wszystkich grzeszników...", produkowany przez firmy Higher Ground – należącą do Michelle i Baracka Obamów – i Amblin Entertainment Stevena Spielberga. Paramount Pictures szykuje się do ekranizacji „Asfaltowej pustyni" i „Kolczastych łez".

Pytany, dokąd go to wszystko zaprowadzi, Cosby odpowiada: „Ja już jestem tu, gdzie chcę być. Wystarczy, że nadal będę opowiadał historie". Jak każdy pisarz, który osiągnął sukces, polega na rutynie. Pięć godzin pisania rano i dodatkowa trzygodzinna sesja wieczorem. Lokalna sława nie pozwala mu już pisać w pizzerii w Mathews, jak kiedyś. Zamyka się w gabinecie w domu, w którym mieszka z żoną Kimberly. Wygodniejszym niż tamta żółta przyczepa stojąca na żwirze, ale skromnym. Oboje dorastali w biedzie i mają umiarkowane potrzeby. „Do dziś zjadamy chleb do samego końca, razem z piętką" – wyznaje. Kimberly prowadzi zakład pogrzebowy, Cosby nadal czasem tam pomaga.

Jeden z niewielu luksusów, na jaki sobie pozwolił, to czarny Dodge Challenger, którym buja się nieśpiesznie po swoim mieście. Mija pomnik konfederackiego żołnierza. Kilka lat temu w referendum aż 83 proc. głosujących sprzeciwiło się jego zburzeniu. S.A. Cosby, którego bohaterowie wycierają łzy T-shirtem z napisem „Born in the USA", i który mówi, że jego literatura proponuje „pesymistyczny optymizm", rozprawił się więc z monumentem na kartach książki. W hrabstwie Mathews żołnierz może sobie stać. W fikcyjnym hrabstwie Charon już go nie ma.

© MACIEJ JARKOWIEC

eprasa.pl eebb42529e



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ignacy Karpowicz, 2025 r.

Koniec nas zaskoczył

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

POŻEGNANIE | To cytat z powieści „Cicho, cichutko" Ignacego Karpowicza, którą dedykował zmarłemu przyjacielowi. Dziś wyraża niedowierzanie po śmierci autora. Odszedł po cichu i dużo za szybko.

Został po nim jaskrawozielony sweter. Taki, który skupia wzrok, zdaje się od niechcenia wyciągnięty z szafy, do niczego nie pasuje, a jednocześnie dobrze leży. Promował w nim swoją – jak się miało okazać – ostatnią powieść „Ludzie z nieba". Założył go także na galę Nagrody Literackiej Nike w 2025 roku.

Znaki uznania

Do tego wyróżnienia nominowany był po raz piąty (więcej nominacji zgromadził tylko Różewicz – co organizatorzy gali byli łaskawi przypomnieć literatowi i publiczności). Prowadząca uroczystość Grażyna Torbicka zapytała Karpowicza, czy to, że wychodzi na scenę po raz piąty po odbiór Złotego Pióra, pamiątki dla finalistów, powoduje, że ten wieczór jest już bezstresowy. Pisarz, w charakterystycznym dla siebie zdystansowanym stylu zaprzeczył: „W tym świecie nie da się chyba pozbyć stresu, dlatego tak świetnie prosperują koncerny farmaceutyczne". Po czym zapewnił, że sam wybiera spacery z ukochaną Panią Pies.

Kiedy Justyna Jaworska, przewodnicząca kapituły, odczytywała laudację – skonstruowaną zgodnie z modą tak, żeby długo trzymać finalistów w niepewności – Karpowicz, jeszcze przed ujawnieniem nazwiska laureatki, zwrócił się w stronę siedzącej obok Elizy Kąckiej, po czym z zapałem oklaskiwał jej sukces. Na jego twarzy wiele się działo. Jako widzka mogę tylko zgadywać, że – tak po ludzku – wzruszenie mieszało się z goryczą. Każdy z nas, nawet najwytrwalszy autoironista, potrzebuje czasem widocznych znaków uznania. A Karpowicz, choć otrzymywał ich sporo, to często były połowiczne.

W finale Nike znalazła się jego trzecia powieść „Gesty", potem „Balladyny i romanse", „ości" (zwyciężyły w głosowaniu czytelników), „Sońka" (jej szanse pogrzebał towarzyski skandal) i „Ludzie z nieba". Za debiut z 2006 r., powieść „Niehalo", znalazł się w trójce nominowanej do Paszportu „Polityki", razem z Michałem Witkowskim i Jackiem Dehnelem (laur zdobył ten ostatni). Na swój Paszport musiał poczekać cztery lata i dostał go za „Balladyny i romanse". Kilkukrotnie wyróżniało go jego rodzinne miasto Nagrodą Literacką Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, ale za ostatnie parę książek już nie.

Po śmierci Karpowicza Michał Nogaś napisał tak: „Gdy okazało się, że Ignacy był – że stał się czasem przeszłym, wiele osób przyznało, że był ich głosem, że potrafił nazywać to, co je gryzło, że znalazł słowa na określenie stanów, których tak wielu z nas doświadczyło. Być może zbyt rzadko to od nas słyszał?". Być może tak właśnie było.

Mała utopia

Jest pokusa w odruchu upamiętniającym, który pojawia się po odejściu człowieka literatury, żeby jego twórczości wznieść pomnik. Czasem kończy się to tak, że czyjeś dzieło zostaje sprowadzone do brawurowych scen, błyskotliwych dialogów albo zapadających w pamięć postaci. Powstaje kilka pomniczków, których budulcem jest anegdota, strategia lub wymyk, ale nie żadna idea.

Łatwo zapadają w pamięć sceny z „Niehalo", kiedy Piłsudski i Popiełuszko schodzą z pomników i idą razem ze sfrustrowanym studentem polonistyki zdekonstruować marsz narodowców oraz zedrzeć trochę bogoojczyźnianej farby z budynków Białegostoku. Bawi uczynienie kontrapunktem dla rozrastającej się pa-

eprasa.pl eebb42529e

jęczyny erotycznych powiązań między bohaterami „ości" – w tym relacji, które hierarchowie Kościoła katolickiego nazywają „nieuporządkowanymi" – kompulsywnej skłonności bohaterów do porządkowania swoich i cudzych mieszkań. Wciągają szalone perypetie bogów w „Balladynach i romansach", np. miłość Ateny i Ozyrysa, dla którego grecka bogini zgadza się spać w sarkofagu, a ten porzuca dla niej oglądanie telenoweli (widzi w nich „niemożliwie rozcieńczoną, wydłużoną" Księgę Umarłych). W porównaniu z boskimi miłostkami pozornie niemożliwy związek młodocianego przestępcy i dużo starszej samotniczki nie wydaje się już nieprawdopodobny.

Groteskowe sceny i prześmieszne gagi nie powinny przesłaniać ideowego szkieletu twórczości autora „Cudu". Należał do grona pisarek i pisarzy, którzy nie piszą całe życie jednej książki, nie przetwarzają pojedynczego motywu i typu bohatera. Jednocześnie jego poszczególne powieści można czytać jako część zamysłu, którego rdzeniem jest coś więcej niż zmaganie z językiem, tym „najwymyślniejszym narzędziem tortur", jak pisał w „Cicho, cichutko". Ambicje konceptu Karpowicza szły w stronę kontrprojektu społeczeństwa. Porównywano go do Konwickiego i jego zanurzania się w mętnej, bagnistej materii peerelowskiej rzeczywistości po to, żeby sięgnąć dna i wyciągnąć z niego korek. W przeciwieństwie do autora „Małej apokalipsy", tropiącego wiry i leje wsysające relacje społeczne, projekt Karpowicza był mimo wszystko pozytywny. Można go nazwać „małą utopią". Na kapitulację nowej, rzekomo liberalnej i wolnej Polski przed jej zapatrzoną w siebie, ultrakatolicką i opresyjną starszą siostrą odpowiedział rekonstrukcją podstawowej komórki społecznej, czyli rodziny.

Szczególne miejsce w tym projekcie zajmują „ości" z 2013 r. Fabuła tragikomedii rozgrywającej się na paru scenach z udziałem kilkanaściorga aktorów obnaża rozpad tradycyjnej patriarchalnej rodziny. Pochodzący z Wietnamu Kuan występuje w warszawskich klubach jako *drag queen*, kocha swoją bigoteryjną żonę oraz Norberta, który nie znosi żadnych odmieńców, a sam zaczyna relację z Ninel, intelektualnie wyrafinowaną dojrzałą kobietą. Na innej scenie grają Maja i Szymon, wzajemnie zdradzający się małżonkowie, dla których wybawieniem albo zgubą może być związek oparty na całkowitej szczerości.

Satyra z rodziny przepoczwarza się w jej swoistą obronę. Karpowiczowska neorodzina jest kłączem, które oplata ludzi wraz z ich erotycznymi pragnieniami i niejednoznacznymi tożsamościami. „Pisarz inscenizuje społeczeństwo, w którym podziały ideologiczne okazują się warunkiem zbliżeń, a kontakt wynika nie z osiągnięcia konsensusu, lecz z osiągnięcia tego, co inne. Społeczeństwo zmienia się nie z tego powodu, że wszyscy stają się tolerancyjni, lecz dlatego, że erotyka popycha ku sobie ludzi mocno odmiennych" – pisał o „ościach" Przemysław Czapliński.

Karpowicz nie idzie w stronę pochwały emancypacji totalnej. Przeciwnie, pokazuje, że jakaś zasłona hipokryzji jest nam potrzebna, żeby kochać, pożądać i troszczyć się o siebie wbrew uprzedzeniom czy przekonaniom religijnym, których odrzucenie też byłoby rodzajem przemocy, dokonywanej na sobie własnymi rękoma.

Literatura zamiast absolutu

Po „Balladynach i romansach" i „ościach" istniała możliwość, że autor, opromieniony pochwałami krytyków, pójdzie w stronę patchworkowych powieści o miłości i śmierci, którym w popkulturze patronuje z jednej strony komedia romantyczna „To właśnie miłość" Richarda Curtisa, a z drugiej oniryczne i tanatyczne „Anioły w Ameryce" Tony'ego Kushnera.

Jednak Karpowicz, zamiast odcinać kupony od sukcesów, wybrał ryzykowny zwrot w stronę społecznej retrofuturystyki. O tym, że przekroczenie normy heteroseksualności nie tylko nie zagraża polskiej rodzinie, lecz jest wpisane w jej historię, pisał w najmniej docenionej z jego powieści, czyli „Miłości" z 2017 r. To rodzaj literackiego coming outu, łączący międzywojenną etiudę o małżeństwie Iwaszkiewiczów, autofikcyjną przypowieść o życiu w kłamstwie, futurystyczną dystopię o reżimie „naprawiającym" mniejszościowe orientacje seksualne oraz baśń, w której trawiąca królestwo zaraza wypala fałsz i odsłania prawdziwe więzi łączące ludzi na przekór płci, klasy i erotycznych pragnień.

Równie dobrze ta powieść mogłaby nosić tytuł „Przyjaźń". Karpowicz głosił jej pochwałę jako podstawowej więzi społecznej, jeszcze zanim wzięli się za to we trzech głośni Francuzi – Geoffroy de Lagasnerie, Didier Eribon i Édouard Louis.

Także w „Ludziach z nieba" odkrywanie tożsamości nie oznacza zrzucenia tabu. W czasach rewolucji, wojny i wygnań emancypacja równałaby się śmierci. Żeby ją oszukać, trzeba schronić się w innym człowieku, a już z dwóch bezbronnych istot może powstać mały ruch oporu. Osadzając akcję w początkach XX w., pisarz wierny był swoim bohaterom, a nie faktom. Z biografią sławnych lotników – Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury poczynał sobie śmiało, jak z wieloma innymi polskimi świętościami. Co więcej: w roli protagonistki obsadził Korę, misternie wymyśloną siostrę-bliźniaczkę Żwirki. W ogóle Karpowicz świetnie pisał postacie kobiece, czyniąc z nich istoty mniej rozedrgane niż ich męscy towarzysze akcji, a jednocześnie bardzo poruszające.

„Sońka" to gorzka odpowiedź na zwrot ludowy. To nie tylko opowieść o zakazanej wojennej miłości dziewczyny z Podlasia i niemieckiego żołnierza. Autor zaszył w niej mały traktat o przemianie. Relacja między Sońką i Miszą, chłopakiem ze wsi, oparta na kłamstwie o tym, kto z kim spłodził dziecko, zamienia się w kolejną dobrą, choć niemodelową rodzinę z karpowiczowskiej galerii osobliwości. Oczywiście, żadne dobro w złym świecie nie może trwać wiecznie – chyba że poprzez sztukę. I właśnie w „Sońce" pisarz dokonał głębokiej krytyki środowiska artystycznego, które żeruje na traumach przeszłości, stereotypowych reprezentacjach wsi i kliszach etnicznych po to, żeby współczesna wielkomiejska publiczność mogła nimi karmić fantazmatyczne pragnienie pogardzania innością.

W „Cicho, cichutko", chyba najczęściej cytowanej po śmierci pisarza powieści, jedna z postaci tak mówi o życiu duchowym umierającego bohatera: „Miś nigdy nie utracił wiary, bo jej nie posiadał". Nie wiem, w co wierzył Karpowicz-człowiek, ale Karpowicz-pisarz zdawał się pokładać ufność w sprawczy, wręcz religijny wymiar słowa. „Nigdy bym nie przypuszczał, że powiem to serio, bez cienia ironii, ale literatura mnie ocaliła" – wyznaje jego *alter ego* z „Miłości". Pisarz odszedł w wieku ledwie 50 lat. Pracował nad nową książką. Spoczął na cmentarzu prawosławnym w Gródku na Białostocczyźnie. ©

eprasa.pl eebb42529e

Z geometrii

OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

KLASYKA | Leopold Buczkowski opisywał świat, w którym „karabin maszynowy rozerwał związki między faktami". Rzeczywistość rozpada się na szokujące obrazy i sprzeczne relacje, a czytelnicy zmuszeni są do plątania się między domysłami. Zupełnie jak dziś.

Poeta John Ashbery mawiał, że historię literatury podzielić można na tradycję kanoniczną oraz tak zwane „inne tradycje", czyli utwory stawiające czytelnikom opór – niewczesne i eksperymentalne. Bezprecedensowe dzieło prozaika Leopolda Buczkowskiego (1905-1989) bez wątpienia można uplasować w obrębie jednej z tych właśnie, innych i niedocenionych ścieżek polskiej literatury.

Uporanie się z jego chaotycznymi i niekomunikatywnymi książkami to zadanie nie tylko interpretacyjne, ale również etyczne. Pisarz naznaczony wojenną traumą odrzuca bowiem konwencjonalne wymogi powieści: linearność narracyjną oraz stabilnego opowiadacza. Podporządkowuje też formę prozy jej treści, czyli domagającej się wyrażenia traumie wojennej.

Cechy tego centralnego dla pisarza tematu – postępująca atrofia sensu czy rozpad związków między faktami – zostają przez Buczkowskiego przeniesione ze sfery przedstawienia do struktury książek, czyniąc z nich nie tylko worki na kości poległych, ale też kolażowe zlepki wypowiedzi. Czasem transmisja znaczenia zostaje zaburzona już na poziomie zdania, którego składniki nie wiążą się logicznie.

Jakkolwiek trudne jest brnięcie przez tę prozę, to metoda polegająca na wciąganiu czytelnika w sam środek pokruszonego świata, który funkcjonuje w stanie permanentnego kryzysu, rozciągnięcie doświadczenia Zagłady na akt lektury – daje się umieścić pośród najciekawszych projektów awangardowych XX w. Buczkowski dystansował się od dzieł tzw. fabularystów (autorów „romansów") i twierdził, że „po przejściu oręża nocy nie można być prostodusznym opowiadaczem". Destrukcyjne chwyty nie są więc ćwiczeniem formalnym, lecz składają się na uzasadnioną strategię, która wyrasta z doświadczeń życia pisarza.



Leopold Buczkowski, **WERTEPY**, *PIW 2026.*

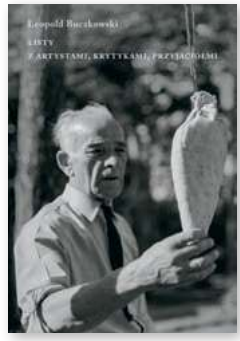

Leopold Buczkowski, **LISTY Z ARTYSTAMI, KRYTYKAMI, PRZYJACIÓŁMI**, *Austeria 2026.*

Zarudziły się sady

Biografia Buczkowskiego, jak podkreślają badacze jego dzieła, jest tyleż istotna, co problematyczna. Bierze się to zarówno z deficytu odpowiednich dokumentów czy relacji bliskich mu osób, jak również ze skłonności prozaika do konfabulacji. Dość powiedzieć, że białe plamy w biografii są analogiczne wobec dziur informacyjnych w jego książkach. Można jednak wyznaczyć kilka węzłowych momentów w życiorysie autora.

Buczkowski urodził się 15 listopada 1905 r. w podolskiej Nakwaszy, ale już w roku 1914 wraz z rodziną przeprowadził się do sąsiedniego Podkamienia. Najprawdopodobniej nie ukończył gimnazjum, ale w 1930 r., jako wolny słuchacz, rozpoczął studia w Szkole Sztuk Pięknych w pracowni malarstwa Tadeusza Pruszkowskiego. Przyjaciel Buczkowskiego, malarz Marian Krotochwil, wspomina jednak, że młody artysta dusił się w atmosferze akademickich konwencji, co doprowadziło do przerwania studiów w roku 1933.

Jako poeta zadebiutował w 1936 r. na łamach „Gazety Polskiej" wierszami „Upał" i „Lato", które opublikował pod pseudonimem Paweł Makutra. Debiut prozatorski przypada dopiero na rok 1947. Pierwsza powieść Buczkowskiego, wznowione właśnie przez Państwowy Instytut Wydawniczy „Wertepy", wyraźnie różni się od jego pozostałych książek, jako że nie jest jeszcze podporządkowana typowym dla niego strategiom dekonstruującym niemal każdy poziom dzieła.

Niemniej „Wertepy", zbiór impresyjnych scenek rodzajowych z życia mieszkańców Dolinoszczęsnej, utwór subtelnie liryczny i o werystycznym zacięciu, należą do kanonu powieści o wsi. Książka, w której odnaleźć można typowe dla kolejnych publikacji obrazy zwyrodnienia człowieka, słynie z poetyckich opisów: „Zarudziły się sady, agrest rozsypał swe listki, zazielenił się wesoło wśród czarnych plecin, niby mirt na dziewczęcych czubach. W płotach mrowia ruchliwość wróbli. Odbił się w stawie nastrój słońca, dzwonił radościami ciepła".

Po wybuchu wojny Buczkowski walczył w szeregach partyzantów, trafił do niewoli i wreszcie uciekł do Podkamienia, aby kontynuować walkę w oddziałach samoobrony. Ślub z Marią Paprocką wziął w czasie okupacji w żoliborskim Kościele pw. św. Stanisława Kostki w roku 1944. Był uczestnikiem powstania warszawskiego, a jego dziennikowa relacja („Dziennik wojenny") uderza sugestywnością obrazowania i dosadnym językiem. Wybrane notki wydają się pisane „na gorąco": „Noc zrzutów – gwiazdy, w gwiazdach konanie rwących się, różnokolorowych pocisków – samoloty nisko, grają cicho. Rozrywy granatów nad dachami – w świetle reflektorów widzę sześć spadochronów, jeden trafiony!".

eprasa.pl eebb42529e

W roku 1950 Buczkowski przeniósł się z rodziną do Konstancina, w którym spędził resztę życia. Napisał tam większość książek i udzielił wywiadów zaprzyjaźnionemu krytykowi Zygmuntowi Trziszce. Ukazały się one kolejno pod tytułami: „Wszystko jest dialogiem" (1984), „Proza żywa" (1986) i „Żywe dialogi" (1989). Pisarz zmarł 27 kwietnia 1989 r. po chorobie płuc.

Wilk rozszarpał Homera

Nie jest przypadkiem, że pośród wielu fascynacji literackich i artystycznych (Buczkowski otwarcie mówi o zainteresowaniu m.in. Samuelem Beckettem, Mironem Białoszewskim czy Thomasem Carlyle'em), eksperymentator z Podola cenił sobie kubizm. To właśnie nurt stworzony przez Picassa i Braque'a konsekwentnie rozwija ideę, która tak pociągała Buczkowskiego: wieloperspektywiczność. Reprezentacja zaledwie jednego poziomu rzeczywistości wydaje się pisarzowi nieadekwatna, ponieważ świat rozpada się według niego na nieskończenie złożone konstelacje faktów, które nieustannie mutują.

Założenia tej metody zostają objaśnione w „Prozie żywej" na przykładzie „Kamienia w pieluszkach": „Jest pierwszy dzień bitwy pod Wizną. Tam żołnierz postrzelony w brzuch. Co się z nim dzieje? Przede wszystkim, po pierwszym szoku niezwykły błogostan; przy jednocześnie dziwnym metafizycznym lęku. Zjawia się mu sanitariuszka, ale ona dla takiego żołnierza w malignie jest jednocześnie: mamą i żoną, siostrą i boginią, Safoną i Elektrą. Maligna! (...) Z tych różnych względów wyobraźnia chorego jest wielopiętrowa (...) I oto realna sanitariuszka przemienia się mu w kucharkę. (...) A co było przedwczoraj, kiedy żołnierz wychodził na front: zwiduje mu się kucharka z rodzinnego domu. Stąd taka magma. Całość napisana jest techniką podpatrzoną z geometrii wykreślnej... Wielopłaszczyznowość".

Wspomniana metoda okazuje się konieczna do opisu świata, w którym „karabin maszynowy rozerwał wszystkie związki między faktami" oraz „wilk rozszarpał Homera". Zgruchotany świat zaczyna rozpadać się na szokujące obrazy i sprzeczne relacje, a czytelnicy zmuszeni są do beznadziejnego plątania się między domysłami.

Proza na nowo

„Polskie Prozy" to seria, która pragnie odkrywać i ożywiać najciekawsze utwory polskich prozaików. Otworzył ją kultowy „Obłęd" Jerzego Krzysztonia, następnie do rąk czytelników powędrowały „Wertepy" Leopolda Buczkowskiego, a w ślad za nimi „Całe życie Sabiny" Heleny Boguszewskiej.

Wśród przygotowywanych obecnie do druku książek pojawią się zarówno pozycje znane, jak i te, które jeszcze nigdy nie ukazały się w kraju (literatura emigracyjna). Obszar zainteresowań Państwowego Instytutu Wydawniczego stanowią nie tylko wersje redakcyjne utworów, ale też ich nierzadko poplątane ścieżki recepcyjne.

Wiele z tych książek zostało zapomnianych. Wydawca chce przywrócić je do obiegu czytelniczego w nowej odsłonie: przejrzane językowo, porównane z poprzednimi edycjami i ubrane w indywidualne stroje, projektowane przez najlepszych artystów grafików.

Wiele cech formalnych tego projektu, przede wszystkim zaburzoną chronologię i brak związków przyczynowych, uzasadnić można wspomnianą już techniką kolażowego fragmentaryzmu. Zestawienie wielu rozmaitych wątków i perspektyw reguluje kompozycję choćby legendarnego „Czarnego potoku" (1965), książki przedstawiającej otchłanną walkę mieszkańców Szabasowej z Niemcami. Najwymowniejszym przykładem wykorzystania tej techniki jest jednak „Uroda na czasie" (1981) – utwór stanowiący zbiór wypowiedzi rotujących postaci, pozbawiony porządkującej figury narratora.

Przed lekturowym zawrotem głowy, w który łatwo może wprowadzić to unikalne namnożenie anonimowych głosów, ratunku szukać można w wyjątkowej urodzie językowej tej książki: „Jednak siedliskiem smaku jest język – duży czerwony mięsień, bardzo ruchliwy, miękki i giętki, przyrośnięty do gardła. Za pośrednictwem języka możemy rozróżniać smak słodki, gorzki, kwaśny i słony. Językiem możemy wykonywać rozmaite ruchy – wyciągać, wciągać, zginać, mlaskać".

Asymilacja inności

Buczkowski, człowiek instytucja, był nie tylko poetą i prozaikiem, ale też malarzem, rzeźbiarzem, grafikiem, fotografem oraz autorem aleatorycznych kompozycji muzycznych. Pisał też frapujące listy, które wydaje oficyna Austeria („Listy rodzinne" zostały opublikowane w 2025 r., kolejny tom, „Listy z artystami, krytykami, przyjaciółmi", ukazał się w czerwcu br.). Zainteresowanie tak wieloma dziedzinami sztuki doprowadziło autora „Wertepów" do przedstawienia koncepcji sztuki interdyscyplinarnej. Idea ta nie została w pełni zrealizowana, ale wciąż jest decydująca dla odczytania jego dzieła. Śladów pomysłu można doszukać się m.in. w zbiorze opowiadań „Młody poeta w zamku" (1976) oraz „Doryckim krużganku" (1977) – książkach, które zostały wydane z rysunkami autora. Wszystko to pozwala sądzić, że twórczość Buczkowskiego należy rozpatrywać w szerokim kontekście, obejmującym polifonię innych mediów sztuki, które wyrażają tę samą strukturę znaczeń.

Przekraczanie granic osobnych profesji i typowe dla Buczkowskiego otwarcie na różne rzemiosła można interpretować biograficznie. Artysta podkreślał, że kluczowe dla jego rozwoju, w tym fascynacji różnorodnością, było miejsce urodzenia i wychowania, czyli wielokulturowe Podole. Asymilacja wszelkich inności stanowi niezwykle ważny impuls w jego biografii i twórczości – dziedzinach, które trudno od siebie klarownie oddzielić.

Porzucenie komfortu

Czy Leopold Buczkowski jest nam dziś potrzebny? Wydawcy, literaturoznawcy i krytycy przekonują, że tak. Książki-dokumenty (jak sam lubił mawiać) pisarza z Konstancina nie tylko jaskrawo obrazują ciemne karty naszej historii, ale pozwalają zmierzyć się z projektem artystycznie bezkompromisowym, stanowiącym zadanie intelektualne i etyczne.

Pochylenie się nad reprezentantem naszej „innej tradycji" jest więc gestem otwarcia na literacką anarchię, która szybko okazuje się wymowniejsza od książek mówiących o rozpadzie świata. Czasy komfortowej recepcji sztuki, zdaje się mówić Buczkowski, mamy już dawno za sobą. Literatura powinna być – zgodnie ze znaną sentencją Franza Kafki – „siekierą dla zamarzniętego morza w nas". ©

eprasa.pl eebb42529e

Nasze ciała to wesołe miasteczka

MICHAŁ WALKIEWICZ

PORTRET | Stara jak kuchnia relacja pomiędzy pichceniem a pożądaniem to kropla w morzu fantazji, którym Anthony Bourdain nadał w popkulturze zupełnie nowy blask.

Pocztówka z Sycylii: słońce, plaża, motorówka zacumowana u podnóża wapiennego klifu. „Pewnie zastanawiacie się, jaki to ma związek z jedzeniem?" – pyta zgarbiony, półnagi, siwiejący facet, mocząc nogi w lazurowej wodzie. „Nie mam, k...a, pojęcia" – dodaje, po czym ucieka z kadru niczym krnąbrny dzieciak, który opowiedział właśnie najlepszy dowcip w historii.

W życiu Anthony'ego Bourdaina wszystko miało związek z jedzeniem. Nawet podobne żarty, wpisujące się w bezpretensjonalną filozofię radochy z rzeczy małych – nieoczywistych smaków i chropowatych faktur, błahych i ważnych rozmów, chwil krępującej ciszy oraz spontanicznych erupcji humoru. Z grubsza chodziło o to, żeby usypać sobie życie z takich skrawków codzienności. Ale też o to, żeby nie przeginać z aptekarską precyzją przy ich odmierzaniu.

Czosnek

W czerwcu minęło 8 lat od jego śmierci. Zostawił po sobie wspomnienie, którego popkultura nie potrafi gładko ometkować; powidok człowieka uwięzionego w wiecznym „pomiędzy" – między kuchnią a podróżniczym szlakiem, telewizją a literaturą, światem celebrytów oraz balzakowskim „garnuszkiem z pająkami", za który uważał współczesną gastronomię.

Dziś Bourdain powraca w dwójnasób – za sprawą wznowienia jego słynnego zbioru esejów „Kitchen Confidential" w przekładzie Jacka Koniecznego oraz dzięki filmowej biografii „Tony" w reżyserii Matta Johnsona. Na papierze laureat ośmiu nagród Emmy sypie z rękawa bon motami: „Jeśli jesteś zbyt leniwy, by obrać czosnek, to znaczy, że na niego nie zasługujesz". Na ekranie znów ma dziewiętnaście lat, podkręcony czarny lok i przekonuje, że jeśli w piątkowy wieczór nie masz ochoty na seks, to musiałeś zjeść zjełczałe ostrygi.

Stara jak kuchnia relacja pomiędzy pichceniem a pożądaniem to oczywiście kropla w morzu fantazji, którym Bourdain nadał w popkulturze zupełnie nowy blask. Sednem kolejnej jest paralela między kuchnią a marynarką wojenną, a sensem jeszcze innej – opowieść o tym, że droga do odkupienia i kurs na autodestrukcję mogą być w gruncie rzeczy tym samym. Bourdain jako podróżnik, który nie godzi się na łatkę turysty. Bourdain jako bogaty hipster, który ma do powiedzenia coś sensownego o świecie. Bourdain w depresji, Bourdain w miłości, Bourdain w ostatnim, samobójczym akcie...

Trochę się tego przez lata nazbierało. Wydaje mi się natomiast, że sam Bourdain, jako osobowość medialna, był zaskakująco dobrze impregnowany na tabloidowe skróty. Jeśli w ramach ćwiczenia intelektualnego miałbym powiedzieć o nim coś cynicznego, to powiedziałbym, że jego największym sukcesem było przekonanie widzów, że jest ich kumplem, eseistów zaś – że jest żyłą złota.

Tym pierwszym, zaczepiony na ulicy, puszczał oczko i sprzedawał najlepszy sposób na kaca: „Aspiryna, zimna coca-cola, skręt i syczuańskie żarcie. Działa za każdym razem". Tych drugich uwodził skalą kulinarnych poszukiwań oraz atrakcyjnym pophedonizmem: „Wasze ciała to nie świątynie, tylko wesołe miasteczka".

Pizza

„Nie chciałbym, abyście pomyśleli, że początki mojej kariery wiązały się wyłącznie z cudzołóstwem, darmową gorzałką i łatwym dostępem do narkotyków. Powinienem wspomnieć o urokach portugalskiej potrawki z kalmara, ostrygach z Wellfleet, podawanych na połówkach muszli, zupie z owoców morza z Nowej Anglii, cudownie tłustych ognistoczerwonych kiełbaskach chorizo, zupie z jarmużu oraz pewnej nocy, kiedy skalnik prążkowy wyskakiwał z wody wprost na stoły w Cape Cod" – pisał w „Kitchen Confidential", w rozdziale o paradoksalnym tytule „Jedzenie jest bólem".

Czym, do cholery, jest skalnik prążkowy? Żeby napisać takie zdanie, trzeba mieć tupet. To znaczy – uważać, iż ludzie żyjący od pierwszego do pierwszego i jedzący pizzę z ananasem skrycie uwielbiają bogatych, podróżujących po świecie utracjuszy. Bourdain balansował jednak na granicy oddzielającej bon vivanta od faceta w procesie zaawansowanej dezilu-zji tak zręcznie, że ręce same składały się do oklasków.

Wiedział doskonale, że publiczność wyczuje fałsz. Że rozliczy go z banałów na temat życia i jedzenia. Prosty i zarazem odważny akt przyznania się do własnych słabości i skatalogowania wewnętrznych demonów, a także zaproszenia widzów i czytelników do tej introspekcji pozwoliły mu tworzyć fantastyczne rzeczy. Programy kulinarno-podróżnicze, które skrzyły się humorem i ściągały kulturę gastronomiczną na poziom chodnika (albo polnej drogi). Książki o kuchni, które przypominały reportaże z frontu oraz zarazem kroniki prywatnych obsesji. Wreszcie – całkiem zgrabne literacko kryminały o wielkim amerykańskim micie mafiozów z pełnymi brzuchami. „Musisz kroić czosnek tak, jak robili to w »Chłopcach z ferajny«" – zalecał.

Anthony Bourdain nie jest gwiazdą, o którą kłócę się z ludźmi najczęściej (to miano musiałoby przypaść Dodzie albo Gracjanowi Roztockiemu). A jednak temperatura rozmów o reprezentowanym przez niego typie męskości daje mi do myślenia. Wrażliwość za nadkruszoną maską cynizmu; seks, alkohol i narkotyki jako klątwa i zarazem dźwignia życiowej zmiany; zamach na *haute cuisine* w kowbojkach i z papierosem w ustach.

Pachnie to wszystko westernową tandetą albo Bukowskim z odpustu. Ale tylko do czasu, gdy uświadomimy sobie, jak wspaniała opowieść o męskości wyłaniała się z kulinarnych przygód Bourdaina.

eprasa.pl eebb42529e



MATERIAŁY PRASOWE

Antonio Banderas, Dominic Sessa, Leo Woodall w filmie „Tony", reż. Matt Johnson. W kinach od 4 września.

W trującej rybie fugu łatwo było dostrzec symbol ryzyka i niebezpieczeństwa, w podrobach obrzydliwość, z której może narodzić się coś pięknego, a w gotowaniu jajka na twardo – test precyzji i dyscypliny. Kicz? Być może, ale wciąż buja, nawet po tylu latach.

Myślę również, że pozbawiony aury rebelianta na salonach Bourdain byłby po prostu nieznośny. Urodził się w dobrze sytuowanej rodzinie (matka była dziennikarką „New Yorkera", a ojciec marketingowcem w Columbia Records), dorastał na dwóch kontynentach, studiował na prestiżowym CIA (Culinary Institute of America) i uczył się od najlepszych szefów kuchni. Choć nie czyniło to automatycznie jego życia łatwym, lekkim i przyjemnym, to średnio nadawało się na „mit założycielski" buntowniczej twórczości.

Winogrono

„Gastronomia jest nauką o bólu. Profesjonalni kucharze należą do tajnego stowarzyszenia, którego pradawne rytuały wywodzą się z zasad stoicyzmu – z godnego znoszenia upokorzeń, urazów i chorób. Członkowie zespołu kuchennego przypominają załogę łodzi podwodnej. Przez większość czasu, kiedy nie śpią, są zamknięci w gorących, pozbawionych powietrza pomieszczeniach i podlegają despotycznym przywódcom. Często przejmują cechy nieszczęśników, których w czasach napoleońskich siłą wcielano do królewskiej marynarki – przesądy, pogardę dla ludzi z zewnątrz oraz lojalność wobec jednej bandery: własnej" – pisał w eseju, który umieścił go na kulinarnej i medialnej mapie Nowego Jorku, czyli „Don't Eat Before Reading This" w magazynie „New Yorker".

Z perspektywy wieloletnich fanów Magdy Gessler może wydawać się to oczywiste, ale koncepcja kuchni jako siódmego kręgu piekła narodziła się w dużej mierze dzięki Bourdainowi. Obraz miejsca, w którym ostre przedmioty i brzydkie wyrazy fruwają w powietrzu, czas rozciąga się niczym guma i kurczy jak winogrono, a ludzie o tajemniczych i skomplikowanych życiorysach wzajemne się musztrują, to jego dziedzictwo. To jego mikrokosmos ambicji, obsesji, przemocy i radości.

W pewnym sensie Bourdain „zwrócił" kuchnię klasie pracującej. I właśnie dlatego trudno oglądać dziś serial „The Bear", ekscytować się zmaganiami w kulinarnych *reality shows* albo spoglądać na kelnerów w ulubionej knajpie bez jego ironicznego uśmiechu w tyle głowy.

Burger

Scenarzyści wchodzącego na ekrany filmu „Tony" cofają wskazówki zegara. Młodego Bourdaina (Dominic Sessa) pokazują u progu wielkości. Otaczają go postaciami, a raczej figurami, w których może się po kolei przeglądać: niespełnioną miłością, starym mądrym mentorem, młodym złym mentorem i tak dalej.

Nazwałbym to fabularne rozdanie „uczciwym" z prostego powodu. Łatwo byłoby skleić klasyczną biografię z narkotyków i podróży, z depresji i romansów, wzlotów i upadków. Podgotować tego ratatuja na wolnym ogniu tak, jak gotował się w życiorysie bohatera przez czterdzieści lat gastronomiczno-medialnej kariery.

O wiele trudniej uchwycić sedno filozofii, którą „Tony" po sobie zostawił. Dostrzec w jedzeniu potężną socjalizującą siłę, a w wakacyjnej przygodzie bohatera – Ostatnie Takie Lato. To kino inicjacyjne obrane do bielutkich kości; film o frajdzie z robienia rzeczy i o radości z nic-nie-robienia. Jasne, na ekranie jest to frajda gości, którzy noszą lniane koszule, uwodzą kobiety kiścią jarmużu i mają puchate psy. Ale jednak – frajda.

Moje ciało nie jest ani świątynią, ani wesołym miasteczkiem. To raczej pojemnik na odpadki pod prasą hydrauliczną stresu. Oglądając „Tony'ego", myślałem sobie jednak, że zjadłbym dla odmiany coś pysznego. Może niekoniecznie jagnięcą grasicę w sosie z raków, ale chociaż burgera, który nie wygląda, jakby jeszcze przed chwilą ganiał po dachu.

Myślę, że to zasługa faceta, który palił dwie paczki papierosów dziennie, a i tak wyglądał, jakby mu to służyło. I który zostawił nam bezcenną wiedzę o życiu: „być może, koniec końców, wszystko kręci się wokół jedzenia". ©

eprasa.pl eebb42529e

Kres niewinności



MATERIAŁY PRASOWE

ANITA PIOTROWSKA

KINO | W irracjonalnych porządkach, które wymykają się prawom natury i rozumu, szukamy sposobu, by naprawić niewydolne systemy rodzinne i społeczne.

Ponoć prawie połowa dorosłych Amerykanów wierzy, że dinozaury i ludzie współistniały kiedyś na Ziemi. Niczym w popularnym serialu animowanym „Flinstonowie", znanym u nas pod tytułem „Między nami, jaskiniowcami" i przerobionym potem na film aktorski. A kolejne odsłony „Parku jurajskiego" Spielberga pozwoliły prehistorycznym gadom na dobre zadomowić się w zbiorowej wyobraźni. I dziś, dzięki inżynierii genetycznej, ta koegzystencja zdaje się jeszcze bardziej wyobrażalna.

Co by było, gdyby dinozaury rzeczywiście pojawiły się wśród nas? Film „Koniec ulicy Dębowej" tylko pozornie stawia takie pytanie. Wpuszczając tabuny zrekonstruowanych stworów do miasteczka w stanie Michigan z wczesnych lat 80. (choć „w rzeczywistości" to ulica Dębowa teleportuje się 200 milionów lat wstecz), obśmiewa dzisiejsze idealizowanie przeszłości czy popkulturową nostalgię, na czele z serialem „Stranger Things" i spielbergowskim „Dniem objawienia". Oraz wszelkie kino *science fiction*, które szuka racjonalnych wytłumaczeń dla największych niedorzeczności.

Równolegle David Robert Mitchell w swojej wizji retro-futuro opowiada o możliwym końcu świata, który tak naprawdę nigdy nie istniał. Tytułowa Oak Street to wyobrażone amerykańskie przedmieście zamieszkałe przez modelowe rodziny. Takie jak Plattowie, czyli dwa plus dwa plus pies, gdzie mąż zarabia, ona zajmuje się domem, dzieci mkną po osiedlu na BMX-ach i obserwują gwiazdy, a podobni im sąsiedzi organizują wspólne pikniki. Tymczasem między słonecznymi kadrami czai się zmierzch amerykańskiej sielanki.

Greg (Ewan McGregor) nie przyznaje się bliskim, że stracił dobrą pracę, toteż dyskretnie popija i ze wstydem zajmuje się rozwożeniem pizzy. Denise, perfekcyjna pani domu (Anne Hathaway), po kryjomu pisze książkę, w której imaginuje o zupełnie innym życiu, a i sąsiedztwo okazuje się dalekie od ideału. Nie jest to jednak kolejna satyra na amerykańską klasę średnią, tym razem z czasów Reagana.

Kiedy pewnego dnia ulicę Dębową zaatakują stegozaury, pterodaktyle czy gigantyczne węże z gatunku *Titanoboa*, rozpoczyna się mordercza walka o przetrwanie. W wykonaniu „ostatniej rodziny", uzbrojonej w łuki, sztucery, narzędzia kuchenne... Oczywiście najlepiej, żeby przetrwała w dawnym, wyidealizowanym kształcie, choć nic już przecież nie może być takie samo. Stąd scenariuszowe igraszki z czasem, który zapętla się i rozwidla na „co by było gdyby", podsuwając na koniec inną wersję społeczeństwa i rodziny.

Tymczasem Mitchell tylko udaje, że chodzi mu o coś więcej niż parodię ejtisowych „powrotów do przyszłości". Oczywiście, można i tym razem uznać dinozaury za współczesną metaforę – ukrytego chaosu, odwetu natury, lęków przed utratą pracy czy końcem amerykańskiego snu. Monstrualne gady, sprowadzane przez popkulturę do wymiaru maskotek, odradzają się w najbardziej drapieżnym kształcie, uosabiając powrót najgorszego. Próżno jednak szukać w „Końcu ulicy Dębowej" pogłębionej krytyki społecznej czy kina egzystencjalnych przeczuć.

Nawet fakt, iż ukochany pies ma tutaj na imię Starbuck, będzie fałszywym tropem. Twórcy każą rzucić interpretacyjne klucze daleko za siebie i po prostu wyciągnąć popcorn. Zwłaszcza że tutejsze dinozaury to nie są jakieś animowane komputerowo figurki z Temu. Kiedy filmowi kreatorzy snują wyobrażenia o powrocie prehistorycznej fauny, wygląda ona na tyle realistycznie, że jest też miejsce na całkiem nieironiczny dreszczyk emocji. Ot, Kino Starej Przygody.

Dlatego jeśliby ktoś oczekiwał nieco poważniejszych rozkmin o kryzysie rodziny z pierwiastkiem paranormalnym w roli głównej, niech prędzej sięgnie po inny tytuł. Na ekrany polskich kin wszedł właśnie niemiecki film „O czym wie Marielle" Frédérica Hambaleka. Kino zupełnie odmiennego rodzaju, nastroju i kalibru, pozbawione zakrzywień czasoprzestrzeni czy krwiożerczych stworów, aczkolwiek niepozbawione własnego, kostycznego humoru. Nadprzyrodzoność przejawia się tu w cudownych zdolnościach dziecka, zamieniając kameralną i współcześnie osadzoną historię familijną w mroczną i cokolwiek absurdalną fantazję.

Oto bowiem Marielle, tytułowa dwunastolatka, potrafi usłyszeć w swojej głowie rozmowy rodziców, choćby znajdowali się w najbardziej oddalonym miejscu. Telepatia staje się dla niej supermocą

eprasa.pl eebb42529e



KONIEC ULICY DĘBOWEJ
(The End of Oak Street) – reż. David Robert Mitchell. Prod. USA 2026. Dystryb. Warner Bros. Entertainment.

O CZYM WIE MARIELLE
(Was Marielle weiß) – reż. Frédéric Hambalek. Prod. Niemcy 2025. Dystryb. Aurora Films.

David Robert Mitchell zadebiutował filmem „Legendarne amerykańskie pidżama party" (2010), a rozgłos przyniósł mu oryginalny horror „Coś za mną chodzi" (2014). Jego „Tajemnice Silver Lake" (2018) miały nominację do Złotej Plamy.

Frédéric Hambalek to niemiecki reżyser, scenarzysta i producent, znany z niezależnego filmu „Modell Olimpia" (2020) czy serialu „4 Blocks" (2017-2019).

Na zdjęciu: kadr z filmu „Koniec ulicy Dębowej"

i zarazem przekleństwem, niszczącym dziecięce wyobrażenia na temat najbliższych. Matka, zagrana przez Julię Jentsch (tę z „Sophie Scholl – ostatnich dni" czy „33 scen z życia" Małgorzaty Szumowskiej), okazuje się mieć problemy z małżeńską wiernością. A pracujący w wydawnictwie ojciec (Felix Kramer) nie jest wcale silnym i asertywnym typem, jakim wcześniej się jawił.

W ten sposób Hambalek radykalnie odwraca sytuację: to nie dorośli sprawują kontrolę nad dzieckiem, lecz na odwrót, jakkolwiek dzieje się to całkowicie mimowolnie. I właśnie dziecko, dorastające w bezpiecznym i zasobnym domu z klasy średniej, widzi (a raczej słyszy) to wszystko, co przykrywał wcześniej domyślny układ zwany rodziną. W konsekwencji Marielle zmusza rodziców do autocenzury swoich słów i zachowań, a w końcu do ryzykownego wyjścia z dawnych ról.

Niestety, oba filmy – każdy inaczej w swojej gatunkowej wariacji – nie spełniają swoich obietnic. „Koniec ulicy Dębowej" idzie w zakręcone widowisko z alternatywnym zakończeniem, traktując umownie psychologię czy sprawy społeczne, chociaż jednocześnie sugeruje taki potencjał. „O czym wie Marielle" przeciwnie – mało spektakularnymi środkami i trochę ciężką ręką mówi o subtelnościach bycia w małżeństwie i rodzinie. Te dwa filmy traktują w gruncie rzeczy o czymś bardzo podobnym – o końcu (domniemanej) niewinności i próbach powrotu do niej, za każdym razem z pomocą nadprzyrodzonych zdarzeń.

W irracjonalnych porządkach, wyrastających ponad prawidła natury i rozumu, poszukują – albo, jak Mitchell, brawurowo udają, że to robią – uzdrowienia dla niewydolnych mikrosystemów rodzinnych czy społecznych. Na szczęście oba też potrafią rozbawić swoim mniej lub bardziej naiwnym fantazjowaniem. I na chwilę oderwać swego widza od bardziej urealnionych potworności i zjawisk jeszcze mniej pojmowalnych. ©

Lektor:
Podróże wielorakie



▪ *Marek Zagańczyk,*
NOKTURN ŚRÓDZIEMNOMORSKI
Wydawnictwo Próby, Warszawa 2026, ss. 336.

Podróż co najmniej podwójna, bo i notatki z wędrówek po Włoszech, Grecji i Szwajcarii, i rozmowa z tekstami, które w tych podróżach autorowi towarzyszyły. Spotkania z dziełami sztuki i ludźmi. Także wrażliwe portrety rodziców. Bo ta podróż to po prostu życie, zatrzymane w kolejnych kadrach, i jakaś próba podsumowania.

A czemu nokturn? Chyba dlatego, że nasz czas stał się bardziej mroczny. „W te dni koszmarne, gdy trudno zebrać myśli, gdy nie sposób wyobrazić sobie, co będzie, zaglądam do Stempowskiego, do jego szkiców i listów o Ukrainie. Odruchowo, nawet bez większej nadziei, że coś lepiej zrozumiem, że ta lektura ma jakiś wyjątkowy sens, bo w zderzeniu z życiem, nie mówiąc o śmierci, liczy się niewiele".

I jeszcze jedno zdanie: „Świat ludzi mądrych wyludnił się". Tak, ale ci, co odeszli, dalej nas uczą i nie pozwalają na łatwą rezygnację. Także na rezygnację z zachwytu. Jak Karolina Lanckorońska, uczona ukształtowana w tradycji klasycznej, która dopiero w wieku dojrzałym, po zagładzie jej dawnego świata, po doświadczeniu obozu koncentracyjnego, pojechała po raz pierwszy do Grecji. I odnalazła w widoku Partenonu odpowiedź na tęsknotę za harmonią, równowagą i absolutną prostotą. Także – miarę innego obcowania z bogiem niż uniesienie, którego doznajemy w gotyckich katedrach. A wielki francuski historyk Fernand Braudel pisał dzieło o ukochanym Morzu Śródziemnym... w obozie jenieckim.

To tylko dwa z kilkudziesięciu nazwisk przywołanych na kartach tej nadzwyczaj gęstej książki. Albert Camus, Gregor von Rezzori, Bernard Berenson, Somerset Maugham, Giorgio Bassani, Dino Buzzatti, Bruce Chatwin, Patrick Leigh Fermor, Raffaele La Capria, Roberto Calasso, Josif Brodski, Annemarie Schwarzenbach, szwajcarska przyjaciółka Klausa i Eriki Mannów. John Le Carré, Georges Simenon. Są twórcy szczególnie mi bliscy, jak Paweł Hertz, Zygmunt Mycielski i Jarosław Iwaszkiewicz. Jak Wojciech Karpiński, którego „Pamięć Włoch" była i dla mnie wprowadzeniem do przyszłych podróży. Jak Adam Zagajewski.

Może więc być ten „Nokturn" również przewodnikiem po lekturach. I zarazem polemicznym wyzwaniem, bo autor pisze także o tym, czego w literaturze nie lubi. Czytajmy więc, spierajmy się, a przede wszystkim korzystajmy z tego, co pozostawili „śmiercią od nas starsi", którym Marek Zagańczyk zadedykował książkę. ©℗

eprasa.pl eebb42529e

PAWEŁ

Bravo:
Liturgia słoików



Cztery złote za kilo pomidorów. I to się wam opłaca? Mniej się nie da, przynajmniej w wielkim mieście i mówimy oczywiście o tych „na zupę", czyli teoretycznie gorszej jakości, ze skazami, przejrzałych, już podejrzanie miękkich – co akurat przy dalszej obróbce termicznej może być zaletą, bo przecier wyjdzie słodszy, a w każdym razie mniej kwaśny.

Jest to jednak zaleta bardzo ulotna: uczciwy pomidor z pola, nienaszprycowany przesadnie chemią, ma tę cechę typową dla każdej poważnej relacji – trzeba go kochać prędko, bo odchodzi łatwo i w mgnieniu oka pleśnieje. Porośnięte mikrofuterkiem czy tknięte czarną plamą kawałki da się oczywiście odciąć i wyrzucić, a pozostała część czerwonego miąższu wydaje się „zdrowa". Ale z zepsuciem o podłożu pleśniowym jest ten problem, że sprytne grzybki wydzielają paletę substancji, które bywają czasem wcale nie obojętne dla zdrowia nawet dużych ssaków. Trujące po prostu. Z czego medycy nauczyli się korzystać i wielka chwała penicylinie, ale niekoniecznie macie ochotę na sałatkę z antybiotykiem, cóż z tego, że „naturalnym".

Może jednak przesadzam, bierzcie sobie pomidory, jakie chcecie. Poza wszystkim, jeśli ktoś nabywa ich 10 kilo, to trudno, żeby oglądał każdą sztukę z osobna. Bo mówimy o takiej skali działania: gdzie się nie ruszę po jakieś zakupy na targ, to widzę znajomych, a zwłaszcza znajome toczące wózki zakupowe wypełnione po brzegi pomidorami. Trochę wstyd potem nie mieć na Instagramie takiego zdjęcia plus jeszcze co najmniej dwóch – z garem bulgoczącego przecieru w pośredniej fazie produkcji oraz równej serii słoików gotowych do zmagazynowania w piwnicy na sięgających pod sufit (ozdobiony girlandami grzybów) ogromnych regałach z desek.

Musiałem jakoś przespać ten moment, kiedy nagle większość nowo stawianych domów, w których zamieszkała już połowa narodu, zaczęła mieć przepastne piwnice, a w tych już istniejących garaże i kotłownie zostały przerobione w tym właśnie celu. No bo gdzieś to musi trafić na skład i czekać na zimę, kiedy zostanie otwarte jako pocztówka z ciepłego kraju, jakim była w sierpniu Polska (i naprawdę, wspomnicie me słowa, te dwa-trzy tygodnie wielkiego upału były trudne do zniesienia, ale większość z nas wkrótce zacznie za tym tęsknić).

Do niedawna, mam wrażenie, była to chwilowa, typowa dla końcówki wakacji i okresu sprzed smażenia powideł, ulotna przyjemność: gotowało się pewną ilość nadmiarowego przecieru do zjedzenia nie zaraz, tylko na jakieś mgliste potem. Na kiedy przyjedzie na groby rodzina z daleka i trzeba będzie zrobić duży, rozgrzewający obiad. Ale ilość raczej ograniczoną, bo jednak z tyłu głowy powinna nas trzymać w pionie melancholijna świadomość, że ten specyficzny, nie do podrobienia zapach świeżo podduszonych pomidorów z czosnkiem i bazylią, podkręcony jeszcze parą wznieconą przez świeżo wyjęty z wrzątku makaron, otóż że ten zapach jest równie łatwy do uzyskania teraz, jak niemożliwy do odtworzenia ze słoja za dwa miesiące. Choćby rodzina przez grzeczność wzdychała z aprobatą.



MAXIM IBRAGIMOV / SHUTTERSTOCK

A teraz – to znowu tylko moje wrażenie, nie wynik badań rynku i opinii – przyjemność przeszła w powinność, w zbiorowy amok, jakby wszyscy w grzmotach ostatniej dzikiej letniej burzy (też za tym zatęsknimy) usłyszeli głos nakazujący: szykuj przecier! I zgodnie się temu poddali, italianizując z lekka cały rytuał, bo częściej w ustach bliźnich słyszę teraz słowo passata.

Tymczasem w ostatnich latach to słowo trafiło naprawdę pod strzechy – w byle sklepie na końcu drogi widać nalepki na butlach i puszkach dwóch-trzech czołowych i naprawdę lepszych od reszty włoskich producentów. Wziąwszy średnie ich ceny, przeliczam i porównuję koszt przerobu tych naszych gruntowych, rozmaitych „lima" i „dyno" (długo myślałem, że nazwa odmiany brzmi „dino" i głupio wyśmiewałem w duchu sprzedawców, którzy, jak się okazuje, pisali poprawnie na tekturce wetkniętej w skrzynkę). No i to już nie jest moje wrażenie, tylko liczby: nijak nie wychodzi, że domowo wyjdzie taniej, niż brać z puszki.

Może więc, po raz pierwszy w dziejach, jest to przykład, gdzie własnoręczne przetwarzanie żywności nie świadczy o niskim budżecie i oszczędnym planowaniu w warunkach niedoboru, tylko przeciwnie: jest kolejną formą ostentacji i podkreślenia statusu. Finansowego i czasowego – wolne popołudnia w kontekście ogólnego zapieprzu stają się cenniejsze niż złoto.

eprasa.pl eebb42529e



Nawet gdy nie musimy, to miło poudawać skrzętnych. Na końcu tej drogi w ubóstwieniu „domowości" są te fałszywe babcie, robiące równie domowy makaron w witrynach restauracji. To widok głównie z Rzymu, ale nie tylko. Absurdalne to, bo podstawowe filary kuchni rzymskiej, jak amatriciana i carbonara, wymagają makaronu „suchego", z pszenicy durum, którego żadna babcia, choćby ćwiczyła całe życie na siłowni, nie zdoła zrobić. Ale ważny jest spektakl i wrażenie, że tu „wszystko świeże".

W Bari z kolei od paru lat babcie, stosownie leciwe i ubrane niemodnie, zaczęły stawiać na środku zaułków zydel i stolnicę, i kciukami wyciskać tamtejsze uszka, zwane orecchiette, sprzedając je w cenie diamentów turystom. Aż sanepid się wkurzył i odtąd to, co ulepią w ulicznym syfie, idzie (powinno iść) do kosza, a sprzedaje się takie z certyfikowanych wytwórni. Tak chyba nie tylko bezpieczniej, ale może być smaczniej. Bo większa firma może, jeśli chce, mieć lepsze dojścia do młynów niż choćby najprawdziwsza babcia robiąca zakupy w sieciówce za rogiem.

Pocieszmy się. W kalendarzu słoikowej liturgii zaraz zacznie się pora smażenia powideł. Złego słowa o nich nie powiem, jeszcze nie narodził się taki technolog produkcji, który zrobiłby je lepiej niż ja, ty, my w domu. Niedawno zostałem dziadkiem, więc tym bardziej czuję się zobowiązany. Szukam dwóch metrów bieżących półki w dobrze wentylowanej spiżarni.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zalewa do pomidorów z fetą

200-220 ml oliwy z oliwek 100 g sera feta (oryginalnego) 5-6 gałązek tymianku 3 ząbki czosnku ▪ garść migdałów w płatkach albo orzechów włoskich ▪ natka pietruszki ▪ sól

Problem, jaki mam z hurtowym robieniem przecieru, jest też taki, że wszystko odbywa się właśnie w tym krótkim, parotygodniowym oknie czasowym, kiedy pomidory są w szczycie formy i najwięcej ma się z nich radości na surowo, ot, tylko z odrobiną soli i oliwy. Liść bazylii (albo szałwii! – zdecydowanie wolę) nie zaszkodzi, ale nie musi być. Ostatnio często zamiast robić typową sałatkę caprese z mozzarellą, daję jako wkładkę białkową mocno zesmażone plasterki sera halloumi. Przy mięsistych, grubo pokrojonych plastrach pomidora ten kontrast pod zębami daje bardzo przyjemny efekt, spróbujcie!

Teraz więc szkoda czasu na upiększenia. Ale niedługo to się skończy i różne metody czynienia pomidora atrakcyjnym zaczną być w cenie. Pisałem wam kiedyś, jak nawet takie marketowe z hiszpańskiej szklarni zyskują, gdy się je podpiecze przepołowione z oliwą i ziołami prowansalskimi pół godziny w 150 stopniach. Dalszym etapem ich ożywiania mogą być różne zalewy aromatyczne. Jedną z nich kiedyś podpatrzyłem w przepastnych archiwach „NYT" i trochę dostosowałem.

Dajemy oliwę na patelnię o takim rozmiarze, by jej warstwa miała ok. 2-3 mm grubości. Podgrzewamy na średnim ogniu przez minutę-dwie, ostrożnie wkładamy gałązki tymianku, powinny zacząć mocno skwierczeć – jeśli nie, to na moment zwiększamy ciepło, jeśli tak, to redukujemy ogień i trzymamy jeszcze około minutę, po czym dodajemy cieniutko pokrojony czosnek, podgrzewamy mieszając i uważając, żeby się nie przypalił, o co niestety łatwo. Wyłączamy ogień, studzimy parę minut, dodajemy podprażone mocno na suchej patelni migdały w płatkach albo z grubsza siekane orzechy (chodzi o to, żeby coś chrupało – można spróbować nawet z nasionami słonecznika). Wkruszamy ser i odrobinę solanki, w której się moczył (dlatego do tego przepisu musimy mieć oryginalny grecki ser z pudełka, a nie paczkę polskiej „niby-fety"). Alternatywnie możemy spróbować z bułgarskim serem szopskim. Na sam koniec dodajemy porządną garść siekanej natki. Kiedyś próbowałem z kolendrą, ale w tej kombinacji jakoś mi nie pasowało, sprawdźcie. Oczywiście zamiast części tymianku można użyć naszej macierzanki albo np. cząbru lub hyzopu, albo zastąpić go w połowie rozmarynem – ale ostrożnie, bo może okazać się zbyt intensywny i zdominować całość. ©℗



MARIA TEBRYAEVA / ADOBE STOCK

eprasa.pl eebb42529e



ODDYCHAJ SPOKOJNIE

Lato powoli dobiega końca, ale w Szkocji sezon na kąpiele w Morzu Północnym trwa cały rok. To dobre dla ciała i dla umysłu. Choć pływają głównie kobiety.

PATRYCJA BUKALSKA Z BANFF I MACDUFF

Po pochmurnym poranku popołudnie zrobiło się niespodziewanie słoneczne. Pojawił się błękit, w słońcu temperatura szybko rosła. Bliżej nieokreślone przeczucie zbliżającej się jesieni zostało zastąpione przez leniwe zadowolenie z jeszcze jednej letniej niedzieli.

Na plaży Banff Links, nad Moray Firth w północnej Szkocji, było jednak niewiele osób – dwie, trzy rodziny z dziećmi rozłożyły koce i piknikowe koszyki. Plaża zazwyczaj jest raczej pustawa – poza spacerowiczami z psami. To jeden z uroków życia na Północy: nie ma tłumów, hałasu, wrzawy.

Nadal trwał odpływ, morze cofnęło się kilkadziesiąt metrów, odsłaniając szeroki pas miękkiego piasku. Silny w poprzednich dniach wiatr ucichł, jednak fale były nadspodziewanie duże – może niezbyt wysokie, ale opadające z potężną energią. Wchodziłam do wody z wahaniem, powtarzając sama do siebie popularne powiedzenie: „Zawsze będzie inny dzień na *dook*".

Niedziela na plaży

Dook to szkockie słowo, które znaczy: zanurzyć się w wodzie. W północno-wschodniej części kraju używa się go, mówiąc zwykle o krótkiej morskiej kąpieli. Może to być chwila pływania, może być jedynie zanurzenie się na kilka minut.

W tamto niedzielne popołudnie nie weszłam dość daleko w morze. Woda miała około 14 stopni, a zatem była – jak na tutejsze warunki – raczej ciepła. Jednak fale okazały się zbyt silne jak na moje ograniczone umiejętności pływackie. Zanurzenie się na chwilę w wodzie, opryskanie i wytarmoszenie przez fale musiało mi wystarczyć.

Słońce nadal wygrywało z chmurami, było ciepło, zostałam więc na plaży dłużej, pijąc kawę z termosu (coś ciepłego to podstawa wyprawy na *dook*!) i patrząc, jak popołudniową porą przychodzi tam więcej ludzi. Fale ściągnęły też sporo surferów, którzy tę plażę uważają za jedną z najlepszych w regionie. Kilkoro dzieci taplało się w wodzie przy brzegu – pod czujnym okiem rodziców.

Więcej niż dzieci było jednak psów uganiających się za rzucanymi przez ich spacerujących opiekunów piłeczkami. A na koniec do tego niedzielnego idyllicznego plażowania nieoczekiwanie dołączyła para koni, które dostojnie brodziły na płyciźnie. Można by powiedzieć, że niedzielę na plaży postanowiły spędzić „wszystkie stworzenia duże i małe".

Wieczorem plażę na nowo odzyska morze, zagarniając piasek i wyschnięte już wodorosty. By kilka godzin później znów rozpocząć powolny odwrót i dzielić się nią z ludźmi.

Wspólnota zimnej wody

Pierwszy raz zanurzyłam się chłodnych wodach Morza Północnego kilka lat temu, razem z grupą Wild Dookers, założoną w 2021 r. przez Emmę Williams. Każdy może do niej dołączyć, dooki organizowane są w różnych miejscach wybrzeża, ale najczęściej w Cullen, Sandend i właśnie Banff Links.

W grupie jest raźniej, a przede wszystkim – bezpieczniej. Zwłaszcza jak ktoś jest nowy, nie zna ani swojej odporności na zimno, ani okolicznych wód, z ich prądami i mieliznami. Gromadzących się dookersów łatwo rozpoznać – ubrani w wielkie nieprzemakalne płaszcze kąpielowe (podbite polarem lub barankiem, bo po wyjściu z wody jest naprawdę bardzo zimno), niosą zwykle plastikowe wiadra, a w nich piankowe buty, ręczniki i wszystko, co może im się przydać w wodzie i po wyjściu na brzeg.

Za pierwszym razem nie wierzyłam, że w ogóle uda mi się zanurzyć. Nie inwestowałam więc w kosztowną piankę ani inne akcesoria, uznając, że porażkę mogę równie dobrze ponieść w kostiumie kąpielowym. A jednak nie tylko pławiłam się w wodzie około dziesięciu minut, ale też wyszłam z niej w nastroju euforycznym.

eprasa.pl eebb42529e

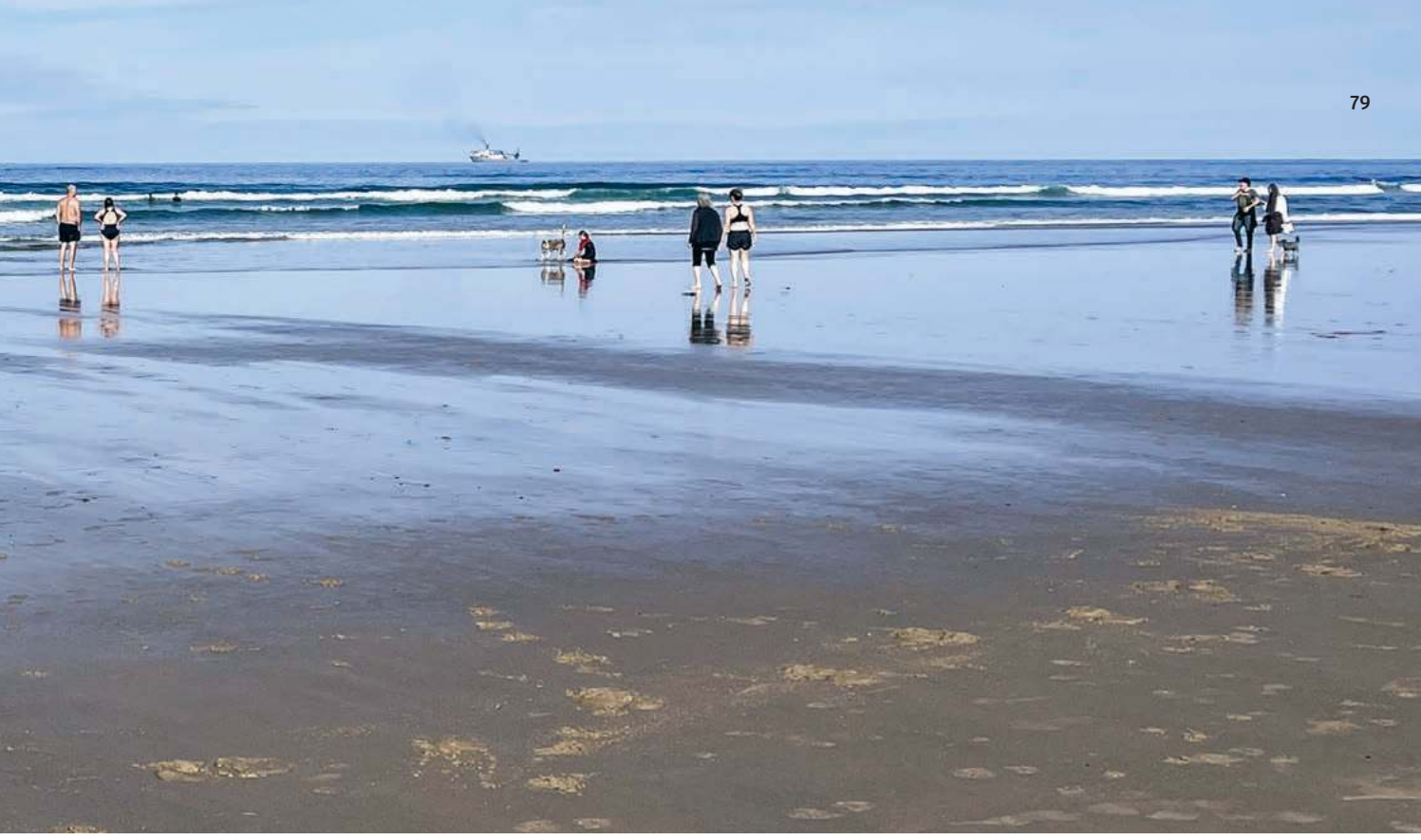

WICEK SOSNA

Niedzielne popołudnie na plaży Banff Links. Szkocja, 23 sierpnia 2026 r.

Od tamtej pory dołączam do Wild Dookers, kiedy tylko mam okazję. Pianki dalej nie mam – uznałam, że nie jest mi potrzebna, pływam w sportowym kostiumie kąpielowym. Zawsze zakładam jednak neoprenowe buty i rękawiczki – bez nich naprawdę byłoby ciężko. Mam też płaszcz oraz kubeł na rzeczy. Na urodziny dostałam asekuracyjną bojkę pływacką.

Morskie pływaczki

Wejście do lodowatej wody staje się łatwiejsze, gdy idzie się w grupie innych ludzi, śmiejących się i żartujących. Wchodzi się razem, a wychodzi wtedy, kiedy kto chce. Nikt nikogo nie ocenia, nie ma presji, w wodzie można spędzić ledwie kilka minut. Lepiej zresztą nie ryzykować hipotermii.

Potem jest czas, by się szybko przebrać w suche ubrania, napić czegoś ciepłego, porozmawiać. Na spotkania Wild Dookers przychodzi około kilkudziesięciu osób – niektóre regularnie, inne, jak ja, pojawiają się od czasu do czasu zależnie od możliwości, miejsca i terminu.

„Przechodziłam wtedy trudny okres. Mówiąc najprościej – chciałam oczyścić głowę z natrętnych myśli. *Dook* działał na mnie jak reset i zaczęłam dzielić się tym doświadczeniem ze znajomymi na Facebooku. Stworzyłam grupę, by umawiać się na wspólne pływanie, a tak się to rozrosło, że teraz należy do niej ponad dwa tysiące osób" – Emma opowiada o początkach Wild Dookers.

Gdy pytam ją o motywacje osób, które przewijają się przez grupę, odpowiada, że chodzi o chęć pracy nad sobą. Mogą to być względy zdrowotne, jednak przede wszystkim oderwanie od trosk życia codziennego. „Ludzie doceniają też poczucie bezpieczeństwa w zorganizowanej grupie, w której wszyscy o siebie dbają" – dodaje.

Są też inne korzyści – przed dookiem uczestnicy wrzucają po funcie do puszki. „Jak dotąd dzięki hojności grupy zebraliśmy tysiące dla pięciu fundacji charytatywnych" – mówi Emma. Zaś w tym roku ona sama, dla wsparcia fundacji RSABI pomagającej szkockim rolnikom, podjęła się przepłynięcia po 1500 metrów (najdłuższy dystans dozwolony bez pianki) w trzech szkockich *loch*: Tay, Lomond i Morlich.

Fala spokoju

Bez względu, czy jestem sama czy w grupie, reakcja organizmu jest taka sama – pierwsze metry to szok, zwłaszcza zimą i wczesną wiosną, gdy temperatura wody może mieć jedynie pięć stopni. Wiem, że muszę po prostu nie zastanawiać się, tylko iść krok za krokiem. Coraz dalej w morze, w swoim tempie, niespiesznie. Zawsze przed momentem pełnego zanurzenia aż po szyję mam jednak chwilę zawahania. Oddychaj, oddychaj spokojnie, mówię sobie wtedy i rzeczywiście spokój nadchodzi za każdym razem.

Lubię, gdy morze jest spokojne, podciągam wtedy nogi i bujam się jak meduza, pozwalając, by kolejne fale łagodnie wznosiły mnie i popychały ku brzegowi. Igiełki zimna wbijają się w skórę tylko na początku, potem jest spokój, tylko spokój, czas zwalnia. Zawieszam się w morzu, a świat razem ze mną.

Czasem odwracam się ku brzegowi i patrzę na szkockie wzgórza: zielone, fioletowe, złote. Rozświetlone przez słońce, pogrążone w cieniu. Wyciągam ręce i rozpościeram dłonie. Woda swobodnie przepływa między palcami. Przez chwilę staram sobie wyobrazić, jak to jest być foką – pokrytą futrem, smukłą, obłą, szybką. Być *selkie* ze szkockich mitów.

Żona w foczej skórze

W Macduff, gdzie mieszkam przez część roku, obraz *selkie*, namalowany przez Penny Downes, widnieje przy wejściu do jednego z domów na głównej ulicy, niedaleko przystani. Kobieta i foka obejmują się jak siostry syjamskie. Dzielą skórę i morze. ↦

eprasa.pl eebb42529e



WICEK SOSNA

Lubię, gdy morze jest spokojne, podciągam wtedy nogi i bujam się jak meduza. Igiełki zimna wbijają się w skórę tylko na początku, **potem jest spokój.**

Tarlair – zapomniany basen wraca do życia. Szkocja, sierpień 2026 r.

↦ *Selkie* to w dialekcie orkadyjskim właśnie „foka", jednak *selkie* z legend po wyjściu na ląd mogła zrzucić swoją foczą skórę i stać się człowiekiem. Szkocki folklor pełen jest opowieści o *selkie* i ich relacjach z ludźmi – przy czym niemal zawsze kończy się to źle. Najbardziej znaną legendą, opowiadaną też na Wyspach Owczych, jest ta o *selkie*, która została żoną rybaka, choć nie do końca z własnej woli.

Mężczyzna ujrzał piękną kobietę tańczącą z innymi na plaży, w świetle księżyca. Zakochał się od pierwszego wejrzenia, schował foczą skórę *selkie* i w ten sposób uniemożliwił jej powrót do morza. Uwięziona na lądzie, zamieszkała z nim i urodziła mu dzieci. Kiedy jednak po latach tęsknoty za morzem odnalazła ukrytą przez rybaka foczą skórę, nie oglądając się na nic wskoczyła do wody i odpłynęła, zostawiając za sobą swój dom i ludzką rodzinę.

Kobiecy żywioł

Nie brakuje współczesnych, feministycznych interpretacji tej legendy, gdy odczytywana jest ona jako opowieść o przymuszeniu kobiety do zamknięcia w kręgu domowych obowiązków, jej tęsknocie za utraconą wolnością, przerwaną więzią z naturą. Choć legenda ma opowiadać o miłości, to dziś trudno pominąć przemocowy charakter związku rybaka z *selkie*. Najbardziej krwawa jest wersja z Wysp Owczych – kończy się zemstą porzuconego ludzkiego męża.

Opowieści o mężczyznach *selkie* też się zdarzały – i zwykle służyły do wyjaśnienia niespodziewanych ciąż niezamężnych dziewcząt z rybackich wiosek. Jednak w folklorze, a także sztuce czy literaturze, dominuje postać *selkie* kobiecej.

Faktem też jest, że w rzeczywistości to głównie kobiety ciągnie do morza o każdej porze roku – to one przede wszystkim zasilają grupy pływackie w ostatnich latach. Według sondaży, stanowią już między 74 a 82 proc. wszystkich pływaków w brytyjskich wodach.

Fenomen popularności tego rodzaju pływania wśród kobiet absorbuje media i świat biznesu – bo pływać można bez akcesoriów, ale jednak z nimi jest łatwiej, więc zapotrzebowanie na przeróżne artykuły rośnie. Sama uwielbiam swój ciepły płaszcz kąpielowy i biały termos z rysunkiem wieloryba... Trendem zajmują się też naukowcy.

Badania przeprowadzone przez prof. Joyce Harper z University College London wskazują, że pływanie w zimnych wodach dobrze służy kobietom w okresie okołomenopauzalnym – łagodzi takie dolegliwości jak niepokój, wahania nastroju i uderzenia gorąca. Sześć na dziesięć kobiet przyznało, że pływa właśnie z tego powodu.

Pożytki z wody

Pływanie na świeżym powietrzu – w morzach, jeziorach i rzekach – szybko staje się w Wielkiej Brytanii jednym z ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu. *Boom* nastąpił po pandemii i teraz liczbę miłośników wszelakich dzikich kąpieli ocenia się na kilka milionów. Dodajmy, że gdy mowa o pływaniu na zewnątrz, to niekoniecznie musi to się odbywać w wodzie o bardzo niskiej temperaturze – choć w przypadku mórz wokół Szkocji i szkockich *loch* tak właśnie zwykle jest.

Kiedy w sondażu przeprowadzonym przez Outdoor Swimming Society (OSS) zapytano pływaków i pływaczki, co im to daje, większość odpowiedziała prosto i krótko: radość. Aż 94 proc. ankietowanych stwierdziło, że po pływaniu czują się szczęśliwsi i mniej zestresowani, prawie 70 proc. przyznało, że są dzięki temu odważniejsi i bardziej stoiccy.

Zanurzając się w wodach mórz i jezior – bo to one są najbardziej popularne, rzeki w mniejszym stopniu – ludzie ci szukają spokoju ducha, zdrowia, odporności, a wielu także towarzystwa. Grupy pływackie, choć często bardzo nieformalne, dają poczucie przynależności i wspólnoty.

Dobroczynny wpływ morskich kąpieli nie jest oczywiście żadnym nowym odkryciem. W Wielkiej Brytanii, już pod koniec XVIII w., chętnie podejmowano takie kuracje i nie ograniczano się bynajmniej do miesięcy letnich. Kąpał się król Jerzy III, kąpały damy. O wyjeździe nad morze do Brighton marzyła pani Bennet z „Dumy i uprzedzenia" Jane Austen.

Szkockie miasteczka nad Moray Firth nie zbliżyły się nawet do takiej sławy, jaką cieszyły się wtedy angielskie kurorty,

eprasa.pl eebb42529e

ale i tu korzystano z morskich rozrywek. W otoczonej skalistymi klifami zatoczce Tarlair pływać nauczył się sam Lord Byron. Wtedy nie był jeszcze ani lordem, ani słynnym poetą, ale niesfornym chłopcem, który wielokrotnie spędzał lato u swojej prababci, Lady Gight w Banff (pochodziła stąd jego matka). „W Banff wciąż żywe są wspomnienia o gwałtownym i niestosownym zachowaniu Byrona w czasach jego młodości" – zapisano w „Kronikach Banff" w 1891 r.

Zapomniany basen

Do zatoczki Tarlair można dojść piechotą nadmorską drogą z pobliskiego Macduff. Wzdłuż niej gęsto rośnie kolcolist, kwitnący wiosną na intensywnie żółty kolor i pachnący kokosem. Teraz zaś jest czas jeżyn, choć te – spóźnione w tym roku – dopiero dojrzewają.

Wieje ciepły, łagodny wiatr. Wciąż jeszcze lato, dni bywają słoneczne, a niebo błękitne, choć wczesne poranki mają już ten biało-szary odcień, jak pióra mewy, w powietrzu pojawił się specyficzny chłód, a śledzie już odpłynęły z Zatoki Moray Firth i pojawią się tu znowu dopiero w czerwcu.

Idę do miejsca, gdzie – ponad sto lat po tym, jak mały Byron pluskał się w Tarlair w morzu – zbudowano zewnętrzy, podzielony na trzy części basen wypełniony wodą morską. Wykorzystuje on przypływy i odpływy oraz naturalną zatokę wśród skał, które spektakularnie odbijają się w wodzie. Uzupełniał go piękny pawilon herbaciarni w stylu *art déco*.

Basen zbudowano w 1929 r., otwarto trzy lata później, a przez kolejne dziesięciolecia było to miejsce, do którego zjeżdżali ludzie z całej okolicy. Na zachowanych zdjęciach widać tłumy w basenie i na jego obrzeżach oraz dziesiątki samochodów zaparkowanych wzdłuż prowadzącej do Tarlair drogi.

Szczególnie lata 30. XX w. były złotą erą tego typu basenów, nazywanych *lido*, które powstawały wtedy w całej Wielkiej Brytanii. Potem zainteresowanie nimi spadło, wiele podupadło lub całkowicie zniszczało. Tarlair też z czasem zamknięto i ustawiono znak zakazujący kąpieli.

Kojące popołudnie

Do niedawna Tarlair było jedynie miejscem spacerów i dobrym punktem na obserwację zorzy polarnej – leży na uboczu miasteczka, więc nic nie zakłóca ciemności nocy.

Teraz jednak znów tętni życiem – niespełna dwa lata temu ponownie otworzono odrestaurowany dzięki wysiłkom członków miejscowej fundacji Friends of Tarlair budynek herbaciarni. Znów można się tam napić herbaty lub kawy, zjeść lunch i coś słodkiego.

Kiedy przychodzę tam w sierpniowe wczesne popołudnie, nie ma żadnego wolnego miejsca w środku. Można jednak z małego okienka kupić coś na wynos i usiąść na tarasie na dachu – w letni dzień tam jest nawet przyjemniej. Morze jest bardzo spokojne, gładkie niemal jak lustro, wpisane w geometryczną doskonałość trzech części basenu.

Wielu mieszkańców Macduff i Banff chętnie wspomina czasy świetności *lido* i to, jak sami nauczyli się tam pływać (lub w zatoczce za kolejnym klifem, w Salmon Howe). Może jeszcze kiedyś pływanie w Tarlair będzie możliwe – po sukcesie renowacji pawilonu trwają prace przygotowawcze do remontu samego basenu. O ile będą na to fundusze.

Kończę kawę i schodzę z tarasu, choć jest w tym miejscu coś tak kojącego, że mogłabym tam siedzieć godzinami. Jesienią i zimą bywa tu zupełnie inaczej – w sezonie sztormów, do którego zbliżamy się z każdym dniem, fale sięgają czasem tak daleko, że smagają ściany budynku. „Słyszałaś o El Niño?" – zagadnęła mnie kilka dni temu zaniepokojona sąsiadka.

W tym roku ma przynieść do Wielkiej Brytanii wyjątkowo mokrą, wietrzną jesień – informowały o tym ostatnio wszystkie media. Szczególnie w listopadzie i grudniu opady i burze mają być większe. Mam jednak nadzieję, że będzie parę dni odpowiednich na *dook*. Może w tym roku uda mi się nawet wziąć udział w tradycyjnym dooku noworocznym, gdy pływaków odprowadza do morza grający dudziarz.

© PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl eebb42529e

TOMASZ

Stawiszyński:
Jak ja się dzisiaj czuję?



Jest taki stary dowcip. Spotyka się dwóch behawiorystów i jeden pyta drugiego: „jak ja się dzisiaj czuję?". Tym, którzy się nie śmieją, już tłumaczę. Otóż na początku XX wieku, kiedy w Europie rozwijała się psychoanaliza, w USA powstał nurt zwany właśnie behawioryzmem, którego ambicją było stworzenie rygorystycznej, empirycznej nauki o ludzkiej psychice. Pardon, zachowaniu, behawioryści bowiem – na czele z pionierami na tym polu, Johnem B. Watsonem i Burrhusem Skinnerem – uważali, nie bez racji, że na polu psychologii jest ono jedynym parametrem dającym się efektywnie mierzyć. Ostatecznie, do sfery subiektywnego doświadczenia dostęp ma – choć nie zawsze, często przecież w stopniu znacznie ograniczonym – wyłącznie sam podmiot. A jeśli nauka ma być prawdziwie naukowa, nie może opierać się na wierze czy domniemaniach, musi mieć wyraźny, zdefiniowany zakres. Dlatego bajania o subiektywności należy odłożyć do lamusa i skupić się na tym, co się poddaje operacjonalizacji. Czyli na osi bodziec–reakcja. Stąd właśnie pytanie, „jak ja się dzisiaj czuję", kierowane do kogoś innego. Jeśli bowiem poważnie potraktować behawiorystyczne założenie, wówczas, przynajmniej teoretycznie, inny naprawdę może wiedzieć o moim samopoczuciu więcej niż ja sam, uwięziony w niepewnej sferze indywidualnej świadomości.

U podstaw mamy tu więc przekonanie, że da się zbudować pewną wiedzę o sferze psychiki, nawet jeśli miałoby to oznaczać zredukowanie jej do tego, co zewnętrzne. Przekonanie to powraca w polskich dyskusjach o uregulowaniu zawodu psychoterapeuty – i o psychoterapii w ogóle. Szczególnie donośnie słychać ostatnio w tych dyskusjach głosy środowisk, które występują z takich właśnie, deklaratywnie zobiektywizowanych, rygorystycznych pozycji. „Psychoterapia to ściśle zdefiniowane, oparte na wiedzy naukowej oddziaływanie" – przekonują te głosy, a wszystkie nurty, które nie wyrastają z wykładanego obecnie na uczelniach wariantu „psychologii empirycznej", hurtem uznają za szarlatanerię. Dochodzi do tego również spór o tzw. „bazowe wykształcenie", którego rdzeń zawiera się w pytaniu: czy psychoterapia jest częścią psychologii akademickiej, czy dyscypliną wobec niej autonomiczną?

Cóż, zostawiając na boku kwestię gry interesów – wszystkie zaangażowane w ten spór strony zarzucają sobie nawzajem motywacje ekonomiczne, a nie merytoryczne – warto zauważyć, że historycznie rzecz biorąc, psychoterapia powstała i rozwinęła się w sporze z dominującymi akademickimi nurtami psychiatrii czy psychologii. Pionierskie na tym polu teorie i praktyki Freuda, Adlera i Junga – czy to się komuś podoba, czy nie – były czymś na kształt rebelii przeciwko redukcjonistycznym modelom ludzkiej natury, niezdolnym do uchwycenia bogactwa, różnorodności, ale i tragizmu, które ją charakteryzują. W ten sposób stworzono – a może raczej odkryto – zupełnie nowy obszar badań i działań, na który wkracza się w zaciszu gabinetu, w interakcji pomiędzy terapeutą a pacjentem.

Ten ostatni, doświadczając symptomu – a więc czegoś obcego w sobie, co wymyka się kontroli świadomego, racjonalnego „ja" – kieruje, pod asystą terapeuty, uwagę na tę sferę własnego życia, która dotąd pozostawała w cieniu. Na własną prywatną historię, fantazje, marzenia, najbliższe relacje, osobiste przeżycia, sposób widzenia świata, ale także na kontekst kulturowy, światopoglądowy czy historyczny. Z tego wszystkiego bowiem – wyłączając, rzecz jasna, sytuacje, w których źródła są organiczne albo skala zaburzeń wymaga głównie farmakologii – rodzi się indywidualne cierpienie, które jednak nie jest czystym chaosem, lecz niesie niewidoczny na pierwszy rzut oka sens. Dostrzeżenie go to konieczny, choć niewystarczający warunek zmiany.

Oczywiście, psychoterapia musi być obwarowana licznymi warunkami i zabezpieczeniami. Psychoterapeuta winien przejść własny proces terapeutyczny, odbyć wieloletnie szkolenie, pracować pod superwizją, a co najważniejsze: posługiwać się metodami o stwierdzonej skuteczności. Musi także rozumieć, co robi i z jakiego powodu. Fantazją jest jednak – niejednokrotnie w historii negatywnie zweryfikowaną – przekonanie, że da się człowieka bez reszty sparametryzować, wpisać w przejrzystą siatkę kategorii, stworzyć model, dzięki któremu cierpienie, tragizm, chaos, lęk i szaleństwo staną się uporządkowaną bazą danych. Po prostu: zawsze pozostanie coś nieuchwytnego, co się wymyka racjonalności, szkiełku i oku, najbardziej precyzyjnym kategoriom diagnostycznym. Wiedziało o tym i mówiło wielu doświadczonych psychiatrów i terapeutów.

Spór toczący się wokół psychoterapii jest niemożliwy do ostatecznego rozstrzygnięcia, ścierają się tu bowiem różne filozofie człowieka, których nie sposób do końca pogodzić. Ludzkie doświadczenie jest jednak na tyle złożone, a problemy, symptomy i splątania, z którymi się zmagamy, na tyle różnorodne, że powinno wystarczyć w nim miejsca dla bardzo różnych form pomocy i pracy nad sobą. Zarówno dla psychoanalizy, jak i dla terapii behawioralnej, zarówno dla spowiedzi czy medytacji, jak dla psychoterapii psychodynamicznej i systemowej. Byleby każda uczciwie komunikowała, jakie są jej założenia, możliwości i ograniczenia. Próby budowania tutaj ortodoksji skazane są z góry na porażkę, a prowadzą co najwyżej do takich paradoksów, jak ten z historii o dwóch behawiorystach, co to się kiedyś spotkali i jeden zapytał drugiego: „jak ja się dzisiaj czuję?". ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl eebb42529e

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Od 1 września szukamy ludzi, którzy zmieniają przestrzeń publiczną na lepszą. Otwieramy zgłoszenia do drugiej edycji Nagrody BONUS „Tygodnika Powszechnego".

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

1–30 września 2026 | Czas na zgłoszenie kandydatów

13 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków



FOT. NAREK BEDNARZ

Zgłoś osobę, której praca zasługuje na uwagę.

Wypełnij formularz online na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Zgłoszenie możesz przesłać także bezpośrednio na adres **bonus@tygodnikpowszechny.pl** — podaj imię i nazwisko kandydata, kategorię oraz uzasadnienie zgłoszenia.

Więcej informacji na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl eebb42529e



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

teatrwkrakowie.pl

SEZON ARTYSTYCZNY 2026/2027:

od pogardy, od nienawiści...

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY TEATRU

BMW M-Cars Group

Bielenda GROUP

PATRONI MEDIALNI TEATRU

65 TVP 3 KRAKÓW

TEATR DLA WSZYSTKICH